

ԱՐԻՆԻԿԸ ԼՂՄՅԵՆԿԱՆՆԸ ԵՐԵՎԱՆԻ ԿՈՆՍԵՐՎԱՏՈՐԱՏՈՐԻ ԱՐԿԻՎ

UNFINISHED TALES



J.R.R. TOLKIEN

EDITED BY CHRISTOPHER TOLKIEN

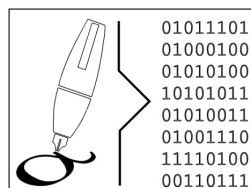
ԱՐԻՆԻԿԸ ԼՂՄՅԵՆԿԱՆՆԸ ԵՐԵՎԱՆԻ ԿՈՆՍԵՐՎԱՏՈՐԱՏՈՐԻ ԱՐԿԻՎ

J. R. R. TOLKIEN

Niedokończone opowieści

Tom I

Przekład: Radosław Kot



Tytuł oryginału:

Unfinished Tales

Data wydania polskiego: 1995

Data pierwszego wydania oryginalnego: 1990

OD TŁUMACZA

Uznając funkcjonowanie rzeczy (według purystów) niedoskonałej jako faktu kulturowego, niniejszy przekład odwołuje się do stworzonego przez panią Marię Skibniewską kanonu tłumaczenia prac J. R. R. Tolkiena. Wykorzystane w tekście cytaty pochodzą z następujących wydań:

Hobbit, czyli tam i z powrotem — Iskry, Warszawa 1985; Władca Pierścieni (Wyprawa, Dwie wieże, Powrót Króla) — Czytelnik, Warszawa 1981; Siłmarillion — Czytelnik, Warszawa 1985.

R.K.

WSTĘP

Trudno jest rozwiązać problemy związane z odpowiedzialnością za pisma niezującego już autora komuś, kogo pieczy dzieła owe powierzono. Bywa, że niektórzy w takiej sytuacji powstrzymują się przed drukowaniem najmniejszego nawet fragmentu, wyjąwszy co najwyżej te urywki, które do czasu śmierci autora zostały praktycznie ukończone. W przypadku twórczości J. R. R. Tolkiena takie właśnie podejście mogłoby się na pierwszy rzut oka wydawać najwłaściwsze, szczególnie że on sam, nader wymagający i wobec własnych płodów krytyczny, w żadnym razie nie pozwoliłby na publikację nawet najbardziej dopracowanych fragmentów niniejszej książki, bez daleko idących poprawek.

Z drugiej jednak strony, istota i rozmach jego wyobraźni każą spojrzeć na te odrzucone wcześniej opowieści nieco inaczej. Kwestia, czy *Silmarillion* w ogóle powinien zostać opublikowany, nie powstała mi nawet w głowie, i to niezależnie od faktu, że dzieło było nie uporządkowane i ojciec zamierzał dopiero je przeredagować, czego jednak dokonać już nie zdążył. Po długim wahaniu zdecydowałem się zatem w tamtym przypadku przedstawić pracę jako kompletną i spójną całość, miast nadać jej postać studium historycznego, zbioru połączonych komentarzem tekstów. W przypadku tej książki rzecz ma się jednak inaczej, zebrane tu bowiem pisma nie tworzą żadnej całości, pozostając po prostu szeregiem różniących się formą, zamysłem, stopniem ukończenia jak i czasem powstania (jak i sposobem, w jaki ja je potraktowałem) utworów tyczących Numenoru i Śródziemia. Jednak powód przemawiający za ich ogłoszeniem drukiem nie różni się zasadniczo od tego, który przyświecał mi przy publikacji *Silmarilliona*¹, chociaż cichszy może jest nieco tym razem ów głos. Ci, którym nie dane jest zapomnieć obrazu Melkora i Ugolianty spoglądających ze szczytu Hyarmentiru na „pola i pastwiska Yavanny, ozłoczone łanami wysokiej pszenicy”; cieni rzucanych przez lud Fingolfiną przy pierwszym wzejściu księżyca w krainach Zachodu; Berena skradającego się w wilczej postaci ku tronowi Morgotha czy też blasku *Silmarila*, który zapłonął nagle w mroku Lasu Neldoreth, uznają zapewne, że niedoskonałość formy owych opowieści blednie wobec głosu Gandalfa (odzywającego się tutaj po raz ostatni) szyszającego z dumnego Sarumana podczas spotkania Białej Rady w roku 2851, czy też

¹ *Silmarillion*, s. 84-85

relacjonującego w Minath Tirith, już po zakończeniu Wojny o Pierścień, jak doszło do tego, że wysłał krasnoludów na słynne przyjęcie w Bag End. Cóż niedoskonałość znaczy wobec obrazu Ulma, Pana Wód wynurzającego się z morza w Vinyamarze, wobec Mablunga z Doriathu ukrywającego się jak kret pod ruinami mostu w Nargothrondzie, czy też wobec sceny śmierci Isildura u mulistych brzegów Anduiny.

Wiele fragmentów tej książki stanowi rozwinięcie wątków wspomnianych pokrótce lub zasygnalizowanych już gdzie indziej. Jedno trzeba jednak powiedzieć wyraźnie, a to mianowicie, że spora część tego dzieła nie okaże się szczególnie interesująca dla tych miłośników Władcy Pierścieni, którzy przemykali podczas lektury nad historycznymi dygresjami, mając je za element wzbogacający opowieść jedynie, a nie za cel sam w sobie i nie pożądamy wcale dalszych szczegółów, obojętnymi pozostając wobec kwestii dotyczących zorganizowania jeźdźców Marchii Rohanu, Dzikich Ludzi z lasu Druadan zostawiając własnemu losowi... Mój ojciec z pewnością nie miałby im tego za złe. W liście z marca 1955 roku, a zatem jeszcze przed ukazaniem się trzeciego tomu Władcy Pierścieni, pisał:

Żałuję teraz obietnicy zamieszczenia dodatków! Mam wrażenie, że ich pojawienie się w formie okrojonej i skondensowanej nie zadowoli nikogo, z pewnością zaś nie zadowoli mnie ani też tych, którzy mnogością listów dają mi do zrozumienia, że szczegóły takie lubią. Jest ich zaskakująco wielu. Natomiast czytelnicy radujący się tą książką jedynie jako „heroicznym romanssem” i uznający owe wtręty za sposób wzbogacania prozy, całkiem słusznie zignorują dodatki.

Mocno obecnie powątpiewam, czy pomysł potraktowania całej sprawy jako rozwiniętej gry był spośród tych najlepszych, szczególnie że nazbyt mnie snucie takich wątków wciąga. Jest to, jak podejrzewam, cena do zapłacenia za wzbogacenie opowieści o liczne szczegóły dotyczące geografii, chronologii i języka, przez co wielu domagać się potem może obszerniejszych „informacji” czy wprost „wiedzy”.

W liście z następnego roku czytamy:

...podczas, gdy wielu tobie podobnych żąda map, inni jeszcze upominają się o szczegóły geologiczne; ktoś pragnie poznać zasady gramatyki języka elfów, detale fonetyki i stosowne przykłady; pojawiają się prośby o miary metryczne i prozodie... Muzycy chcą tonacji i zapisów nutowych, archeolodzy ceramiki i danych o metalurgii, botanicy domagają się bardziej szczegółowych opisów mallornów oraz elanor, niphredil, alfirin, mailos i symbelmyne, historycy oczekują informacji o społecznej i politycznej strukturze Gondoru, a wszelka ciekawska gawiedź dopytuje się o Woźniców, Harad, pochodzenie krasnoludów, Umarłych z Dunharrow, Plemię Beorna, jak o dwóch bra-

kujących (spośród pięciu) czarodziejów.

Jakkolwiek jednak spojrzeć na sprawę, dla niektórych, w tym i dla mnie, więcej niż zaspokajanie zwykłej ciekawości kryje się w poznaniu, że Veantur Numenoryczyk przyprowadził swój gnany wiosennymi wiatrami statek „Entulesse”, czyli „Powrót” do Szarej Przystani w roku sześćsetnym drugiej ery, że grobowiec Elendila Smukłego wzniesiony został przez jego syna, Isildura, na szczycie wzgórza sygnałowego Halifirien, że Czarnym Jeźdźcem, którego hobbici dojrzeli na zamglonym drugim brzegu rzeki przy promie Buckleburry, był Khamul, przywódca Upiorów Pierścienia z Dol Guldur, a nawet że bezdzietność dwunastego króla Gondoru, Tarannona (fakt odnotowany w Dodatku do Władcy Pierścieni) wiązała się z nadal jeszcze tajemniczymi kotami królowej Beruthiel.

Przygotowywanie tej książki było zadaniem trudnym, a efekt owej pracy i tak pozostaje niełatwy do oceny. Wszystkie opowieści są w mniejszym lub większym stopniu „nie dokończone”, przy czym różnie należy owo „niedokończenie” rozumieć, każda bowiem wymagała innego podejścia. Wspomnę jeszcze pokrótce o kolejnych utworach, najpierw jednak chciałbym zwrócić uwagę na pewne ich wspólne cechy.

Najistotniejszym aspektem jest problem „konsekwencji” widoczny świetnie na przykładzie rozdziału zatytułowanego Historia Galadrieli i Keleboma, gdzie mamy do czynienia z „niedokończeniem” w szerokim rozumieniu tego słowa (a nie z nagłym i niespodziewanym urwaniem toku opowieści, jak to ma miejsce w przypadku epizodu „Tuor i jego przybycie do Gondolinu”, czy też z oderwanymi fragmentami składającymi się na tekst „Cirion i Eorl”), chociaż jest to bowiem jeden z najważniejszych wątków w historii Śródziemia, to jednak nigdy nie został on dopracowany do ostatecznej postaci, o spisaniu całości nawet nie wspominając. Włączenie do tego rozdziału nie znanych dotąd opowieści i szkiców wymusza zmianę w rozumieniu historii: nie jest już ona niezależnie od twórcy istniejącą, obiektywną „rzeczywistością”, staje się materią plastyczną i zmienną, widomie tkwiącą w umyśle autora (skrywającego się pod postacią redagującego teksty tłumacza). Skoro sam autor zaniechał publikowania swych dalszych prac, poddawszy je uprzednio szczegółowej krytyce i analizie porównawczej, kryjąca się w nie wydanych manuskryptach wiedza o Śródziemiu sprzeczna musi być często z tym, co ogłoszone zostało wcześniej, a wprowadzając nowe elementy do istniejącej już całości, pozwala dowiedzieć się niejednego nie tyle o historii wykreowanego świata, co o dziejach samego aktu kreacji. W przypadku tej książki przyjąłem po prostu, że tak być musi, tak zatem poza drobnymi korektami dotyczącymi nazewnictwa (tam, gdzie wierność rękopisowi spowodowałaby zbytne zamieszanie i wymusi-

łaby konieczność wdawania się w przydługie wyjaśnienia), nie zmieniałem niczego w imię konsekwencji, zwracając raczej uwagę na pojawiające się sprzeczności i wariacje tematu. Pod tym względem Niedokończone opowieści różnią się zasadniczo od Silmarilliona, który z założenia (choć to nie jedyne założenie przyświecające jego publikacji) miał być spójny, zarówno wewnętrznie, jak i w odniesieniu do innych ksiąg. Tak zatem traktowałem Silmarilliona jak punkt odniesień na równi z dziełami opublikowanymi osobiście przez mego ojca, nie biorąc pod uwagę licznych „nie autoryzowanych” wyborów, które czynić musiałem wówczas pomiędzy różnymi wariantami tych samych epizodów.

Książka niniejsza w całości składa się z opowieści (bądź opisów), wyłączyłem z niej wszystkie te pisma o Śródziemiu i Amanie, które miały spekulatywny charakter rozpraw filozoficznych, a jeśli nawet takie formy wypowiedzi pojawiają się od czasu do czasu, nie staram się tych wątków rozwijać. Przyjąłem najprostszy z możliwych układów, dzieląc teksty na trzy tomy, odpowiadające trzem pierwszym erom świata, co musiało w nieunikniony sposób powodować czasem ich nakładanie się, jak w przypadku legendy o Amrocie i jej omówienia w „Historii Galadrieli i Keleborna”. Czwarta część jest dodatkiem, którego obecność w książce zatytułowanej Niedokończone opowieści wymaga pewnego pokajania się, owa ostatnia bowiem część prawie wcale nie zawiera „opowieści”, lecz głównie eseje na tematy ogólne. Tekst o Druedainie, który znalazł się w całości edycji dzięki stanowiącej jego fragment opowieści „Wierny kamień”, nasunął mi pomysł, aby włączyć również eseje dotyczące Istarich i Palantirów, skoro są to sprawy (a szczególnie ta pierwsza) żywo intrygujące wielu czytelników, a książka ta wydała mi się stosownym miejscem dla przekazania tego, co na owe tematy wiadomo.

Zapiski te mogą wydać się czasami nieco zagmatwane, jednakże nieład ów powstał za sprawą nie tyle wydawcy, co autora (widać to szczególnie w tekstach takich, jak „Kłęska na Polach Gladden”), który w późniejszych pracach zwykł co rusz odbiegać od zasadniczego tematu, sporządzając dotyczące różnych kwestii notatki. Starłem się wyraźnie odróżniać komentarze od właściwych tekstów, ale ze względu na obfitość materiałów pojawiających się w przypisach i dodatkach, uznałem, że dobrze będzie nie ograniczać podanych w indeksie odniesień tylko do samych tekstów, ale rozciągnąć je na całą książkę z wyłączeniem wstępu.

Przyjąłem, że czytelnicy niniejszej księgi znają dobrze twórczość mego ojca (a szczególnie Władcę Pierścieni) w przeciwnym bowiem razie musiałbym poszerzyć znacznie, i tak już obszerne, komentarze redakcyjne. Zdecydowałem się niemniej umieścić przy większości haseł indeksu krótkie uwagi, mogące oszczędzić czytelnikowi wertowania innych źródeł. Gdyby któreś z tych wyjaśnień okazało się niewystarczające lub nie dość jasne, polecić mogę dzieło, które i dla mnie było

przy mej pracy wielką pomocą, czyli Complete Guide to Middle-earth² pana Roberta Foster.

[Noty opisujące powstanie poszczególnych utworów zostały rozdzielone w ten sposób, aby otwierać każdy z trzech tomów komentarzami do jego zawartości, a nie znajdowały się jedynie w pierwszym tomie. Tak i tutaj są dwie, pozostałe umieszczono odpowiednio w T.2 i T.3].

² Dzieło niedostępne jeszcze po polsku, niemniej pewną pomocą dla rodzimego czytelnika może być książka Tolkien - Przewodnik encyklopedyczny J. E. A. Tylera (przyp. tłum.).

I. O TUORZE I JEGO PRZYBYCIU DO GONDOLINU

Mój ojciec nie raz powtarzał, że „Upadek Gondolinu” został napisany jako pierwsza opowieść tycząca Pierwszej Ery i nic nie świadczy, aby było inaczej. W liście z roku 1964 stwierdza, że spisał ją „prosto z głowy” podczas urlopu zdrowotnego z wojska w roku 1917, chociaż przy innych okazjach wspominał również o roku 1916 lub przełomie lat 1916-1917. W liście, który dostałem w 1944 roku, znalazłem zdanie: „Pisać go [Silmarillion] zacząłem w barakach wojskowych, pośród tłoku i jazgotu gramofonowej muzyki”. W rzeczy samej, akapity dotyczące Siedmiu Imion Gondolinu zostały spisane na odwrocie druku regulującego „drabinę zależności służbowej w batalionie”. Wciąż istniejące najwcześniejsze manuskrypty to dwa zwykłe szkolne zeszyty zapisane ołówkiem. Potem ołówkowe pismo pociągnięto jeszcze atramentem, wprowadzając przy tym liczne poprawki. Ten właśnie tekst, najpewniej w 1917 roku, moja matka przepisała na czysto. Później, chociaż trudno powiedzieć dokładnie kiedy, został on poddany kolejnym przeróbkom. Możliwe, że miało to miejsce w latach 1919-1920, kiedy to mój ojciec był członkiem zespołu redagującego daleki jeszcze od ukończenia Słownik. Wiosną roku 1920 został zaproszony do klubu dyskusyjnego w swoim college'u w Exeter i wówczas to odczytał „Upadek Gondolinu”. W zachowanych do dzisiaj notatkach poczynionych do wystąpienia znajdujemy słowo przeproszenia, że nie przygotował eseju, „I tak zatem, ponieważ odczytać winienem rzecz już gotową, w desperacji sięgnąłem do tego tekstu. Rzecz jasna, nigdy dotąd nie ujrzał on światła dziennego... Ciąg zdarzeń tyjących elfiej historii krystalizował się (czy raczej układał) z dawna w mej wyobraźni. Niektóre epizody już spisałem... Ta opowieść nie jest akurat najciekawszą spośród nich, ale jedyną, która została przejrzana, i dlatego, chociaż może trudno jeszcze uznać ją za w pełni dopracowaną, ośmielę się historię ową przeczytać”.

Opowieść o „Tuorze i wygnańcach z Gondolinu” (bo taki tytuł nosił pierwot-

nie manuskrypt) przeleżała nie tknięta przez wiele lat, chociaż zapewne między rokiem 1926 a 1930 ojciec napisał jej skróconą wersję, która stała się częścią Silmarilliona (tytuł ten pojawił się po raz pierwszy, marginalnie wspomniany, w liście do The Observer 20 lutego 1938 roku), zmieniona przy tym zgodnie z wymaganiami kompozycyjnymi książki. Znacznie później ojciec rozpoczął pracę nad nowszą relacją, zatytułowaną „O Tuorze i upadku Gondolinu”. Bardzo możliwe, że miało to miejsce w roku 1951, kiedy to Władca Pierścieni był już gotowy, chociaż losy jego publikacji wciąż się ważyły. I styl, i konteksty uległy wówczas znacznym zmianom, sporo jednak zostało z owej historii, którą spisał w młodości. Tekst ów miał uzupełnić o liczne szczegóły legendę tworzącą krótki, dwudziesty trzeci rozdział opublikowany w Silmarillionie. Niestety, urywa się w chwili, gdy Tuor i Voronwe docierają do ostatniej bramy Gondolinu i nie potrafię jednoznacznie orzec, czemu ojciec nie dokończył dzieła.

Te właśnie zapiski znalazły się w niniejszej książce. Aby uniknąć nieporozumień, zmieniłem ich tytuł na „O Tuorze i jego przybyciu do Gondolinu”, jako że o upadku miasta nie ma tam ani słowa. Jak to zwykle z pismami mego ojca, konieczna była tu i ówdzie ingerencja redaktorska, manuskrypt bowiem zawierał sugestie co do alternatywnych wersji, a jeden z epizodów (przeprawa przez Sirion) został nawet ukończony w kilku wariantach.

Zwraca uwagę fakt, że jedyna pełna relacja tycząca kluczowych wydarzeń Pierwszej Ery (wyprawy Tuora do Gondolinu, związku z Odril Kelebrindal, narodzin Earendila, zdrady Maeglina, oblężenia miasta i ucieczki ocalałych) powstała w latach młodości mego ojca. Niestety, bez najmniejszych wątpliwości można stwierdzić, że tekst ów (choć tak istotny) nie nadaje się, by włączyć go do niniejszej książki. Napisany został w stylu skrajnie archaizowanym, uwielbianym podówczas przez ojca, i praktycznie nie ma nic wspólnego z późniejszymi światami Władcy Pierścieni i Silmarilliona. Wraz z najwcześniejszymi zapiskami tyczącymi mitologii, należy on do Księgi zaginionych opowieści, nader interesujących dla kogoś pragnącego zgłębić najdawniejsze dzieje Śródziemia, wymagających jednak jeszcze długiego i żmudnego opracowania, o ile mają zostać kiedykolwiek wydane drukiem.

II. OPOWIEŚĆ O DZIECIACH HURINA

Legenda o Turinie Turambarze rozrastała się z latami w sposób najbardziej złożony spośród wszystkich historii dotyczących Pierwszej Ery. Podobnie jak opowieść „O Tuorze i upadku Gondolinu”, sięga korzeniami aż do samych początków. Owe początki to wczesny utwór prozą (jedna z zaginionych opowieści) oraz długi, nie dokończony poemat pisany wierszem aliteracyjnym. O ile jednak praca nad „długą wersją” Tuora nigdy nie posunęła się zbyt daleko, to późniejsza „długa wersja” Turina została niemal ukończona. Zwie się ona „Narn i Hin Hurin” i pod tym tytułem została zamieszczona w niniejszej książce.

Niemniej poszczególne fragmenty długiej „Narn” wymagały różnego wkładu pracy redakcyjnej. Epizody końcowe (od „Powrotu Turina do Dorlominu” do „Śmierci Turina”) zostały jedynie przejrane i poprawki były marginalne, podczas gdy cały początek (do „Turina w krainie Doriathu” włącznie) trzeba było przerezagować, miejscami nawet skracając, jako że trafiały się partie oderwane od kontekstu. Zasadnicza jednak część opowieści („Turin wśród banitów”, „Krasnolud Mim”, opis Dor-Kuartholu, śmierć Belega z ręki Turina i życie Turina w Nargothrondzie) przedstawiała sobą problem poważniejszy. Są to fragmenty najmniej dopracowane, niekiedy trafia się szkic jedynie opisujący planowany przebieg akcji. Ojciec wciąż rozbudowywał tę część i gdy przerwał nad nią pracę, krótsza wersja pomieszczona w Silmarillionie nie doczekała się pełnego rozwinięcia w „Narn”. Przygotowując do druku Silmarilliona, musiałem z konieczności sięgnąć właśnie do owych materiałów, zawikłanych i nie dopracowanych, wrywając z nich fragment dotyczący Turina.

Początkowe partie środkowej części (aż do zamieszkania Turina w siedzibie krasnoluda Mima na Amon Rudh), złożyłem z istniejących materiałów w spójne narracyjnie opowiadanie pozostające w stosownych proporcjach do reszty tekstu (z jedną luką, patrz przypis 12), jednak od wspomnianego powyżej miejsca, aż do

przybycia Turina nad Ivrin po zniszczeniu Nargothrondu, zmuszony byłem zmienić taktykę. Luki w tekście okazały się nazbyt duże i konieczne byłoby powtórzenie tu rozdziału pomieszczonego w *Silmarillionie*. Niemniej zawarłem w Dodatku kilka oderwanych fragmentów tej zamierzonej, dłuższej wersji.

Porównanie trzeciej części (od „Powrotu Turina do Dorlominu”) z odpowiednimi stronami w *Silmarillionie* (s. 262-277), pozwoli odnaleźć wiele podobieństw, a nawet identycznych sformułowań, podczas gdy w pierwszej części były tylko dwa takie wypadki, które usunąłem z prezentowanego tekstu (patrz przypisy 1 i 2), skoro nie różnią się specjalnie od tych, które zostały już opublikowane i zamieszczone w *Silmarillionie*. Na wiele sposobów można próbować wyjaśniać fakt takiego nakładania się różnych wersji. Mój ojciec uwielbiał opowiadać czasem rzecz na nowo, zmieniając optykę i sytuując historię w szerszym kontekście, jednakże nie wszystkie spośród wspomnianych fragmentów zostały tak właśnie przekształcone, nie każdy też potraktowania takiego wymagał. Można również uznać, że na wczesnym etapie prac nad tekstem ojciec mógł na próbę umieścić w dziele ustęp pochodzący z innej wersji. Pozostaje jednak jedno jeszcze wyjaśnienie, dotyczące nieco innego poziomu. Legendy podobne tej o Turinie Turambarze zostały już we wczesnych latach Śródziemia ujęte w formę poetycką (w tym przypadku był to poemat *Narn i Hin Hurin Dirhavela*), przekazywane zaś z latami fragmenty (szczególnie te o silnym ładunku emocjonalnym, jak przemowa Turina do miecza na chwilę przed śmiercią) byłyby zachowywane przez kolejne pokolenia w formie nie zmienionej jako świadectwo pochodzące wprost z Dawnych Dni (których historię opowiadać ma właśnie *Silmarillion*).

CZEŚĆ PIERWSZA

PIERWSZA ERA

I. O TUORZE I JEGO PRZYBYCIU DO GONDOLINU

Riana, żona Huora, przebywała ze swymi z rodu Hadora, ale gdy dotarły do Dolominu pogłoski o Nirnaeth Arnoediad, wówczas to, niespokojna o los męża (o nim nie dotarły żadne wieści), zdecydowała się wyruszyć na pustkowie. Zginęłaby, gdyby nie pomoc Szarych Elfów zamieszkujących w górach na zachód od jeziora Mithrim. Zaprowadzona do ich siedziby, jeszcze przed końcem Roku Lamentu powiła syna.

Powiedziała wówczas elfom:

— Niech zwie się Tuor, bo takie imię wybrał dlań ojciec, zanim wojna nas rozdzieliła. I błagam, wychowajcie go w ukryciu pośród was, przepowiadam bowiem, że wielkie dobro wyniknie za jego sprawą dla elfów i ludzi. Ja zaś muszę wyruszyć na poszukiwanie Huora, mego męża.

Na takie słowa elfy odpowiedzieć mogły co najwyżej współczuciem. Jeden tylko Annael, który samotnie powrócił z Nirnaeth, rzekł:

— Wiadomo, moja pani, że Huor padł u boku brata swego, Hurina, i mniemam, że spoczywa, w wielkim stosie poległych, usypanym przez Orków na bitewnym polu.

Usłyszawszy te słowa, Riana zebrała się i opuściła siedzibę elfów, wyruszając poprzez Mithrim i pustkowie Anfauglith aż do Haudh-en-Ndengin, gdzie zległa i umarła. Elfy jednak zadbały o jej nowo narodzonego syna. Z czasem Tuor wyrósł na wysokiego, pięknego młodzieńca o złocistych włosach, charakterystycznych dla rodu ojca. Był przy tym silny i odważny. Umiejętnościami i wiedzą nie ustępował książętom Edainów z czasów, nim zagłada dosięgła Północy.

Jednak wraz z mijającymi latami coraz gorzej i mniej spokojnie żyło się w Hithlumie tym elfom i ludziom, którzy nie opuścili swych siedzib. Jak opisane to zostało gdzie indziej, Morgoth złamał wówczas słowo dane służącym mu Easterlingom i odmówił im praw do żyznego i upragnionego Beleriandu. Miast tego skierował

ów złem przesiąknięty lud do Hithlumu i tam nakazał mu zamieszkać. Choć Easterlingowie nie kochali już Morgotha, to jednak służyli mu wciąż ze strachu, nienawiścią darząc przy tym cały ród elfów. Mając w pogardzie pozostałych z rodu Hadora (głównie starców, kobiety i dzieci), dokuczali im bez skrępowań, siłą biorąc ich kobiety za żony, przywłaszczając sobie ziemie i dobra, czyniąc z dzieci niewolników. Potem pojawili się też i Orkowie, wedle upodobania wędrujący po całym kraju i zmuszający pozostałych jeszcze elfów do wycofania się ku górskim warowniom. Często brali ich w niewolę, aby pracowali w kopalniach Angbada.

W takich to okolicznościach Annael poprowadził swych nielicznych poddanych do jaskiń Androth, gdzie czekał ich żywot ciężki, bez chwili wytchnienia w czujności. Tam też Tuor osiągnął wiek szesnastu lat. Potrafił władać orężem, toporem i łukiem Szarych Elfów, a w sercu wzbierał mu żal wywołany opowieściami o niedolach jego ludu. Nade wszystko pragnął wziąć pomstę na Orkach i Easterlingach. Tego jednak uczynić Annael mu nie dozwolił.

— Twe przeznaczenie, jak sądzę, leży o wiele dalej, Tuorze, synu Huora — powiedział. — Ta kraina nie zostanie uwolniona od cienia Morgotha, dopóki nie runie Thangorodrim. Toteż pozostaje nam jeno ująć ku Południu, ty podążysz z nami.

— Ale jak zdołamy przemknąć się między nieprzyjacioły? — spytał Tuor. — Przemarsz takiej rzeszy z pewnością zostanie zauważony.

— Wyruszymy po kryjomu — wyjaśnił Annael. — A jeśli szczęście będzie nam sprzyjało, trafimy na sekretną drogę, którą my zwiemy Annon-in-Gelydh, czyli Bramą Noldorów, gdyż zbudowali ją nasi mistrzowie dawno temu, jeszcze za dni Turgona.

Imię to poruszyło młodzieńca, chociaż nie wiedział, czemu. Zaczął zatem wypytywać o Turgona.

— Jest synem Fingolfinna — odparł Annael. — Od upadku Fingona uważa się go za Króla Noldorów, żywy bowiem umknął z klęski Nirnaeth, kiedy to Hurin z Dorlominu oraz Huor, twój ojciec, utrzymali brody na Sirionie. Najbardziej zawzięty to z wrogów Morgotha.

— Pójdę zatem i poszukam Turgona — rzekł Tuor. — Pomoże mi przecież przez wzgląd na pamięć mego ojca?

— Tego uczynić nie możesz — powiedział Annael. — Jego warownia skryta jest przed oczami elfów i ludzi. Nie wiemy, gdzie się wznosi. Może niektórzy Noldorowie znają do niej drogę, ale nikomu jej nie wyjawią. Gdybyś jednak chciał z nimi porozmawiać, ruszaj ze mną. W ustroniach na Południu spotyka się czasem wędrowców z Ukrytego Królestwa.

Nadszedł czas, że elfy porzuciły jaskinie Androth a wraz z nimi powędrowały

Tuor. Wrogowie jednak czuwali, więc przemarsz niedługo pozostawał tajemnicą. Nim wędrowcy zdołali oddalić się od wzgórz i wydostać na równinę, napadł na nich liczny oddział Orków i Easterlingów. Rozproszył on gromadę, ścigając niedobitków aż do nocy. Serce Tuora rozgorzało gorączką bitwy, chłopak nie uciekł zatem, tylko tak jak niegdyś ojciec, z toporem w dłoni stanął do walki. Wielu nieprzyjaciół padło z jego ręki, w końcu został jednak obezwładniony. Pojmany, znalazł się rychło przed obliczem Easterlinga imieniem Lorgan, który był wodzem Easterlingów i uzurpował sobie, jako lennik Morgotha, władzę nad całym Dorlominem. Tuor, zostawszy jego niewolnikiem, wiódł życie ciężkie i pełne goryczy. Wiedząc, że oto ma w swej mocy potomka niegdysiejszych władców, Lorgan tym okrutniej traktował jeńca, mając nadzieję, ku swej uciesze, złamać wreszcie dumę domu Hadora. Tuor jednak, który zaczerpnął już ze źródła mądrości, znosił wszelkie cierpienia oraz zniewagi niewzruszenie i z cierpliwością, z czasem zatem jego los nieco się poprawił, a w każdym razie udało się młodzieńcowi nie umrzeć z głodu, co spotkało niejednego z nieszczęsnych niewolników Lorgana. Tuor był mocny i zręczny, a Lorgan zwykł dobrze karmić swoje konie robocze, przynajmniej jak długo pozostawały młode i mogły pracować.

Po trzech latach niewoli Tuor dojrzał wreszcie szansę ucieczki. Prawie w pełni już wyrósłszy, był postawniejszy i szybszy niż którykolwiek z Easterlingów. Wyślany wraz z innymi niewolnikami do pracy w lesie, zwrócił się nagle przeciwko strażnikom, zabił ich toporem i zbiegł na wzgórze. Easterlingowie ruszyli za nim z psami, ale bez powodzenia, jako że Tuor przyjaźnił się niemal z wszystkimi ogarami Lorgana; gotowe łąścić się doń przy każdym spotkaniu, bez wahania usłuchały polecenia, gdy kazał im wracać do domu. W końcu młodzieniec dotarł do jaskiń Androth i zamieszkał tam samotnie. Przez cztery lata uchodził za wyjątko spod prawa na ziemiach swego ojca, a imię jego budziło strach, często bowiem, milczący i samotny, wyruszał na wędrówki, zabijając przy tym wszystkich napotkanych Easterlingów. Wyznaczono nawet wysoką cenę za jego głowę, ale nikt nie ośmielił się tropić go w kryjówce, która niegdyś była siedliskiem wciąż budzących w Easterlingach grozę elfów. Powiada się jednak, że to nie pragnienie zemsty skłaniało Tuora do podejmowania owych wycieczek, szukał raczej wspomnianej niegdyś przez Annaela Bramy Noldorów. Nie wiedząc jednak, gdzie patrzeć, nie znalazł jej; również nieliczne elfy, nadal przemieszkujące w górach, nic o owym przejściu nie słyszały.

Mimo iż szczęście wciąż sprzyjało Tuorowi, wiedział on, że jego dni wygnańca są policzone, czas kurczy się, a nadzieja blednie. Nie pragnął zresztą spędzić reszty życia jako błędzący po kamienistych pustkowiach dzikus. Serce rwało się ku wielkim czynom. Wtedy to, jak powiadają, objawiła się moc panującego nad wodami

mi Ulma, któremu każdy strumień spływający ze Śródziemia do Wielkiego Morza był posłańcem przynoszącym nowiny w obie strony; ponad to Władcę Morza łączyła wieloletnia przyjaźń z Kirdanem i Budowniczym Okrętów u ujścia Sirionu³. W owym czasie Ulmo zwracał pilną uwagę na losy rodu Hadora, któremu w najskrytszych planach powierzał znaczącą rolę we wspomżeniu wygnańców. Wiedział też dobrze o poniewierce Tuora, Annaelowi bowiem i wielu jego pobratymcom udało się uciec z Dorlominu i ostatecznie dotrzeć do Kirdana na dalekim Południu.

I stało się tak, że pewnego dnia na początku roku (dwudziestego i trzeciego od klęski Nirnaeth) Tuor usiadł przy źródle bijącym nie opodal wylotu jaskini, w której zamieszkał, i spojrzął ku zachodowi, gdzie słońce zapadało za mglisty horyzont. Poczłł nagle, że czas oczekiwania dobiegł końca i poruszony nakazem serca zdecydował się powstać i ruszyć w drogę.

— Opuzczę szare ziemie mych pobratymców, których już tu nie stało! — krzyknął. — Pójdę na spotkanie przeznaczeniu! Ale gdzie się skierować? Tak długo już bez powodzenia szukałem Bramy.

Ujął wówczas harfę, z którą nigdy się nie rozstawał, biegle dobywając dźwięki z jej strun, i nie zważając na niebezpieczeństwo, zaśpiewał pieśń elfów z Północy głosem czystym, daleko niosącym się po pustkowiach. Gdy tak śpiewał, zdrój u jego stóp zakipiał nagle, aż woda zaczęła występować z brzegów, spływając z donośnym pluskiem po kamienistym zboczu wzgórza. Tuor uznał, że oto otrzymał znak, podążył zatem za biegiem strugi, która poprowadziła go spomiedzy wyniosłych wzgórz Mithrimu ku północy, na równinę Dorlominu. Idąc brzegiem strumienia toczącego coraz więcej wody, skręcił na zachód, aż trzeciego dnia zarysowały się przed nim szare granie Ered Lomin. Pasma rozciągało się w z północy na południe, przegradzając drogę do Zachodnich Wybrzeży. Do tego miejsca we wszystkich swoich podróżach Tuor nigdy przedtem nie dotarł.

Teren stawał się coraz bardziej nierówny i skalisty. Grunt przed Tuorem zaczął się wznosić, a strumień zagłębił się w skalnej szczelinie. Wraz z nadejściem zmierzchu, trzeciego dnia wędrówki, Tuor stanął przed urwiskiem. Strumień nikał w otworze przypominającym wielki łuk bramy. Zrozpaczony Tuor powiedział:

— Zatem nadzieja okazała się złudna! Ujrzały na wzgórzach znak przywiódł

³ W *Silmarillionie*, na stronie 238, znajdujemy wzmiankę, że po zniszczeniu przystani Brithombar i Englaest (w rok po Nirnaeth Arnoediad), ci spośród elfów z Falas, którzy zdołali uciec, ruszyli za Kirdanem na wyspę Balar i „przygotowali na wyspie Balar schronienie dla wszystkich elfów, którzy zdołaliby uciec przed nieprzyjacielem; elfowie Kirdana zatrzymali bowiem także przyczółek u ujścia Sirionu, gdzie w gęstym jak las sitowiu zarastającym odnogi rzeczne i zalewy stały ukryte lekkie i szybkie statki”.

mnie jedynie do ponurego końca pośrodku krain nieprzyjaciela. — Ze smutkiem w sercu przysiadł pomiędzy skałami na stromym brzegu strumienia. Trwał tak, przepelniony goryczą, przez całą noc, dotkliwie odczuwając brak ognia, był to bowiem dopiero miesiąc Sulime i nawet najmniejszy powiew wiosny nie dotarł jeszcze na północ, za to ze wschodu dał mroźny wiatr.

Gdy jednak pierwsze promienie wschodzącego słońca rozjaśniły mgły Mithrimu, Tuor usłyszał głosy, a spojrzawszy w dół, dostrzegł dwa elfy brodzące w płytkiej wodzie i zmierzające ku wykutym w brzegu stopniom. Gdy wspinali się na górę, Tuor wstał i zawołał ich. Elfy dobyły natychmiast mieczy i skoczyły ku intruzowi. Ujrzał wówczas, że pod szarymi płaszczami mieli kolczugi i zdumiał się, przybysze bowiem byli piękniejsi od wszystkich innych, poznanych dotąd przez Tuora elfów. Osobliwie też przyciągali spojrzenie, a to za sprawą dziwnego blasku jarzącego się w ich oczach. Stał tedy prosto, oczekując ich, a gdy zauważyli, że zamiast sięgać po broń, śle im serdeczne pozdrowienia w języku elfów, schowali miecze, podejmując uprzejmie rozmowę.

— Jesteśmy Gelmir i Arminas, z ludu Finarfina — powiedział jeden z nich.
— Czy należysz do ludu Edainów, zamieszkującego te krainy po Ninareth? Sądząc po złotych włosach, pochodzisz najpewniej z rodu Hadora i Hurina.

— Tak, jestem Tuor, syn Galdora, który był synem Hadora, ale obecnie pragnę opuścić ten kraj, w którym sam zostałem jako banita.

— A zatem — odparł Gelmir — jeśli chcesz uciec i znaleźć schronienie na Południu, twoje stopy zawiodły cię już na właściwą drogę.

— Tak właśnie sądziłem, wędrowałem bowiem w ślad za strugą, która wytrysnęła nagle na wzgórzach. Nie wiem teraz, gdzie się zwrócić, woda bowiem ginie w ciemności.

— Poprzez ciemność dochodzi się czasem do światła — powiedział Gelmir.

— Lepiej jednak, jeśli tylko można, wędrować w pełnym blasku słońca — odparł Tuor. — Ale skoro jesteście z rodu elfów, to proszę, powiedzcie mi, gdzie znajduje się Brama Noldoru. Szukam jej bowiem, odkąd Annael, mój przybrany ojciec z plemienia Elfów Szarych, wspomniał o istnieniu tej drogi.

Elfy roześmiały się, aż w końcu rzekły:

— Poszukiwania twe dobiegły kresu, my sami bowiem dopiero co przeszliśmy przez Bramę. Masz ją przed sobą! — Wskazali na skalny łuk, pod którym niknęła woda. — Ruszaj! Poprzez mrok dotrzesz do światła. Skierujemy cię na właściwy szlak, ale nie poprowadzimy zbyt daleko, wysłano nas bowiem do krainy, którą kiedyś w nagłej potrzebie opuściliśmy pospiesznie.

— Nie bój się jednak — dodał Gelmir. — Widzę po twym czole, że masz do wykonania wielkie zadania, które zawiodą cię daleko od tych krain, a najpewniej na-

wet poza Śródziemie.

Zszedł więc Tuor w ślad za nimi do strumienia i brodząc w wodzie, podążył pod kamiennym łukiem. Wówczas Gelmir wydobył jedną ze sławnych lamp Noldorów, które niegdyś zrobiono w Valinorze. Ani wiatr, ani woda nie mogły ich zgasić, a jeśli zdjęło się osłonę, wówczas lśniły światłem mocnym i błękitnym, dobywającym się z uwięzionego w białym kryształe płomienia⁴. Gdy Gelmir uniósł lampę ponad głowę, Tuor ujrzał, jak podziemna, spływająca po stromiźnie rzeka znika w wielkim tunelu. Obok zasłanego głazami koryta długie schody wiodły w dół, ku mrokom, których blask lampy nie rozpraszał.

Skoro doszli do krańca bystrzyny, przystanęli pod ogromnym skalnym nawisem. Opodal rzeka spadała z hukiem aż echo niesło przez próg wodospadu, by zniknąć w dali pod sklepieniem kolejnego tunelu. Tutaj Noldor zatrzymał się i pożegnał Tuora.

— Pora nam wracać i ruszać czym prędzej swoimi drogami — powiedział Gelmir. — Wielkiej wagi wydarzenia szykują się w Beleriandzie.

— Czyżby nadeszła godzina Turgona? — spytał Tuor. Elfy spojrzały nań zdumione.

— To rzecz raczej Noldorów niż synów człowieczych — powiedział Arminas. — Co ci wiadomo o Turgonie?

— Niewiele — odparł Tuor. — Tyle tylko, że mój ojciec osłaniał jego ucieczkę z Nirnaeth i że teraz przemieszkuje w ukrytej warowni, z którą Noldorowie wiążą wszelkie swe nadzieje. Sam nie wiem, czemu imię jego porusza me serce i samo wykwita na ustach. Gdybym miał jakiś wybór, wolałbym wyruszyć i odszukać go, niż podążać tą mroczną drogą strachu. Chyba że to tajny szlak wiodący do jego kryjówki?

— Kto wie? — odparł elf. — Położenie warowni Turgona otoczone jest tajemnicą, więc i tajne są drogi do niej wiodące. Nie znam ich, chociaż długo takowych szukałem. Gdybym jednak je znał, i tak bym ich nie wyjawiał. Ani tobie, ani nikomu spośród ludzi.

— Słyszałem wszakże — wtrącił się Gelmir — że twój dom cieszy się łaskami Pana Wód. Jeśli to on podsuwa ci myśl o wędrówce do Turgona, to najpewniej zo-

⁴ Świecące błękitnym blaskiem lampy elfów z Noldoru opisane zostały już przedtem, chociaż nie ma o nich mowy w opublikowanej wersji *Silmarilliona*. We wcześniejszej wersji opowieści o Turinie, Gwindor, elf z Nargothrondy, który uciekł z Angbadu i został przez Belega odnaleziony w puszczy Taur-nu-Fuin, miał właśnie taką lampę (widać ją na rysunku mego ojca, który namalował owo spotkanie [patrz *Pictures by J. R. R. Tolkien, 1979, nr 37*]). Właśnie w świetle nagle wyróconej i odkrytej przez to lampy Gwindora Turin ujrzał, że to Belega właśnie przyszło mu zabić. W przypisie do historii Gwindora urządzenia te zwane są „lampami feanoryjskimi”, których sekretu nie znali nawet sami Noldorowie. Opis powiada zaś, że były to „kryształy zawieszane na siatce z łańcuszków i świecące niezmiennie własnym, błękitnym blaskiem”.

staniesz doprowadzony do celu. Ruszaj szlakiem wody, za którą przyszedłeś tu ze wzgórz, i niczego się nie lękaj! Nie powinieneś długo maszerować w ciemności. Żegnaj! I nie wydaje mi się, żeby to przypadek zrządził nasze spotkanie, Mieszkający w Głębi bowiem kieruje niezmiennie wieloma sprawami tego świata. Anar kaluva tielyanna!⁵

Z tymi słowami Noldor obrócił się i podążył z powrotem długimi schodami, Tuor jednak stał nieruchomo, aż całkowicie zniknęło migotanie lampy i pośród huku wodospadu mrok zapadł głębszy niż noc. Zebrawszy wszystką odwagę, Tuor przycisnął lewą dłoń do skalnej ściany i po omacku ruszył naprzód, z początku idąc wolno, potem coraz szybciej, kiedy wzrok przywykł do mroku. Nie napotkał żadnej przeszkody i wydawało mu się, że wędruje już dłuższą chwilę; zmęczony, ale niechętny, by przysiąść na odpoczynek w ciemnym tunelu, ujrzał przed sobą światło. Przyspieszając kroku, dotarł do szczeliny, którą bystry strumień wypływał na złocisty blask wieczoru.

Znalazł się w głębokim parowie o wysokich ścianach, biegnącym na zachód. Na wprost zachodziło słońce, niebo było czyste i pogodne, ściany wąwozu lśniły ognisćie, a rzeka złociła się, tocząc pianę po kamienistym dnie.

Tuor ruszył rozpadliną z sercem lekkim i pełnym nadziei, bez trudu znajdując ścieżkę wzdłuż brzegu strumienia, u stóp południowej ściany. Z nadejściem nocy rzeka stała się niewidoczna, tylko gwiazdy odbijały się od ciemnych wód. Tuor ułożył się na spoczynek, nie lękał się bowiem, będąc w pobliżu wody niosącej moc Ulma.

Rankiem bezzwłocznie ruszył dalej. Słońce grzało go w plecy, potem świeciło w twarz, a tam, gdzie potok burzył się na głazach lub kotłował w wodospadach, wykwitwały ponad strumieniem barwne tęczę, toteż nazwał Tuor ów rzeczny wąwóz Kirith Ninniach.

Tak podróżował niespiesznie przez trzy dni, jedynie popijając zimną wodę, choć rzeka pełna była złocistych i srebrzystych ryb migocących wszystkimi kolorami. Nie odczuwał jednak głodu. Czwartego dnia dotarł do miejsca, w którym wąwóz rozszerzał się, ściany obniżały się, a ich stromizna łagodniała. Nurt rzeki za to przybrał na sile, po obu stronach bowiem rozciągały się wysokie wzgórza, skąd spływały lśniącymi wodospadami do Kirith Ninniach kolejne strumienie.

⁵ „Niechaj słońce oświetla ci drogę”. W krótszej znacznie wersji opowieści pomieszczonej w *Silmarillionie* nie ma mowy, jakim to sposobem Tuor znalazł Bramę Noldorów, nie znajdujemy tam też elfów Gelmira i Arminasa, Pojawiają się oni jednak w opowieści o Turinie (*Silmarillion*, str. 258), jako wysłannicy przynoszący do Nargothrundu ostrzeżenie od Ulma. Według tej wersji mają oni być podwładnymi Angroda, syna Finarfina, który po Dagor Bragollach zamieszkał na południu wraz z Kirdanem. W dłuższej wersji opowieści o ich przybyciu do Nargothrundu Arminas, niepochlebnie wyrażając się o Turinie i porównując go z Tuorem, stwierdza, że spotkał go „na pustkowiach Dorlominu”.

Tuor posiedział tu dłuższą chwilę, zasłuchany w nie milknące dźwięki i wpatrzony w bystre wiry. Trwał tak, aż noc zapadła i zimne gwiazdy zapaliły się na niebie. Wówczas dobył głosu i potrącił struny swej harfy, a pieśń popłynęła nad wodami, odbijając się echem od ścian, błędząc ponad wzgórza, aż cała mrokiem otulona okolica wypełniła się tą muzyką zrodzoną pod gwiazdami. Nic o tym nie wiedząc, Tuor dotarł do Gór Echa w Lammoth. To tutaj właśnie, w Fiordzie Drengist, wyładował niegdyś po swej morskiej podróży Feanor i nim księżyc wzeszedł, zgiełk jego armii ogarnął całe wybrzeże Północy⁶.

Zachwytem przepełniony Tuor urwał pieśń i muzyka zamierała z wolna pośród wzgórz, aż nastąpiła kompletna cisza, w której usłyszał ponad sobą dziwny krzyk, nie wiedział jednak, jakie stworzenie wydało ów odgłos.

— To sprawka czarów — orzekł najpierw. — Nie, raczej małe zwierzę skowyczy na pustkowiach — stwierdził po chwili, a gdy znów usłyszał krzyk, uznał: — To z pewnością mowa nieznanego mi nocnego ptaka. — Wydało mu się, że ten pełen żałości głos przyzywał go, był przeznaczeniem. Chciał podążyć za wołaniem, chociaż nie wiedział, jaki byłby kres wędrówki.

Rankiem usłyszał tenże głos tuż nad sobą, a podniósłszy głowę, ujrzał trzy wielkie, białe ptaki lecące nad wąwozem. Ich mocne, walczące z zachodnim wiatrem skrzydła lśniły w blasku wschodzącego słońca. Ptaki krzyczały donośnie, przelatując nad Tuorem. Tak oto po raz pierwszy ujrzał ukochane przez Telerich wielkie mewy. Powstał zatem i ruszył za nimi, a żeby lepiej śledzić ich lot, wspiął się na lewe zbocze wąwozu. Stanąwszy na szczycie, poczuł na twarzy silny, rozwiewający mu włosy podmuch z zachodu. Wciągnął głęboko to nowe dlań powietrze.

— Raduje me serce niczym łyk chłodnego wina! — powiedział, wiedząc już, że wiatr ów wieje wprost znad Wielkiego Morza.

Tuor ponownie ruszył w drogę, wypatrując szybujących wysoko ponad rzeką mew, aż dotarł do miejsca, gdzie brzegi wąwozu znów zbliżyły się do siebie, tworząc wąski kanał, w którym rozlegał się rozgłośny szum. Spojrzał Tuor w dół i zdumiał się, widząc wody wzbierające w korycie strumienia i walczące z prądem, aż

⁶ Silmarillion podaje (str. 92), że gdy Morgoth i Ungolinata zmagali się tamże o Silmarile, „z gardła Morgotha dobył się straszliwy wrzask, który echo rozniosło wśród gór. Dlatego okolicę tę nazwano Lammoth, gdyż echo krzyku Morgotha przetrwało wieki i każdy, kto się tu znalazł, mógł je swoim głosem wzbudzić na nowo; całe pustkowie między górami a morzem zawsze odtąd rozbrzmiewało jak gdyby jękami torturowanych”. Z drugiej jednak strony, zamieszczony tu opis sugeruje, że każdy dźwięk rozbrzmiewał swym własnym echem, tyle że potężnym. Ta sama idea pojawia się na początku trzynastego rozdziału Silmarilliona (str. 125), (fragment bardzo podobny do omawianego): „Kiedy [Noldorowie] stawali stopy na łądzie, krzyk ich rozległ się i pomnożył wśród gór tak, że zgiełk jakby niezliczonych głosów wypełnił całe północne wybrzeże”. Wygląda na to, że wedle jednej „tradycji” Lammoth i Ered Lomin (Góry Echa) zawdzięczają swe nazwy przechowanemu tamże echu strasznego krzyku Morgotha pochwyconego przez Ungoliantę, inna zaś „tradycja” sugeruje, że jest to związane z akustycznymi właściwościami tych okolic.

nagle rosnące falą wysoką niczym ściana. Pieniste, targane wiatrem wierzchołki sięgały niemal do szczytów klifu. Nareszcie znalazł się w głębokim parowie o wysokich ścianach, biegnącym na zachód. Na wprost zachodziło słońce, niebo było czyste i pogodne, ściany wąwozu lśniły ognieście, a rzeka złościła się, tocząc pianę po kamienistym dnie. Nareszcie rzeka ustąpiła i masy wody zalały kanał, z gromowym hukiem miotając zaścielającymi dno głazami. W ten oto sposób zew morskich ptaków uratował Tuora od śmierci w falach przyływu, który za sprawą pory roku i wiejącego od morza wiatru był tym razem szczególnie wysoki.

Zjawisko przeraziło Tuora na tyle, że cofnął się od brzegu i skręcił na południe. Szedł omijając długie wybrzeża Zatoki Drengist. Kilka dni wędrował przez pagórkowatą, bezdrzewną okolicę omiataną nieustannie nawałnicami od morza. Cokolwiek tu rosło, krzew czy zielsko, smagane zachodnim wiatrem skłaniało się ku wschodowi. Tak przekroczył Tuor granicę Nevrastu, gdzie przemieszkiwał niegdyś jego ojciec, Turgon. Wreszcie, całkiem tego nieświadom (wysokie klifowe brzegi przesłaniały widok) dotarł nagle do krańca Śródziemia i ujrzał Wielkie Morze, Bezbrzeżny Belegaer. W tej godzinie słońce dotykało płomiennym kręgiem krańca świata, a Tuor stanął na szczycie klifu i rozpostarł szeroko ramiona, a serce jego wypełniła ogromna tęsknota. Powiada się, że był on pierwszym człowiekiem, który zawędrował do Wielkiego Morza i że nikt, wyjąwszy Eldarów, głębiej nie odczuł nigdy tęsknoty sączonej przez owe fale.

Tuor spędził wiele dni w Nevraście. Kraina ta wydała mu się przyjazna, jako że otoczona od północy i od wschodu górami, cieplejsza była przez to i nie tak surowa jak równiny Hithlumu. Z dawna przywykł do życia myśliwego, w pojedynkę radząc sobie w głuszy, a zwierzyny nie brakowało, gdyż wiosna rozkwitła i powietrze wypełniały odgłosy ptactwa, zarówno siadującego nad brzegami morza, jak i przybywającego z mokradeł Linaewenu z głębi łądu. W owych dniach nie przeszkodziła mu w samotności obecność ani elfów, ani ludzi.

Dotarł Tuor nad brzeg wielkiego jeziora, jednak do otwartych wód broniły przystępu pasma bagien i nie przebyte gąszcze trzcin. Zawrócił więc ku wybrzeżu, morze bowiem przyciągało go i nie chciał przebywać nazbyt długo w miejscu, skąd nie byłoby słychać szumu fal. Właśnie tam, gdzie wysokie i wyrzeźbione morzem brzegi na południe od Grengistu obfitowały w szczeliny i ukryte zatoczki z plażami białego piasku pomiędzy lśniącymi, czarnymi głazami, Tuor po raz pierwszy trafił na ślady dawnych Noldorów. Odnajdywał je, schodząc kręconymi schodami wykutymi w żywej skale. Nad wodą znajdował zrujnowane przystanki złożone z wielkich bloków wydartych niegdyś ze ścian klifu. Tutaj w dawnych latach cumowały statki elfów. Obserwując wiecznozmiennie morze, Tuor pozostał w tych stronach, aż minęła wiosna, końca dobiegło lato i mroki zagęściły się nad

Beleriandem, zwiastując bliskość jesieni i zguby Nargothrondu.

Być może ptaki przeczuwały srogą zimę⁷, te bowiem, których zwyczajem było wędrować na południe, wcześniej zebrały się do odlotu, a inne, żyjące na północy, przyleciały do Nevrastu. Pewnego dnia, gdy Tuor siedział na brzegu, usłyszał nagle szum i łopot wielkich skrzydeł. Podniósł głowę i ujrzał klucz siedmiu białych łabędzi podążających na południe. Jednak przelatując nad nim, ptaki skrzyły nagle i runęły w dół, z wielkim pluskiem siadając na wodzie.

Tuor kochał łabędzie, które widywał jeszcze na szarych stawach Mithrimu, łabędź był też godłem Annaela i jego przybranego ludu. Powstał zatem, by powitać ptaki, i zawołał, urzeczony ich nigdy jeszcze dotąd nie widzianą wielkością i dumną postawą. Te jednak załopotały skrzydłami i krzyknęły chrapliwie, jakby uznały go za wroga i pragnęły odpędzić od brzegu. Potem znów z rozgłosnym szumem wzniosły się w powietrze i przeleciały nad Tuorem, aż poczuł na twarzy silny niczym wichur podmuch ich ogromnych skrzydeł. Zatoczyły jeszcze szeroki krąg, i wleciały wyżej, kierując się na południe.

Wówczas Tuor krzyknął głośno:

— Oto następny znak, tak długo wyczekiwany!

Z miejsca wspiął się na szczyt klifu i poszukał na niebie sylwetek ptaków. Potem ruszył na południe śladem łabędzi, które szybko zniknęły mu z oczu.

Całe siedem dni wędrował Tuor wzdłuż wybrzeża południe, a łopot łabędzich skrzydeł budził go co rano i codziennie ptaki prowadziły go dalej, sobie tylko znany szlakiem. Z czasem brzegi obniżyły się, skały ustąpiły miejsca pełnym kwiecistym łąkom, na wschodzie zaś pojawiły się żółknące z woli, jesienne lasy. Coraz bliżej też było pasmo wysokich wzgórz odcinających drogę i ciągnących się ku wieńczącej łańcuch od zachodu potężnej górze, której skryty w chmurach, mroczny wierzchołek wznosił się ponad rozległym, zielonym przylądkiem sięgającym daleko w morze.

Owe szare wzgórza były w istocie zachodnią odnogą Ered Wethrinu ogradzającego Beleriand od północy, góra zaś zwała się Taras i stanowiła najbardziej na zachód wysunięte wzniesienie tej krainy, z dala widoczne dla każdego żeglarza, który zbliżał się do krain śmiertelnych. Na jej to stokach zamieszkał niegdyś Turgon w komnatach Vinyamaru, najstarszej kamiennej budowli wzniesionej przez Noldorów na ziemi ich wygnania. Zamek stał nadal choć opuszczony, na wysokich tarasach spoglądających w morze. Mijające lata obeszły się z nim miłosiernie, nawet słudzy Morgotha omijali budowlę, jedynie wiatr, deszcz i mróz znaczyły kamienie,

⁷ Por. *Silmarillion*, str. 262: „Tymczasem Turin pędził na północ przez spustoszoną teraz krainę między Narogiem a Teiglinem, a na jego spotkanie wyszła sroga zima, w tym roku bowiem śnieg spadł, zanim się skończyła jesień, a wiosna była spóźniona i chłodna”.

bujna zaś zieleń pokrywała nie tylko dachy, ale wciskała się nawet w szczeliny pomiędzy kamieniami.

Tuor dotarł do pozostałości zapomnianej drogi i mijając wzgórze i skały, doszedł u schyłku dnia do starego zamku. W przestronnych salach hulał wiatr, ale nie zalegał tu żaden mrok, żadne zło nie czyhało w zakamarkach; mimo to Tuora ogarnął strach, gdy pomyślał o tych, którzy mieszkali tu niegdyś, a potem odeszli, nie wiadomo dokąd. Podziwiał przybyłe zza Morza dumne plemię nieśmiertelnych, lecz skazanych na zgubę. Tak jak oni często, tak i on spojrzął na błyszczące, niespokojne wody toczące fale aż po horyzont. Potem obrócił się i dostrzegł łabędzie, które przysiadły na najwyższym tarasie przed zachodnią bramą. Były skrzydłami, jakby nakłaniały go do wejścia. Wspiął się zatem Tuor po szerokich schodach, na wpół skrytych pod dywanem zawciągu i firletek, przeszedł pod potężnym nadprożem i dał się ogarnąć ceniom domu Turgona. W końcu dotarł do sali o sklepieniu wspartym na wysokich kolumnach. Wprawdzie już z zewnątrz budowla wydawała się ogromna, jednak dopiero teraz docenić mógł w pełni jej wspaniałość i przestronność. Zalękniony, nie ważył się budzić drzemiących w pustych przestrzeniach ech. Jedynym, co dostrzegł we wnętrzu, było wysokie siedzisko stojące na podwyższeniu u wschodniej ściany. Jak tylko mógł ostrożnie, ruszył w tym kierunku, ale i tak kamienne płyty podłogi odpowiedziały jego stopom miarowym stukotem, jakby przeznaczenie dawało znać o sobie, a echo poniosło odgłos daleko naprzód, gubiąc się między odgradzonymi przez kolumny nawami.

Stanął przed pograżonym w półmroku tronem i ujrzał, że wyciosano go z jednego bloku kamienia i pokryto dziwnymi znakami. Zachodzące słońce spojrzęło w tejże chwili prostopadle w wysokie okno u zachodniego szczytu, rozjaśniając ścianę przed Tuorem. Błysnął polerowany metal, wisiała tam bowiem tarcza i obszerna kolczuga, obok hełmu i długiego miecza w pochwie. Kolczuga lśniła, jakby zrobiono ją z czystego srebra, a promienie słońca załwały ją barwą złocistej patoki. Kształt tarczy zdumiał jednak Tuora, była bowiem podłużna i zwężała się ku dołowi. Na błękitnym polu widniało białe skrzydło łabędzie. Wówczas Tuor przemówił, a głos jego niczym wyzwanie zadźwięczał pod sklepieniem:

— Ogłaszam, iż biorę sobie ten oręż i przyjmuję wszelki los, który za jego sprawą mnie dosięgnie⁸.

⁸ Silmarillion (str. 151) powiada, że gdy Ulmo pojawił się Turgonowi w Vinyamarze i wysłał go do Gondolinu, uczynił to ze słowami: „Może się więc zdarzyć, że klątwa ciężąca nad Noldorami dosięgnie cię, nim czas się dopełni, i że zdrada zalegnie się także w murach twój grodu. A wtedy zagrozi mu ogień. Gdy wszakże przybliży się to niebezpieczeństwo, przyjdzie ktoś z Nevrastu, aby cię ostrzec i dzięki niemu wśród ruin i płomieni zaświta dla elfów i ludzi nadzieja. Zostaw tedy w swoim nadmorskim domu zbroję i oręż, aby ten, co po latach przyjdzie, mógł znaleźć je tutaj i abyś po tych znakach rozpoznał go i nie dał się zwieść fałszywemu zwiastunowi”. Po czym Ulmo poinstruował Turgona, jaki dokładnie hełm, kolczugę i miecz powinien zostawić.

Zdjęta ze ściany tarcza okazała się niespodziewanie lekka i poręczna. Wydawała się zrobiona z drewna, jednak kowale elfów obłożyli ją płatami cienkiej jak folia, ale mocnej blachy chroniącej dzieło przed robactwem i zgubnym wpływem pogody.

Potem przywdział Tuor kolczugę i nałożył hełm, wreszcie przypasał miecz tkwiący w czarnej pochwie. Czarny był też pas ze srebrnymi klamrami. Tak uzbrojony, wyszedł z pałacu Turgona i spowity czerwonym blaskiem słońca stanął na najwyższym tarasie na stoku góry. Nie było świadka tej chwili, gdy cały skąpany w srebrze i złocie spojrzał na zachód. Tuor sam nie wiedział, jak bardzo przypominał wówczas potężnych władców Zachodu, kogoś godnego zostać królem nad królami ludzkiego plemienia zza Morza. Bo i takie właśnie było jego zadanie, a wraz z przejściem oręża zmiana zaszła w Tuorze, synu Huora i duch jego urósł. Gdy zstępował ze schodów, łabędzie oddały mu cześć, a każde wyrwawszy ze skrzydeł po jednym piórze, ofiarowały je Tuorowi, składając głowy na kamieniach u jego stóp. Zatknał tedy siedem piór na hełmie, a wówczas olbrzymie ptaki wzniosły się i uleciały ku północy, by zniknąć w blasku zachodzącego słońca i nigdy już więcej nie pokazać się oczom Tuora.

Poczuł Tuor teraz, że coś ciągnie go na brzeg morza, zszedł zatem długimi schodami na szeroką plażę u stóp północnego zbocza Tarasness, słońce tymczasem zniknęło za wielką, czarną chmurą, która wychynęła sponad fal ciemniejącego morza. Oziębilo się, powietrze zadrgało, a odległe pomruki przywoływały na myśl odgłosy zwiastujące nadejście burzy. Gdy Tuor stanął na brzegu, słońce widniało już jako skryta za dymem kula ognia, a wielka fala wydawała się wzbierać i toczyć ku brzegowi. Zdumiony i zaciekawiony Tuor nie wykonał jednak najmniejszego ruchu. Powleczona cieniem mgły fala była już bardzo blisko, gdy załamała się, wyciągając ku niemu długie ramiona piany. W miejscu jednak, gdzie grzywacz opadł, mroczyła pośród nadciągającej burzy naznaczona wielkim majestatem, wyniosła sylwetka.

Tuor skłonił się z szacunkiem, zdało mu się bowiem, że patrzy na potężnego króla. Wysoka korona jak ze srebra, długie włosy jaśniejące w półmroku niczym piana. A gdy ów król odrzucił spowijający go mgliście szary płaszcz, ukazała się lśniąca szata przylegająca do ciała tak jak łuska ogromnej ryby, a ciemnozielony kaftan pobłyskiwał niczym morskie fale, gdy postać brodziła z wolna ku brzegowi. Tak Mieszkaniec Głębin, którego Noldorowie zwykli nazywać Ulmo, pokazał się Tuorowi, synowi Huora z rodu Hadora⁹.

Władca Wód nie wyszedł jednak na brzeg, a tylko stojąc po kolana w wodzie,

⁹ Tuor był ojcem Earendila, który był ojcem Elrosa Tar-Minyatura, pierwszego króla Numenoru.

przemówił do Tuora, a za sprawą bijącego z jego oczu blasku i głębi głosu, który dobywał się, jak sądzić by można, z samych fundamentów świata, strach padł na Tuora, aż ten rzucił się na piasek.

— Powstań, Tuorze, synu Huora! — rzekł Ulmo. — Nie lękaj się mego gniewu, chociaż zaprawdę długo pozostawałeś głuchy na moje wołania i ociągałeś się z podróżą, która tutaj miała cię zawieść. Wiosną winienesz stanąć w tym miejscu, a tymczasem zima już nadchodzi z kraju Nieprzyjaciela. Przyjdzie ci teraz szybko się uczyć, miła zaś i bezpieczna droga, którą dla ciebie wytyczyłem, będzie musiała ulec zmianie. Pogardzono bowiem moimi radami¹⁰ i wielkie zło zbiera się nad Doliną Sirionu, i już teraz czereda wrogów zaległa pomiędzy tobą a celem.

— Jakież jest mój cel, panie? — spytał Tuor.

— Ten, który serce ci zawsze dyktowało — odparł Ulmo. — Odnaleźć Turgona i spojrzeć na Ukryte Miasto. Tobie bowiem właśnie pisana jest rola, mego wysłannika. Wszystko dla cię z dawna przygotowałem. Teraz jednak skryty w cieniu musisz ujść niebezpieczeństwu. Owiń się w ten płaszcz i nie odrzucaj go, aż znajdziesz się u kresu podróży.

Zdało się wtedy Tuorowi, że Ulmo rozszczepił swą szarą szatę. Jedną z fałd pod postacią obszernego płaszcza cisnął młodzieńcowi, a ta spowiła go całego, od stóp do głów.

— W ten sposób wędrować będziesz skryty w moim cieniu — powiedział Ulmo. — Ale nie zwlekaj już, bo nie wytrwa owa opończa zbyt długo w blasku Anaru albo ogni Melkora. Czy przyjmujesz zadanie?

— Tak, panie — odparł Tuor.

— Włożę tedy w twe usta słowa, a ty przekażesz je Turgonowi — rzekł Ulmo. — Najpierw jednak udzielę ci nauki. Usłyszysz rzeczy, których nie słyszał nigdy żaden człowiek, nawet znamienici spośród Eldarów. — Ulmo opowiedział Tuorowi o Valinorze i o zalegającym tam mroku, o wygnaniu Noldorów i Zgubie Mandosa, jak i o zakryciu Błogosławionego Królestwa przed oczami niepowołanych. — Wiedz jednak, że Los (jak nazywać go zwykły Dzieci Ziemi) zawsze zostawia szczeliny pomiędzy swymi wyrokami, a mury gmachu przeznaczenia mają liczne wylomy i trwa to tak, aż rzecz się dopełni w chwili przez was zwanej Końcem. Tak będzie, póki ja istnieję, głosem sekretnym podważając fatum, iskrą światła rozpraszając ostateczne mroki. Chociaż w tych dniach ciemności zdają się przeciwstawić woli moich braci, Władców Zachodu, to na tym właśnie polega przeznaczona mi u zarania Świata rola w naszym dziele. Wprawdzie siła potężna stoi za Przeznaczeniem i wydłuża się cień Nieprzyjaciela, a i ja słabnę, aż ostatecznie głos mój

¹⁰ Odnosi się to niechybnie do ostrzeżenia Ulma, które Gelmir i Arminas przynieśli do Nargothrondu.

w Śródziemiu nie będzie donioślejszy od cichego szeptu. Źródła wód, które biegną ku zachodowi, są zatrute, władza Mieszkańca Głębin zanikła w tych krajach, za sprawą bowiem potęgi Melkora elfy i ludzie oślepli i ogłuchli na moją obecność. Zbliża się spełnienie Klątwy Mandosa i wszystkie dzieła Noldorów szecznią, rozwieje się wszelka nadzieja, którą oni zasiali. Została już jedna tylko szansa, przez nich nie przewidziana ani nie stworzona. Wiąże się ona z tobą, albowiem tak wybrałem.

— A zatem Turgon nie stanie przeciwko Morgothowi, jak łudzą się Eldarowie? — spytał Tuor. — Cóż więc przyjdzie ci z tego, panie, jeśli dołączę teraz do Turgona? Owszem, pragnę zrobić to, co uczynił mój ojciec, i stanąć przy królu, gdy ten w potrzebie. Jednak jakież ze mnie pożytek, skoro będę jeno samotnym śmiertelnikiem pomiędzy licznymi i dzielnymi rycerzami Wysokiego Rodu.

— Jeśli postanowiłem wysłać cię tam, Tuorze, synu Hurona, to wierzaj, że nawet jeden twój miecz wiele wart jest w tej sytuacji. Elfy bowiem nigdy nie zapomną o męstwie Edainów i doceniały będą przez wieki całkowitą gotowość ludzi do oddania życia, chociaż tak skąpo zostali nim obdarowani na tym świecie. Jednak nie dla odwagi samej cię wysyłam, ale i po to, byś niósł światu nadzieję, której zwiastunów jeszcze nie widać, małe światełko pośród mroków.

I gdy mówił tak Ulmo, pomruk morza przeszedł w łoskot, zerwał się wiatr, a niebo poczerniało i szata Pana Wód spłynęła zeń niczym kłęby mgły.

— Ruszaj już — rzekł Ulmo — bo inaczej Morze cię pochłonie! Osse posłuszny jest woli Mandosa, a czyni to w gniewie, gdyż jest sługą Przeznaczenia.

— Jak każesz — odparł Tuor. — Ale jeśli umknę Przeznaczeniu, jakie słowa winienem przekazać Turgonowi?

— Jeśli doń dotrzesz, wówczas właściwe słowa same wykwitną na twych wargach, jakbym to ja sam przemawiał. Mów wtenczas i nie obawiaj się! Potem zaś czyni wedle tego, co mężne serce ci podpowie. I pilnuj otrzymanej ode mnie szaty, bo będzie ona cię strzegła. Przyślę ci też, chroniąc od gniewu Ossego, przewodnika — ostatniego zaprawdę żeglarza z ostatniego statku. Przed wzejściem Gwiazdy popłynie na zachód. A teraz ruszaj w głąb ładu!

Rozległ się huk gromu i błyskawica zamigotała nad morzem, a Tuor ujrzał Ulma, który niby srebrzysta i skąpiana w płomieniach wieża stał pomiędzy falami.

— Ruszam, panie! — zawołał, przekrzykując wiatr. — Ale najpewniej serce me tęskniło będzie za morzem.

Wówczas Ulmo uniósł potężny róg i zadał weń, dobywając z instrumentu ton, przy którym ryk burzy był niczym zefirek ledwie muskający spokojną toń jeziora. Gdy ów dźwięk ogarnął Tuora, zdało się młodzieńcowi, że wybrzeże Śródziemia zniknęło i oto oczom jego ukazały się w wielkiej perspektywie wszystkie

wody świata: rzeki od źródeł do ujść, przestwór cały od plaż i delt po głębiny. Ujrzał rojące się osobliwymi formami życia, niespokojne i mroczne otchłanie Wielkiego Morza, gdzie w wiecznej ciemności rozbrzmiewały echemi głosy napęlniające grozą uszy śmiertelnika. Byстрым spojrzeniem Valara ogarnął wszystkie te bezkresne przestrzenie skryte powierzchnią wód bezwietrznie trwających pod okiem Anara lub migocących drobnymi falami w blasku rogatego księżyca, a czasem rozbijających się gniewnymi górami fal o brzeg Wysp Cienia¹¹, aż u samego krańca perspektywy, w nie dającej się zmierzyć odległości, dojrzał górę, której ogrom przekraczał ludzkie wyobrażenie. Stopami kąpiąc się w przyboju, wierzchołkiem ginęła w lśniącej chmurze. Wyteżył słuch, by wyłowić szum dalekich fal, skupił spojrzenie, chcąc dojrzeć lepiej tamten blask, ale wówczas to dźwięk rogu zamilkł i Tuor znalazł się w samym środku burzy. Widlasta błyskawica przecięła niebo. Ulmo zniknął, morze nacierało, dzikie fale uderzały za sprawą Ossego w mury Nevrastu.

Tuor umknął wściekłości wód, z wielkim trudem wspinając się z powrotem na wysoki taras. Wiatr przyciskał go do stromego zbocza, a na samej górze powalił na kolana. Tuor ponownie poszukał schronienia w mrocznym i pustym wnętrzu zamku. Całą noc przeczekał na kamiennym tronie Turgona. Burza była tak gwałtowna, że nawet kolumny drżały pod jej naporem, a Tuorowi zdawało się, że wichry niesie dzikie okrzyki i zawrota. Zmęczony, przysypiał chwilami, ale dręczyły go wówczas niespokojne sny, z których wszystkie, prócz jednego, umknęły pamięci przy przebudzeniu. Ten jeden dotyczył wyspy, pośrodku której wznosiła się stroma góra. Słońce zachodziło za jej zboczami i cienie rosły coraz dłuższe, ale na nieboskłonie lśniła oślepiająco samotna gwiazda.

Wyśniewszy to, Tuor zasnął wreszcie głęboko, a jeszcze przed końcem nocy burza minęła, wycofując się czarnymi chmurami na wschód. Obudził się Tuor o szarym świcie, zszedł z tronu i ujrzał, że cała mroczna sala pełna była ptactwa morskiego, które znalazło tu schronienie przed sztormem. Wyszedł z zamku, gdy ostatnie gwiazdy bledły na zachodzie przed nadchodzącym dniem. Poznał po śladach, że w nocy wielkie fale wtargnęły daleko w głąb lądu, sięgając aż szczytu wysokiego klifu, wodorosty zaś i wszelkie prądem niesione nieczystości zalegały nawet na tarasie przed zamkowymi drzwiami. Spojrzawszy zaś na najniższy taras, dostrzegł Tuor elfa, okrytego szarym, przemoczoną płaszczem, opierającego się o mur tuż obok zwałów kamieni i wraku statku. Usiadł w milczeniu, wpatrzony w spustoszone sztormem plaże i załamujące się na nich fale, i siedział tak nieruchomo. Nic prócz ryku przyboju nie mąciło ciszy.

¹¹ Wyspy Cienia to zapewne Zaczarowane Wyspy opisane pod koniec jedenastego rozdziału *Silmarilliona* (str. 120). „Ciągnęły się z północy na południe niby sieć” w czasach Ukrycia Valinoru.

Spoglądając na szarą postać, Tuor przypomniał sobie słowa Ulma i jego wargi same wymówiły właściwe imię.

— Witaj, Voronwe! — zawołał. — Oczekiwałem ciebie¹².

Wówczas elf obrócił się i spojrzał w górę, ukazując Tuorowi oczy przenikliwe i szare jak morze, oczy Noldora. Zaraz jednak pojawiły się w tym spojrzeniu i lęk, i zdumienie, wywołane widokiem Tuora stojącego wysoko na murze, w mglistym płaszczu spod którego prześwitywała kolczuga elfów.

Trwali tak przez chwilę w bezruchu, badając nawzajem swe oblicza, aż elf wstał i skłonił się nisko.

— Kim jesteś, panie? — spytał. — Długom borykał się z niespokojnym morzem. Powiedz mi, czy wielkie zaszły tu zmiany od czasu, gdy ostatni raz gościłem w tych krainach? Czy Cień został pokonany? Czy Ukryty Lud opuścił schronienie?

— Nie — odparł Tuor. — Cień urósł w siłę, a Ukryci pozostają w swym odosobnieniu.

Voronwe spoglądał nań dłuższą chwilę, nie wypowiadając ani słowa.

— A ty kim jesteś? — spytał ponownie. — Wiele lat temu mój lud opuścił te ziemie i od tamtej pory nikt nowy tu nie zamieszkał. Ty zaś, mimo odzienia, nie przynależysz do tego plemienia, ale raczej do człowieczego rodu.

— Owszem — odrzekł Tuor. — A czy tyś ostatni żeglarz z ostatniego statku, który wyruszając z Przystani Kirdana poszukać miał drogi na zachód?

— Tak. Jestem Voronwe, syn Aranwego. Ale skąd znasz moje imię i losy, tego nie pojmuję.

— Znam je, ponieważ wczoraj wieczorem przemówił do mnie Pan Wód — odparł Tuor. — Powiedział, że uratuje cię przez gniewem Ossego i przyśle tutaj, byś został mym przewodnikiem.

— Rozmawiałeś z Potężnym Ulmo? — zawołał Voronwe z lękiem i podziwem. — Niezwykle zaiste muszą być twe przymioty i wielkie przeznaczenie! Ale gdzież mam poprowadzić ciebie, panie, króla ludzi, jak sadzę, na którego rozkazy bez wątpienia czekają poddani.

— Jestem jedynie zbiegłym niewolnikiem — wyjaśnił Tuor — banitą samotnie błakającym się po obcym kraju. Niosę jednak wiadomość dla Turgona, Ukrytego

¹² Por. Silmarillion, str 238-239: „Przychylając się do tej [Turgona] prośby [po Nirnaeth Arnoediad], Kirdan zbudował siedem chyżych statków, które pożeglowały na zachód. O wszystkich słuch zaginał, tylko o jednym z nich, ostatnim, doszła na wyspę Balar jakaś wieść. Załoga tego statku długo walczyła z morzem i w końcu zrozpaczona zawróciła ku Śródziemni, lecz gdy żeglarze już widzieli brzegi, rozszał się sztorm i statek zatonął. Z całej załogi jednego tylko elfa uchronił Ulmo od gniewu Ossego. Ten ocalony nazywał się Voronwe i był jednym z posłów przysłanych przez Turgona z Gondolinu”. Zob. również Silmarillion, str. 292.

Króla. Czy nie znasz drogi wiodącej do niego?

— W tych złych czasach los niewolników i banitów łącznie spotyka wielu zrodzonych do innego życia — odparł Voronwe. — Myślę, że wedle prawa jesteś władcą ludzi. Ale najwyższa godność pośród twego plemienia to nie dość, by niepokoić Turgona i próżne będzie twe poszukiwanie. Bo nawet, gdybym do samych jego bram cię doprowadził, nie zostaniesz wpuszczony.

— Nie żądam, byś poprowadził mnie dalej niż do bramy — powiedział Tuor. — Tam Przeznaczenie zmierzy się z Wolą Ulma. Jeśli Turgon mnie nie przyjmie, wówczas moje zadanie dobiegnie końca i zgubne Przeznaczenie przeważy. Jeśli zaś mówić o mym prawie do poszukiwań Turgona, jestem Tuor, syn Huora i krewny Hurina, a te imiona Turgon pamięta. Poszukuję go także na polecenie Ulma. Czy Turgon może zapomnieć to, co niegdyś od niego usłyszał? „Ostatnia nadzieja dla Noldorów nadejdzie z Morza”. Lub też: „Gdy nadejdzie czas niebezpieczeństwa, wówczas zjawi się ktoś z Nevrastu, by cię ostrzec”¹³. To ja jestem tym, komu dane jest nadejść, mam na sobie strój uszykowany dla mnie na tę właśnie okazję.

Tuor zdumiał się, słysząc własne słowa, bo wcześniej nie był świadom prorocstwa Ulma o przybyszu z Nevrastu, nie znał go nikt poza Ukrytym Ludem. Wypowiedź tym bardziej zaskoczyła Voronwe; odwrócił się jednak, spojrzął ku Morzu i westchnął.

— Niestety! Nie pragnąłem tu wracać. Przysięgałem nierzadko pośród wodnych przestworów, że jeśli kiedyś jeszcze postawię stopę na suchym lądzie, to zamieszkać z dala od Cienia na Północy, w Przystani Kirdana lub też na jasnych łąkach Nantathren, gdzie wiosna przychodzi słodsza niż porywy serca. Ale skoro zło wzrosło w siłę w czasie mej wędrówki i lud mój znalazł się w niebezpieczeństwie, to muszę wrócić do pobratymców. — Spojrzął na Tuora. — Zaprowadzę cię do ukrytej bramy, bo niemądrze jest sprzeciwiać się woli Ulma.

— Pójdziemy więc razem, skoro jego woła nas połączyła — powiedział Tuor. — Ale porzuć żal, Voronwe! Serce podpowiada mi, że droga twego żywota zaprowadzi cię jeszcze do upragnionego celu i twa nadzieja powróci do Morza¹⁴.

— I twoja także — rzekł Voronwe. — Ale teraz pora nam już najwyższa wyruszyć.

— Zaiste. Ale kędy i jak daleko zamierzasz mnie poprowadzić? Czy nie powin-

¹³ Słowa wypowiedziane przez Ulma do Turgona pojawiają się w *Silmarillionie* w następującym brzmieniu (str. 151): „Pamiętaj, że prawdziwa nadzieja Noldorów świeci na zachodzie i przychodzi z za morza”, oraz „Gdy wszakże przybliży się niebezpieczeństwo, przyjdzie ktoś z Nevrastu, aby cię ostrzec”.

¹⁴ *Silmarillion* milczy o dalszych losach Voronwego po jego powrocie wraz z Tuorem do Gondolinu, pierwotna jednak wersja opowieści („O Tuorze i wygnańcach z Gondolinu”), powiada, że zdołał on umknąć z okrążonego grodu - jak sugerują to słowa Tuora.

niśmy najpierw zastanowić się nad wyborem drogi przez pustkowia, gdzie nie znajdziemy osłony przed surową zimą?

Voronwe jednak nie chciał zdradzić żadnych szczegółów dotyczących szlaku.

— Znasz siłę człowieczą — stwierdził w końcu. — Ja zaś jestem Noldorem i wielkiego zaiste chłodu i głodu trzeba, by powalić jednego z tych, którzy przeszli niegdyś przez Cieśninę Lodowej Kry. Jak inaczej dawałbym sobie radę pośród słonych wód morza? Czy nie słyszałeś nigdy o sucharach elfów? Jak wszyscy marynarze, zachowuję je przy sobie do końca. — Odchylił płaszcz, pokazując zatknięty za pasem szczelny pakunek. — Żadna woda mu nie straszna, póki go nie rozerwę. Musimy jednak zachować to na czarną godzinę, ostatecznie banita i myśliwy z pewnością znajdzie coś do zjedzenia, nawet jeśli czas temu nie sprzyja.

— Może — odparł Tuor. — Ale nie wszędzie bezpiecznie jest polować, nie zawsze też jest na co. Poza tym łowy przedłużają wędrówkę.

Tuor i Voronwe przygotowali się do drogi. Tuor zabrał jeszcze ze ściany mały łuk i strzały, ale włącznie z wypisanym runami elfów Północy jego imieniem zostawił na znak, że odwiedził to miejsce. Voronwe nie miał żadnej broni, prócz krótkiego miecza.

Jeszcze przed południem opuścili pradawną siedzibę Turgona i Voronwe poprowadził Tuora ku zachodowi, najpierw schodząc po stromych stokach góry Taras, potem przecinając rozległy przylądek. Niegdyś biegła tam droga wiodąca z Nevrastu do Brithombaru, teraz zarosła zielenią pomiędzy torfowymi nasypami. Tak doszli do Beleriandu i północnej części Falas, a zwróciwszy się na wschód, poszukali cienistych jarów Ered Wethrinu, gdzie poczekali w ukryciu, aż zapadnie zmrok. Bo chociaż starożytne siedziby Falathrimu, Brithombaru i Eglarestu były jeszcze daleko, to teraz rządzą tu Orkowie, a cały kraj roił się od szpiegów Morgotha, który obawiał się, że dobijające niekiedy do wybrzeży okręty Kirdana mogą połączyć się z najeźdźcami wysłanymi z Nargothrundu.

Posiadując skuleni niby szare cienie u stóp wzgórz, pogadywali sporo, ale ledwo Tuor jął wypytywać Voronwe o Turgona, elf powściągał język, rozwodząc się raczej o siedzibach na Wyspie Balar i w Lisgardh, krainie trzciny u ujścia Sirionu.

— Liczba przemieszkujących tam Eldarów rośnie powiedział — coraz ich bowiem więcej umyka przed Morgothem, dość mając wojny. Ja jednak nie opuściłem moich pobratymców z własnego wyboru. W rok po Bragolach i przerwaniu oblężenia Angbadu, zwątpienie wkraśli do serca Turgona wraz z obawą, że Morgoth może jedna okazać się zbyt potężny. Wówczas to pierwsi jego wysłannicy, garstka ledwie, przeszli bramę od tej strony. Tajna misja nie powiodła się jednak, niczego nie osiągnęli, wyjąwszy dotarcie do wielkiej wyspy Balar, gdzie z dala od wpływów Morgotha założyli samotną kolonię. Noldorowie bowiem nie są

biegli w sztuce budowania statków na tyle mocnych, by pokonały fale Belegaera Wielkiego¹⁵.

Ale gdy później Turgon usłyszał o zniszczeniu Fala i splądrowaniu pradawnej, nieodległej stąd przystani skutników, gdy dowiedział się, że Kirdan nie zdołał ocalić swego ludu i pożeglował na południe do zatoki Balar, wówczas raz jeszcze posłał umyślonych. Było to całkiem niedawno, chociaż dla mnie wieki całe minęły od tej chwili. Znajdowałem się bowiem pomiędzy tymi, których wysłano, chociaż młody wciąż jestem jak na Eldara. Urodziłem się tutaj, w Śródziemiu, w Nevraście. Moja matka pochodziła z Szarych Elfów, a łączyła ją więź krwi z samym Ulmem (w pierwszych latach panowania Turgona nierzadko zdarzały się takie mieszane związki), noszę więc z właściwą plemieniu matki miłość do morza. Dlatego właśnie dobrano mnie do kompanii, bo przecież zadaniem nas było pozyskanie pomocy Kirdana w budowaniu statków. Mieliśmy zanieść wieści i błagania o wsparcie do Władców Zachodu, nim wszystko przepadnie. Zamarudziłem jednak po drodze. Niewiele dotąd widziałem Śródziemia, a do Nantathren dotarliśmy wiosną. Uroczy to kraj Tuor i sam się o tym przekonasz, jeśli kiedykolwiek stopa twoja postanie na wiodących ku południu drogach w dole biegu Sirionu. Znaleźć tam można lekarstwo na wszelką tęsknotę za morzem, skuteczne dla wszystkich, prócz naznaczonych przez Los. Tamże Ulmo jest sługą jedynie Yavanny, a ziemia daje życie szlachetnemu bogactwu, niewyobrażalnemu wprost dla kogoś tkwiącego pośród wzgórz Północy. Tam też Narog wpada do Sirionu, którego nurt łagodnieje i rzeka rozlewa się szeroko, leniwie płynąc pomiędzy pełnymi życia łąkami. Na jej brzegach zwartym lasem rośnie tatarak, a trawy mieniają się klejnotami kwiatów, dzwoneczków, płomieni czerwonych i złotych, niczym kolorowe gwiazdy rzuconych na zielony firmament. Najpiękniejsze ze wszystkiego są jednak wierzby Nantathrenu, bladezielone, srebrzyste na wietrze, niezliczonymi liśćmi szeleszczące w zakłętej melodii. Dni i noce mijały mi tam niepostrzeżenie, a ja stałem w wysokiej po kolana trawie i słuchałem. Oczarowany, zapomniałem o Morzu, w wędrówce, na-

¹⁵ Por. *Silmarillion*, str. 192: „[Turgon] był też przekonany, że koniec oblężenia był początkiem upadku Noldorów - nieuchronnego, jeśli nie nadejdzie jakaś potężna pomoc. Wysłał więc tajemnie oddziały Gondolindrimów do ujścia Sirionu i na wyspę Balar. Spełniając rozkazy króla, elfowie zbudowali tam statki i pożeglowali na najdalszy zachód, aby odszukać Valinor i wyprosić u Valarów przebaczenie i pomoc; mieli nadzieję, że ptaki morskie staną się dla nich przewodnikami. Ale morze było ogromne i burzliwe, osłonięte cieniem i mocą czarów, a Valinor zakryty przed ich oczyma. Żaden więc z wysłanników Turgona nie dopłynął do zachodniego brzegu, wielu zginęło po drodze, a tylko nieliczni wrócili z tej wyprawy”.

W jednym z „pierwotnych tekstów” *Silmarilliona* jest mowa o tym, że chociaż Noldorowie „nie znali sztuki skutniczej i wszystkie okręty, które dane było im zbudować, niepewnie żeglowały i wiatry często cofały je do przystani”, to jednak po Dagor Bragollach „Turgon ustanowił tajną kryjówkę na wyspie Balar”, a kiedy po Nirnaeth Arnoediad Kirdan i pozostali z jego szczepu uciekli z Brithombaru i Eglarestu na Balar, wówczas to „zmieszali się z ludem Turgona”. Ten jednak fragment opowieści został wykluczony z wydania *Silmarilliona* i przez to nie ma tam ani wzmianki o założeniu przez elfy z Gondolinu osady na wyspie Balar.

dając nazwy nowym kwiatom, polegając, by posłuchać śpiewu ptaków, brzęczenia pszczoł oraz wszelkich innych owadów.

I mógłbym dalej tam błędzić, nie myśląc o pobratymcach, o statkach Telerich i mieczach Noldorów, ale przeznaczenie dało znać o sobie. Może zresztą stało się to za sprawą Pana Wód, silna bowiem jest jego władza w tej krainie.

Tak więc przyszło mi do głowy, by zbudować tratwę z witek wierzby i powierzyć swój los jasnym nurtom Sirionu. Uczyniłem to, a pewnego dnia, gdy żeglowałem środkiem rzeki, nagły poryw wiatru porwał mnie i wyniósł z Krainy Wierzb do Morza. Jako ostatni z wysłanników przybyłem do Kirdana, kiedy to siedem statków, które tenże wybudował na prośbę Turgona, było już gotowych. Wszystkie ukończono, prócz jednego. Po kolei odpływały na Zachód, ale żaden jeszcze nie powrócił i wszelki słuch po nim zaginął.

Jednak słone morskie powietrze na nowo obudziło we mnie dziedzictwo krwi matczynej, z radością przeto zabrałem się do nauki żeglowania, która przychodziła mi bardzo łatwo, jakbym już z dawna wiedział o każdym szczególe. Gdy ostatni, największy statek, został ukończony, paliłem się, by na nim wyruszyć, i powtarzałem sobie w myślach: „Jeśli słowa Noldorów są prawdziwe, to na zachodzie rozciągają się łąki, przy których Kraina Wierzb jest niczym. Nie ma tam wiatrów, a wiosna trwa wiecznie. Może nawet ja, Voronwe, zdołam dotrzeć do tego miejsca. W najgorszym zaś razie żegluga lepsza jest niż trwanie w Cieniu Północy”. I nie bałem się, żadne bowiem fale nie zatopią statków Telerich.

Jednak straszne są odmęty Wielkiego Morza, Tuorze, synu Huora, i nienawidzi ono Noldorów, posłuszne bowiem Valarom służy dziełu fatalnego Przeznaczenia. Gorsze rzeczy chowa, niż tylko utonięcie w otchłani i zatrącenie na wieczność, bo i nienawiść, i samotność, i szaleństwo. Przerazanie wichurą i burzą, ciszą martwą, odbierające wszelką nadzieję cienie, w których zatraca się wszystko, co żywe. Obmywa liczne brzegi dziwne i złe, wiele wysp niebezpiecznych, zarażonych strachem. Nie będę zmrażał ci serca, synu Śródziemia, opowieściami o siedmiu latach żeglugi po Wielkim Morzu z północy na południe, nigdy jednak na zachód. Ta droga była przed nami zamknięta.

Nareszcie, w czarnej rozpaczce pogrążeni i zmęczeni śmiertelnie, zawróciliśmy i umknęliśmy fatum, które oszczędzało nas tak długo po to jedynie, by tym okrutniej potem doświadczyć. Bo gdy dojrzeliliśmy z daleka górę, a ja zawołałem: „Patrzcie! Oto Taras, kraina mych narodzin”, zerwał się wiatr i ciemne niczym ołów chmury przygnały z zachodu. Porwały nas fale jak żywe, złośliwe bestie, błyskawice oślepiły, a gdy runęły maszty, morze poniosło bezwładny kadłub. Mnie jednak oszczędziło. O ile pamiętam, w pewnej chwili nadciągnęła fala większa od innych, ale i spokojniejsza. Zabrała mnie z pokładu i przetoczywszy na swym grzbiecie,

rzuciła na wysoki brzeg, po czym cofnęła się, wodospadem spływając z klifu. Godzinę tam siedziałem, gdy nadszedłeś, zastając mnie wpatzonego wciąż w morze. Wciąż czuję lek towarzyszący tamtemu wydarzeniu i boleję nad gorzkim losem mych towarzyszy, z którymi tyle przewędrowałem, docierając do obszarów niewidocznych z krain śmiertelników.

Voronwe westchnął i odezwał się spokojniej, jakby mówił sam do siebie:

— I tak jasno lśniły gwiazdy na krańcu świata w tych chwilach, gdy rozpraszały się chmury zachodu. Ale czy tylko ciężkie obłoki widzieliśmy, czy rzeczywiście, jak utrzymywali niektórzy, dane było nam dostrzec Góry Pelori otaczające naszą utraconą ojczyznę, tego nie wiem. Daleko, bardzo daleko się wznoszą i nikt z krain śmiertelnych nigdy już tam najpewniej nie dotrze. — Aż umilkł Voronwe, bo noc już nadeszła wraz z białym i zimnym blaskiem gwiazd.

Wstawszy, Tuor wraz z Voronwe odwrócili się plecami do morza, zaczynając swą długą podróż w mroku. Niewiele da się o niej powiedzieć, cięń Ulma bowiem skrywał Tuora, toteż nikt nie widział ich przemarszu pomiędzy lasami i skałami, polami i moczarami, wschodami i zachodami słońca. Wciąż jednak szli wytrwale, umykając nocnym drapieżcom Morgotha, omijając ścieżki wydeptane przy elfy i ludzi. Voronwe wybierał szlak, Tuor podążał za nim, nie zadając przy tym niepotrzebnych pytań i zdumiewając się tylko, że zmierzają wciąż na wschód, równoległe do gór, nie skręcając wcale na południe. Tak jak pozostałe elfy i wszyscy ludzie, Tuor sądził, że Turgon osiedlił się z dala od pól bitewnych Północy.

Zmrokiem i nocą powoli przedzierali się przez bezdroża, a gdy zima nadciągnęła wcześniej z królestwa Morgotha, nawet kotliny pomiędzy wzgórzami nie były wystarczającym schronieniem przed silnymi, kłuszącymi chłodem wiatrami. Nie trwało długo, a głęboki śnieg zaległ na wzgórzach, zadymką grożąc na przełęczach, okrył bielą lasy Nuath, zanim jeszcze zdążyły opaść zwiędłe liście¹⁶. Tak zatem, chociaż wyruszyli w drogę przed połową Narquellie, gdy zbliżyli się do źródeł Narogu, Hisime nadszedł wraz z siarczystym mrozem.

Tam właśnie przystanęli o szarej godzinie u kresu nocy, a skonsternowany Voronwe spojrział wokoło z żalem i przerażeniem. Miast stawu jaśniejącego w kamiennej misie, którą niegdyś wyłobiły spadające wody, miast porosłej drzewami dolinki u stóp wzgórz, ujrzeli kraj splugawiony i obumarły. Drzewa spalone były lub wyrwane z korzeniami, skały nabrzeżne zaś skruszone i spękane, tak że wody Ivrinu rozlały się rozległym, jałowym bagnem pośród zniszczonego łądu. Błoto zamarzło obecnie i tylko zatęchły smród zgnilizny zalegał niby mgła nad ziemią.

— Czyżby zło dotarło aż tutaj? — krzyknął Voronwe. — Niegdyś zakątek ten

¹⁶ Lasy Nuath nie są wymienione w *Silmarillionie*, nie ma ich też na dołączonej do książki mapie. Rozciągały się na zachód od górnego biegu Narogu ku źródłu rzeki Nening.

bezpieczny był przed zapędami Angbada, ale widzę, że ręce Morgotha sięgają coraz dalej.

— Jest tak, jak zapowiadał Ulmo — rzekł Tuor. — „Źródła wód, które biegną ku zachodowi, są zatrute, moja władza zanikła w tych krajach”.

— Objawiła się tu siła złości większej niż prosta złośliwość Orków — odparł Voronwe. — Strach czai się w tym zakątku. — Przepatrzył jeszcze skraj bagna, aż nagle znieruchomiał i znowu krzyknął: — Tak, wielkie zło!

I skinął na Tuora, a gdy ten podszedł bliżej, dostrzegł wielką bruzdę przypominającą trop. Po obu stronach wiodącego na południe śladu widniały utrwalone przez mróz odciski pazurzystych łap.

— Widzisz! — dodał Voronwe z twarzą pobladłą ze zgrozy i obrzydzenia. — Nie tak dawno przechodził tędy Wielki Robak Angbada, najokrutniejszy spośród wszystkich potworów Nieprzyjaciela! Już jesteśmy spóźnieni i trzeba nam ze wszystkich sił pospieszać do Turgona.

Gdy to powiadał, z głębi lasu dobiegło ich wołanie, przystanęli zatem, zasłuchani, pomiędzy szarymi głazami. Głos był czysty, choć nabrzmiały żalem i zdawał się wzywać po imieniu kogoś zagubionego. Wtem zza drzew wyszedł jakiś człowiek, wysoki, uzbrojony i odziany w czerń, z długim mieczem w ręku. Zdumie li się, ostrze miecza bowiem też było czarne, jedynie na krawędziach lśniło mocnym, chłodnym blaskiem. Mężczyzna miał niedolę wypisaną na twarzy, a gdy ujrzał spustoszenia nad brzegami Ivrinu, zakrzyknął zrozpaczony:

— Ivrin, Faelivrin! Gwindor i Beleg! Tutaj zostałem niegdyś uzdrowiony! Nigdy już jednak nie zaczerpnę z tej krynicy spokoju.

Potem odszedł ku północy, a uczynił to szybko, jak ktoś w pogoni lub jak niecierpiący zwłoki posłaniec z pilnym zadaniem. Słyszeli jeszcze jego wołanie: Faelivrin, Findulas!, aż głos jego ucichł za drzewami¹⁷. Nie wiedzieli, bo wiedzieć nie mogli, że Nargothrond padł i że oto spotkali Turina, Hurinowego syna zwanego Czarny Miecz. W tej oto jednej, jedynej minucie skrzyżowały się na chwilę szlaki tych dwóch krewniaków, Turina i Tuora.

Gdy Czarny Miecz ich minął, Tuor i Voronwe podążyli w dalszą drogę, chociaż dzień już zaświtał. Udzielił im się żal nieznanego wędrowca, nie mogli też ścierpieć widoku splugawionego Ivrinu. Szybko jednak poszukali schronienia, wyczuwali bowiem coś złego wiszącego w powietrzu. Sen ich był krótki i niespokojny. Wraz ze zmierzchem padać zaczął gęsty śnieg, noc zaś powitała wędrowców siarczystym mrozem. Od tamtej pory śnieg i lód nie topniały przez całe pięć miesięcy.

¹⁷ Por. *Silmarillion*, str. 255-256: „Córka króla Orodretha, Findulas, poznała go i przywitała mile, gdyż kochała Gwindora, zanim poszedł walczyć w bitwie Nirnaeth, on zaś tak był rozmiłowany w jej piękności, że nazywał ją Faelivrin, czyli Odblaskiem Słońca na Rozlewiskach Ivrin”.

cy surowej zimy, która na długo wryła się w pamięć mieszkańcom Północy. Tuor i Voronwe cierpieli katusze z zimna, obawiali się także, że wrogowie łatwo wypatrzą ich ślad. Czujnie stawiali każdy krok, nie chcąc wpaść w skryte pod białą powłoką pułapki. Dziewięć dni tak wędrowali, stąpając coraz wolniej i z większym wysiłkiem, aż Voronwe zaczął skręcać nieco ku północy, póki nie przeszli trzech strug źródeł Teiglinu, potem elf znowu ruszył na wschód, oddalając się od gór. Zmęczeni, minęli Glithui i dotarli do zamrożonego i czarnego strumienia Malduin¹⁸. Tutaj Tuor powiedział do Voronwego:

— Mróz jest okrutny i śmierć czai się z każdym dniem bliżej, jeśli nie na ciebie, to na mnie na pewno. — Z każdym dniem pogarszała się ich kondycja, dawno już nie znaleźli w głuszy niczego do jedzenia, zapas sucharów kurczył się niepokojąco, byli zziębnięci i osłabieni.

— Niedobrze jest znaleźć się pomiędzy zgubnym Przeznaczeniem Valarów a Złem Nieprzyjaciela — odparł Voronwe. — Czy po to umknąłem morskim falom, by znaleźć grób pod śniegiem?

— Ile drogi nam jeszcze zostało? — spytał Tuor. — Dość tajemnic, Voronwe, przynajmniej wobec mnie. Czy prowadzisz prosto, czy kluczysz? Jeśli bowiem mam zdobyć się na dalszy marsz, muszę wiedzieć, jaki wysiłek mnie czeka.

— Wiodłem cię drogą na tyle prostą, na ile tylko było to możliwe i bezpieczne — odparł Voronwe. — Wiedz zatem, że Turgon nadal zamieszkuje na północy kraju Eldarów, chociaż niewielu w to wierzy. Jesteśmy już blisko, mimo to przed nami wciąż niemało staj do przebycia, nawet lotem ptaka, a nas czeka jeszcze przeprawa przez Sirion i nie wiemy, jakie zło spotkać nas może na szlaku. Zapewne niedługo dojdziemy do gościńca, który wiodł niegdyś od Minas króla Finroda do Nargothrondu¹⁹. Szlak ten pozostaje pod ciągłą strażą Nieprzyjaciela.

— Uważałem się za najtwardszego z ludzi — powiedział Tuor. — Wiele zim przecierpiałem w górach, tam jednak miałem schronienie jaskini i ogień, teraz zaś widzę, że w ten głodny, mroźny czas przyjdzie zdobyć się na większy jeszcze wysiłek. Wędrujmy więc, jak długo się da, nim nadzieja nas opuści.

— Nie mamy wyboru — stwierdził Voronwe — chyba że zlegniemy na śniegu, by zamarznąć we śnie.

Tak też brnęli z mozołem przez cały ten goryczy pełen dzień, uznając srogość zimy za wroga większego niż nieprzyjacioły, jednak im dalej szli, tym mniej znaj-

¹⁸ Rzeka Glithuina nie pojawia się w Silmarillionie, nie ma też jej nazwy na mapie, chociaż sama rzeka tam widnieje: dopływ Teiglinu, nieco na wschód od Malduiny.

¹⁹ O drodze tej czytamy w Silmarillionie (str. 250): „Posuwali się odwiecznym szlakiem, prowadzącym przez długi wąwóz Sirionu obok wyspy, na której Finrod zbudował swoją wieżę Minas Tirith, następnie przez krainę pomiędzy Malduiną a Sirionem i dalej skrajem lasu Brethil do Przeprawy na Teiglinie”.

dywali śniegu, skierowali się bowiem z powrotem na południe, ku Dolinie Sirionu, góry Dorlominu zostawiając daleko za sobą. W zapadającym zmierzchu dotarli do gościńca biegnącego u stóp wysokiego, lasem porośłego wału i tam nagle dobiegły ich głosy. Wyjrzawszy ostrożnie spośród drzew, ujrzeli w dole czerwone światło. Gromada Orków obozowała pośrodku drogi przy wielkim ognisku.

— Gurth an Glamhoth!²⁰ — mruknął Tuor. — Pora wyłonić się mieczowi spod płaszcza. Gotów jestem zaryzykować życie, byle poczuć ciepło tego ognia. Nawet mięso Orków byłoby mi miłą strawą.

— Nie! — stwierdził Voronwe. — W tej podróży tylko płaszcz może się przyśłużyć. Nie myśl o ogniu, chyba że zapomnieć chcesz o Turgonie. To nie jedyna banda w głuszy. Czy twe oczy śmiertelnika nie dostrzegają odległych światła innych posterunków na północy i południu? Zgiełk sprowadzi nam wrogów na głowy. Posłuchaj mnie, Tuorze! Wbrew prawu Ukrytego Królestwa jest, by ktoś zbliżał się do jego granic z nieprzyjacioły deptającymi mu po piętach, a ja nie złamię tego prawa i nie zmusi mnie do tego ani Ulmo, ani sama śmierć. Zostawię cię, jeśli zaczepisz Orków.

— Dobrze, minę ich — powiedział Tuor. — Ale niech dożyję tego dnia, gdy nie będę już musiał przemykać obok garstki Orków niczym tchórzliwy pies.

— Dalej! — polecił Voronwe. — Dość gadania, bo nas wyczują. Ruszaj za mną!

Przekradł się na południe, z wiatrem, aż znaleźli się w połowie drogi pomiędzy tym obozowiskiem a następnym. Tam przystanęli na dłuższą chwilę, nastawiając uszu.

— Nie słyszę nikogo na drodze — rzekł — ale nie wiemy, co może czaić się w cieniu. — Zerknął przed siebie, w mrok i wzdrygnął się. — Złe jest to powietrze — mruknął. — Niestety! Tuż przed nami leży kraina, cel naszej wyprawy i nadzieja życia, ale śmierć nas od niej odgradza.

— Śmierć jest wszędzie wkoło nas — stwierdził Tuor. — Sił zostało mi jednak tylko na przebycie najkrótszej z dróg. Musimy przepawić się tutaj, inaczej już po nas. Zaufam szacie Ulma, powinna skryć również i ciebie. Teraz ja poprowadzę!

Tak mówiąc, podkradł się do skraju drogi, potem, obejmując mocno Voronwego, narzucił na obu fałdy szarego płaszcza Pana Wód i ruszył naprzód.

Trwała niczym nie zmacona cisza. Podmuch zimnego wiatru przemknął nad dawną drogą. Nagle ucichł i on, a Tuor wyczuł zmianę w powietrzu, jakby oddech tchnący z krainy Morgotha osłabł na chwilę, ustępując nikłemu jak wspomnienie morza powiewowi z zachodu. Niczym szara mgła przemknęli po kamiennym go-

²⁰ „Śmierć Glamrothom!” To drugie słowo, chociaż nie występuje w *Silmarillionie* ni *Władcy Pierścieni*, określało w języku sindarińskim Orków jako takich. Dokładnie znaczy tyle, co *Jazgotliwa banda*” czy „armia wrzawy”. Por. miecz Gandalfa *Glamdring* i *Tol-in-Gaurhoth*, Wyspa (armii) wilkołaków.

ścińcu i zniknęli w gęstych zaroślach po wschodniej stronie.

W tejże chwili tuż obok rozległ się dziki wrzask i zaraz zawtórowały mu następne po obu stronach drogi. Chrapliwie odezwał się róg, dały się słyszeć odgłosy bieganiny. Tuor jednak nie wpadł w panikę. Dość poznał w niewoli język Orków, by zrozumieć znaczenie tych krzyków: strażnicy zwietrzyli ich i usłyszeli, ale nie dojrżeli. Pościg jednak wyruszył, zatem Tuor z wysiłkiem zaczął przekradać się dalej z Voronwem u boku, wspinając się po łagodnym stoku porośłym kolcolistem i czernicą, płacząc się w gęsto rosnącej jarzębinie i niskich brzozech. Przystanęli na grani, nasłuchując dobiegających z dołu krzyków i czynionego przez Orków łomotu.

Tuż obok wyrastał ze splątanych wrzośców i jeżyn spory głąz, pod nim zaś otwierała się jama, wspaniale nadająca się na schronienie dla ściganego zwierzęcia, nadzieja, jeśli nie na umkniecie prześladowcom, to przynajmniej na drogie sprzedanie swego życia. Tuor wciągnął Voronwego w ciemną niszę, gdzie położyli się obok siebie i przykryci szarym płaszczem dyszeli jak zgonione lisy. Nie wypowiedzieli ani słowa, cali zamienieni w słuch.

Odgłosy pogoni słabły coraz bardziej, Orkowie bowiem nie zapuszczali się nigdy zbyt głęboko w głąsę po obu stronach drogi, poprzestając raczej na krążeniu po samym gościńcu. Zbiegowie mało ich obchodzili, obawiali się jednak szpiegów i zbrojnych oddziałów wroga, Morgoth bowiem wysłał strażników na szlak nie po to, by zatrzymali Tuora i Voronwego (o których, jak dotąd, nic nie wiedział) czy też kogokolwiek nadciągającego z zachodu, ale by wypatrywali Czarnego Miecza i przeszkodzili mu w ucieczce i ściganiu uprowadzonych z Nargothrondu jeńców, a może nawet sprowadzeniu pomocy z Doriathu.

Noc mijała i cisza znów zapadła nad martwymi krainami. Znużony i wyczerpany, Tuor spał przykryty płaszczem Ulma, Voronwe wypełził jednak spod kamienia i milczący stał bez ruchu, penetrując elfimi oczami wszystkie cienie. O świcie obudził Tuora, a gdy ten wyrzwał na świat, zauważył, że pogoda zaiste poprawiła się chwilowo i wiatr odegnał czarne chmury. W różowym brzasku dostrzegł odległe szczyty dziwnych gór, odcinające się na tle ogarniętego porannym pożarem nieba.

Wówczas Voronwe wyszeptał:

— Alae! Ered on Echoriath, ered e.mbar nin!²¹ — Wiedział bowiem, że patrzy na Góry Okrężne, otaczające murem królestwo Turgona. Poniżej, w głębokiej i cienistej dolinie, płynął jasny i sławiony w pieśni Sirion, dalej zaś, otulone we mgły, rozciągało się pogórze, od brzegów rzeki ciągnące się aż do skruszonych

²¹ Echoriath: Góry Okrężne otaczające równinę Gondolinu, ered e.mbar nim: góry mego domu.

wzniesień u stóp wysokich gór. — Za nimi leży Dimbar — powiedział Voronwe. — Obyśmy do niego dotarli! Tam nasi wrogowie rzadko odważają się zapuszczać, a przynajmniej było tak w czasach, gdy moc Ulma żyła w Sirionie. Teraz jednak wszystko mogło się zmienić²², wszystko, prócz samej rzeki, która zawsze była niebezpieczna. Głęboka jest i bystry jej nurt, nawet Eldarom niełatwo ją przebyć. Dobrze cię jednak poprowadziłem, tam bowiem pieni się Bród Brithiach, trochę tylko na południe. Niegdyś tamtędy przebiegała Wschodnia Droga z Tarasu. Nikt, ani elf, ani człowiek, ani Ork, nie waży się teraz jej przebyć, chyba że w ostatecznej potrzebie, szlak ten bowiem wiedzie do Dungorthebu i krainy strachu pomiędzy Gorgoroth i Obręczą Meliany. Trakt zarósł już dawno, zostawiając po sobie jedną ścieżkę wijącą się pomiędzy krzewami i ciernistymi powojami²³.

Wówczas Tuor spojrział tam, gdzie wskazywał Voronwe, i dojrzał w dali błysk otwartych wód lśniących w promieniach poranka, za nimi jednak trwała ciemność wielkiej puszczy Brethilu ciągnącej się ku odległym wyżynom na południu. Z wysiłkiem zeszli po zboczu doliny, aż dotarli do dawnej drogi zbiegającej od krzyżówki z gościńcem z Nargothrundu u granicy Brethilu. Tuor zauważył, że zbliżyli się już znacznie do Sirionu, ale wysokie brzegi koryta rzeki rozchodziły się w tym miejscu, a wody rozlewały się szeroko i płytko na obficie zaścielających dno kamieniach²⁴, szemrząc pianistymi strumieniami. Trochę dalej Sirion znów zwężał się, płynąc ku lasom, gdzie znikał w nieprzeniknionych dla oka oparach mgły. Tam bowiem, chociaż Tuor o tym nie wiedział, leżała skryta w cieniu Obręczy Meliany północna marchia Doriathu.

Zrazu Tuor chciał pospieszyć ku brodowi, ale Voronwe powstrzymał go ze słowami:

— Nie możemy przebyć Brithiach w świetle dnia, musimy też poczekać, aż zyskamy całkowitą pewność, że zmyliliśmy pogonie.

— Mamy więc usiąść tu i tkwić bezczynnie? — spytał Tuor. — Wątpliwości nie pozbedziemy się nigdy, jak długo trwało będzie królestwo Morgotha. Dalej! Ruszajmy skryci w cieniu płaszczu Ulma.

Voronwe wahał się jednak, spoglądając na zachód, ale nikt nie nadciągał szla-

²² W *Silmarillionie*, str. 244, Beleg z Doriathu powiada Turinowi (a dzieje się to kilka lat przed czasem tu zamieszczonej opowieści), że Orkowie znaleźli drogę przez przełęcz Anach i „Dimbar, kraina dawniej tak spokojna, już czuje nad sobą władzę Czarnej Ręki”.

²³ Tąże drogą Maeglin i Aredhel uciekli do Gondolinu przed pościgiem Eola (*Silmarillion*, str. 16), później Kelegorm i Kurufin obrali ją wygnani z Nargothrundu (tamże, str. 213). Wzmianka na temat zachodniego przedłużenia drogi do sławnej siedziby Turgona u stóp góry Taras, pojawia się dopiero w niżej tekście. Na mapie szlak urywa się w miejscu połączenia ze starym, południowym gościńcem wiodącym wzdłuż północno-zachodniego skraju Brethilu do Nargothrundu.

²⁴ Nazwa Brithiach zawiera rdzeń brith - „żwir”, pojawiający się również w nazwach Brithon i zatoeki Brithombar.

kiem i tylko szum wód mącił ciszę. Zerknął zatem na szare i puste niebo, na którym nawet ptak nie krążył. Nagle twarz jego pojaśniała i zawołał głośno:

— Dobrze jest! Wrogowie Nieprzyjaciół strzegą wciąż brodu. Orkowie nie pój-
dą tu za nami, zatem uda nam się teraz przemknąć pod płaszczem.

— Cóż takiego ujrzałeś? — spytał Tuor.

— Niedaleko sięga wzrok śmiertelnych! — odparł Voronwe. — Widzę orły
Crisseagrimu, ciągną tutaj. Przypatrz się tylko!

Wówczas Tuor wznosił oczy ku niebu, wytężył wzrok i wkrótce dostrzegł na
wysokości trzy sylwetki bijących skrzydłami ptaków, które spływały znad odle-
głych szczytów górskich, znów skrytych teraz w chmurach. Orły zniżały lot, za-
taczając koła, aż nagle będąc tuż nad głowami podróżników, z impetem puściły
się w dół, ale zanim Voronwe zdążył je zawołać, skrzydła zamasyściły i w szumie
skrzydeł oddaliły się ponad rzeką ku północy.

— Chodźmy — powiedział Voronwe. — Jeśli nawet jakiś Ork krążył w pobliżu,
leży teraz z nosem wbitym w ziemię i czeka, aż orły odlecą jak najdalej.

Zbiegli czym prędzej po łagodnym zboczu i przeprawili się przez Brithiach,
częściej stąpając suchą nogą po łachach żwiru niż brodząc w wodzie nie głębszej
niż po kolana. Rzeczne rozlewiska były czyste i bardzo zimne. Lód pokrywał po-
wierzchnię kałuż w miejscach, gdzie kręte strumyki zbłądziły pomiędzy kamienie,
jednak główny nurt Sirionu nie zamarał nigdy, nawet w czasie ciężkiej zimy jak
ta w roku upadku Nargothrondu ²⁵.

Po drugiej stronie przeprawy natknęli się na jar przypominający koryto
wyschniętego strumienia, który jednak zdołał wyrzeźbić sobie niegdyś głębokie
łożysko, spływając żywo z północy, z gór Echoriathu i przynosząc do Sirionu
kamienie, tworzące teraz bród Brithiach.

— Dotarliśmy, gdzie chciałem, choć niemal utraciłem nadzieję! — krzyknął
Voronwe. — Patrz! Oto jest ujście Suchej Rzeki i oto droga, którą przyjdzie nam
obrać²⁶. — Weszli wówczas w jar i ruszyli nim na północ pomiędzy stromymi
wzgórzami, a ściany parowu wznosiły się pionowo po obu stronach. Tuor potykał

²⁵ W alternatywnej wersji tego tekstu, niemal na pewno odrzuconej właśnie na rzecz wariantu wyda-
nego drukiem, podróżnicy nie pokonują Sirionu przez Brody Brithiach, ale kilka mil na północ od prze-
prawy. „Krętą ścieżką podjechali na brzeg rzeki, a wówczas Voronwe krzyknął:

- Spójrz na ten cud! Dobra i zła to dla nas wróżba. Sirion zamarał, chociaż żadna opowieść nie wspo-
mina, by zdarzyło się tak od czasu przybycia Eldarów ze Wschodu. Przejdziemy po lodzie, oszczędzając
wiele mil, zbyt długich na nasze siły. Jednakże w ten sposób inni też będą mogli przejść, by podążać na-
szym śladem”.

Bez przeszkód przeszli rzekę po lodzie i „tym sposobem, za radą Ulma, na niczym spełży knowania
Nieprzyjaciela, gdyż droga ich uległa skróceniu i ostatkiem sił i nadziei dotarli jednak Tuor i Voronwe do
koryta Suchej Rzeki w miejscu, gdzie kończyła ona swój bieg z pogórza”.

się w półmroku o zaścielające dno kamienie.

— Zła to droga dla znużonego wędrowca — stwierdził.

— Jednak wiedzie do Turgona — odparł Voronwe.

— Tym bardziej mnie zdumiewa, że początek jej pozbawiony jest straży. Spodziewałem się ujrzeć wielką bramę i siłę wartowników.

— Zobaczysz to wszystko we właściwym czasie — powiedział Voronwe. — Jesteśmy jeszcze daleko, a i na wyrost nazwałem tę wyboistą ścieżkę drogą, od bowiem ponad trzystu lat nikt tędy nie chodził prócz nielicznych a tajnych posłańców, Noldorowie zaś użyli wszelkich swych umiejętności, by zamaskować ów szlak, odkąd Ukryty Lud nań wkroczył. Brak tu strażników? A czy w ogóle zauważyłbyś ten przesmyk, gdybyś nie miał mieszkańca Ukrytego Królestwa za przewodnika? Czy odgadłbyś, że jest czymś więcej niż jeno dziełem wody i wiatru? Nie widziałeś orłów? To plemię Thorondora, do czasu, gdy Morgoth urósł w siłę, zamieszkiwało nawet Thangorodrim. Obecnie, po upadku Fingolfiną, orły żyją w Górach Turgona²⁷. One jedne, prócz Noldorów, znają położenie Ukrytego Królestwa i strzegą nieba ponad nim, choć dotąd żaden sługa Nieprzyjaciela nie odważył się wzlecieć tak wysoko. Znoszą Królowi nowiny o wszystkim, co dzieje się w okolicznych krainach. Gdybyśmy byli Orkami, możesz mieć pewność, że orły pochwytyłyby nas w swoje pazury i zrzuciły z wielkiej wysokości na bezlitosne skały.

— W to nie wątpię — odparł Tuor. — Ale zastanawiam się, czy wieści o naszym przybyciu nie dotrą do Turgona szybciej niż my sami. A czy to dobrze, czy źle, tylko ty jeden potrafisz ocenić.

— Ani źle, ani dobrze — stwierdził Voronwe. — Skoro i tak nie przebędziemy Strzeżonej Bramy nie zauważeni, zatem będą nas u jej progów wypatrywać, albo i nie. Jeśli tam dotrzemy, strażnicy z pewnością bez żadnych zapowiedzi sami rozpoznają, że nie jesteśmy Orkami. To jednak nie wystarczy, by przejść. Nie pojmujesz, Tuorze, jak wielkiemu niebezpieczeństwu przychodzi nam stawić czoło. Nie wiń mnie jednak, że cię nie ostrzegłem przed tym, co może nas spotkać,

²⁶ Por. Silmarillion, str. 150: „Istniała jednak tajemna droga wydrążona głęboko pod górami przez spływające do Sirionu wody. Tę drogę odkrył Turgon i dzięki temu dostał się na zieloną równinę wśród gór i ujrzał wznoszącą się na niej wyspę - skałę z twardego, gładkiego kamienia; dolinę tę bowiem w zamierzchłych czasach wypełniało wielkie jezioro”.

²⁷ W Silmarillionie nie ma mowy o tym, by wielkie orły zakładały kiedykolwiek gniazda na Thangorodrimie. W rozdziale 13. (str. 130) Manwe: „kazał kilku orłom zagnieździć się wśród skał Północy i śledzić Morgotha”, podczas gdy w rozdziale 18. (str.185), „Thorondor w porę nadleciał ze swego gniazda wśród iglic Krissaegrimu”, by unieść ciało Fingolfiną sprzed bram Angbadu. Por. również Powrót Króla, str. 289: „najwspanialsze z orłów północy, szlachetnych potomków starego Thorondora, który gniazda swe zbudował na szczytach gór [Okreźnych] w zaraniu Śródziemia”. Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa pierwotny pomysł, by Thorondor zamieszkał zrazu na Thangorodrimie, obecny również we wcześniejszej wersji Silmarilliona, został potem porzucony.

i niech Pan Wód okaże swoją moc! Ta nadzieja jedynie sprawiła, że zgodziłem się ciebie poprowadzić, ale jeśli zawiedzie, wówczas czeka nas pewna śmierć, o wiele pewniejsza niż za sprawą zimy na pustkowiach.

— Dość krakania — odrzekł Tuor. — W zgubę przy Bramie, mimo twych słów, śmiem powątpiewać. Prowadź mnie dalej!

Wiele staj brnęli po kamieniach Suchej Rzeki, aż przystanęli, nie mogąc uczynić już dalej ni kroku. Z wieczorem ciemność zaległa w jarze, wspięli się zatem na wschodni brzeg. Oto podeszli już do zmurszałych wzniesień u stóp gór. Tuor zadarł głowę i ujrzał, że wyrastają one odmiennie od wszystkich gór, które dotąd widywał, ich zbocza były niczym gładkie ściany. Piętrzyły się coraz wyżej, jedna na drugiej, kolejnymi zwistymi nad przepaścią tarasami. Dzień miał się już jednak ku końcowi i mgła zaległa nad ziemią, a dolina Sirionu skryła się w cieniu. Voronwe poprowadził Tuora do utworzonej w zboczu wzgórza płytkiej jaskini z wylotem wprost na samotne stoki Dimbaru. Wpęzli do środka i w tym ukryciu zjedli ostatki prowiantu. Mimo wielkiego zmęczenia, nie zasnęli. Tak oto, o zmroku osiemnastego dnia Hisime, w trzydziestej siódmej dobie podróży, Tuor i Voronwe dotarli do wieżyc Echoriathu i siedziby Turgona, dzięki mocy Ulma umknąwszy zarówno Przeznaczeniu, jak i Złu.

Gdy pierwszy szary blask dnia błysnął pomiędzy mgłami Dimbaru, zeszedli z powrotem do koryta Suchej Rzeki, które rychło skręciło ku wschodowi, wijąc się u samej skalnej ściany, przed nimi zaś wyrosła pionowo wielka góra, u której stóp krzewiła się bujnie ciernista i splątana roślinność. Kamienisty trakt prowadził prosto w te chaszczce, gdzie ciemność zalegała jak w nocy. Zwolnili, pełne bowiem kolców gałęzie sięgały aż do jaru, tworząc miejscami tak nisko zwieszoną gęstwinę, że trzeba było przepęłzać pod nią na podobieństwo wracającego do legowiska zwierza.

W końcu jednak, choć z wielkim trudem, dotarli do podstawy urwiska. Trafili tu na otwór tunelu wyrzeźbionego jakby w twardej skale przez wypływające z samego serca gór wody. Ruszyli dalej, a choć wokół zalegał mrok, Voronwe maszerował pewnie, podczas gdy Tuor stapał z ręką opartą na ramieniu kompana i pochylał głowę, bo sklepienie zwieszało się nisko. Przez pewien czas posuwali się krok za krokiem, na oślep stawiając stopy, aż poczuli, że droga przestała się wznosić i zniknęły zaścielające dno kamienie. Przystanęli wówczas i odetchnęli głęboko, nasłuchując. Powietrze było świeże i rześkie. Czuli, że ściany tunelu rozbiegły się na boki, a sufit zniknął gdzieś w górze, wszędzie panowała cisza, której nie mącił nawet odgłos spadających kropel wody. Wydało się Tuorowi, że coś zaniepokoiło Voronwego i że elf ma poważne wątpliwości.

— Gdzież jest ta Strzeżona Brama? — spytał. — A może już ją minęliśmy?

— Nie — odparł Voronwe. — Dziwię się tylko, bo to osobliwe, żeby ktoś zdołał nie indagowany dotrzeć tak daleko. Obawiam się, by niespodziewana zguba nie dopadła nas z ciemności.

Szepty wędrowców obudziły drzemiące w jaskiniach echa, które zwielokrotniły i wzmocniły każdy wydobyty dźwięk, odbijając się od sklepienia i niewidocznych ścian, sycząc i pomrukując tysiącami tajemniczych głosów. Gdy echa zamarły w skale, z samego jądra ciemności dobiegły Tuora słowa wypowiedziane w języku elfów, najpierw w nie znanej mu Szlachetnej Mowie Noldorów, potem w języku Beleriandu, chociaż z akcentem, który dziwnie brzmiał dla Tuora, zupełnie jakby mówiący dawno już nie zetknął się z krewniakami²⁸.

— Stać! — rozbrzmiało. — Nie ruszać się! Inaczej zginiecie, czy przyjaciółmi jesteście, czy wrogami.

— Jesteśmy przyjaciółmi — odparł Voronwe.

— Róbcie więc, co każę.

Echa ich głosów umilkły w ciszy, a Voronwe i Tuor stali wciąż nieruchomo i zdało się Tuorowi, że minuty ciągną się jak wieki, a strach w jego sercu przewyższał wszystko, co czuł podczas niebezpieczeństwami najeżonej wędrówki. Wtem usłyszeli odgłos zbliżających się stóp tak donośny, jakby maszerował cały oddział trollów. Nagle ktoś zdjął osłonę z latarni elfów, a blask płomienia padł na znajdującego się z przodu Voronwego, Tuor jednak nie zdołał dojrzeć niczego, prócz oślepiającej gwiazdy zawieszanej w mroku, wiedział jednak, że póki stoi w świetle, nie wolno mu się poruszyć ani próbować ucieczki lub dalszego marszu.

Przez chwilę trwali tak, uchwyceni w blasku, po czym głos znów się odezwał:

— Pokażcie swe twarze!

Voronwe odrzucił kaptur i oblicze jego załśniło jasno i wyraźnie niczym wyrzeźbione z kamienia. Tuor zachwycił się jego pięknem, elf zaś odezwał się dumnie:

— Czyżbyście nie wiedzieli, kogo widzą wasze oczy? Jestem Voronwe, syn Aranwego z rodu Fingolfin. A może po tylu latach zapomniano mnie już we własnej ojczyźnie? Powędrowałem ze Śródziemia dalej niż sięga myśl, ale

²⁸ Silmarillion nie wypowiada się precyzyjnie na temat mowy elfów z Gondolinu, jednak fragment ten sugeruje, że dla niektórych przynajmniej, mowa elfów Wysokiego Rodu (quenya) był to język potoczny. W późniejszej rozprawie filologicznej dotyczącej quenya znajdujemy wzmiankę, że była to mowa na co dzień używana w domu Turgona, nią też władał od dziecka Earendil. Jednak „dla większości mieszkańców Gondolinu był to język znany wyłącznie z ksiąg, inni bowiem Noldorowie używali zwykle sindarińskiego”. Por. Silmarillion, str. 156: po edykcje Thingola „wygnańcy zaczęli więc używać w codziennym życiu języka sindarińskiego i tylko książęta Noldorów między sobą mówili Szlachetnym Językiem Zachodu, który przetrwał jednak jako język mędrców wszędzie, gdziekolwiek znaleźli się Eldarowie”.

poznałem twój głos, Elemmakilu.

— Jeśli tak, to winien Voronwe pamiętać również prawa swej ojczyzny — odparł głos. — Skoro odszedł stąd na mocy rozkazu, może powrócić, ale nie wolno mu przyprowadzać tu obcych. Czynem tym przekreślił swój przywilej i musi jako więzień zostać doprowadzony na sąd przed oblicze Króla. Co zaś tyczy się nieznanego przybysza, zostanie zabity lub uwięziony, wedle wyroku Straży. Niech podejdzie bliżej, bym mógł go ocenić.

Voronwe poprowadził Tuora ku światłu, a wówczas liczni Noldorowie, wszyscy w kolczugach i uzbrojeni, wysunęli się z mroków i dzierżąc miecze w dłoniach otoczyli wędrowców. Elemmakil zaś, trzymający lampę kapitan straży, przyjrzał im się bacznie.

— Zdumiewasz mnie, Voronwe — powiedział. — Z dawna byliśmy przyjaciółmi, czemu zatem zostałem wystawiony przez ciebie na tak ciężką próbę i zmuszony do wyboru między obowiązkiem a przyjaźnią? Gdybyś przywiódł tu kogoś z przebywających poza ukryciem pozostałych rodów Noldorów, niewielkim byłoby twoje wykroczenie. Ale ty wyjawileś tajemnicę Drogi śmiertelnemu człowiekowi, po oczach jego poznaję, z jakiego wywodzi się plemienia. Nie może odejść stąd wolny, zna bowiem już sekret, a skoro jako obcy nam odważył się tu wejść, winienem go zabić, nawet jeśli darzysz go serdeczną przyjaźnią.

— Wiele niezwykłych rzeczy spotkać można w krainach poza tymi górami, Elemmakilu, a czasem zdarzy się, że zostanie komuś powierzone zadanie, o które ani nie prosił, ani go nie oczekiwał — odrzekł Voronwe. — Czasem też podróżnik powraca z wyprawy odmieniony. Wszystko co zrobiłem, uczyniłem na rozkaz potęgi większej niż prawo Straży. Tylko Król może osądzić i mnie, i tego, który przybył ze mną.

Wtedy Tuor, który nie czuł już lęku, też się odezwał:

— Przychodzę z Voronwem, synem Aranwego, jego bowiem właśnie obrał mi na przewodnika Pan Wód. Po to tylko pozwolono mu umknąć przed gniewem Morza i Klątwą Valarów. Niosę synowi Fingolfina posłanie od Ulma i nikomu innemu, prócz syna Fingolfina, treści owego posłania nie wyjawię.

Spojrzał Elemmakil ze zdumieniem na Tuora.

— Kimże jesteś? — spytał. — I skąd przybywasz?

— Jam Tuor, syn Huora z rodu Hadora i krewniak Hurina, a te imiona, jak mi powiedziano, nie są nieznanne w Ukrytym Królestwie, do którego z Nevrastu przychodzę, wiele niebezpieczeństw zwalczywszy po drodze.

— Z Nevrastu? — spytał Elemmakil. — Mówią, że odkąd nasz lud odszedł z owej krainy, nikt tam już nie mieszka.

— To prawda — odparł Tuor. — Pustka i chłód zaległy w Vinyamarze. A jednak

właśnie stamtąd przybywam. Zaprowadź mnie teraz do tego, kto zbudował ten pradawny pałac.

— Nie do mnie należy decyzja w tak wielkich sprawach — stwierdził Elemmakil. — Wyprowadzę cię tedy na światło, gdzie więcej będzie można ujawnić, i przekażę cię wartownikowi Wielkiej Bramy.

Wydał rozkaz i dwóch roślących strażników stanęło przed Tuorem i Voronwem, a trzech za nimi; kapitan poprowadził z jaskini Zewnętrznej Straży do prostego, jak się zdawało, korytarza i długo szli po równym, aż w przodzie pojawiło się blade światło. Nareszcie dotarli do szerokiego łuku bramy, wspartego z obu stron na wysokich kolumnach wyciosanych ze skały, pomiędzy którymi zwisała wielka, drewniana kratownica cudownej roboty, pracowicie rzeźbiona i nabijana żelaznymi bretnalami.

Elemmakil dotknął kratownicy, a ta uniosła się bezszelestnie i przeszli bramę, a Tuor ujrzał, że stoją u krańca wąwozu, jakiego nigdy jeszcze nie widział ani nawet sobie nie wyobrażał, chociaż wiele wędrował po górskich pustkowiach Północy, wobec bowiem Orflach Echor, Kirith Ninniach był jedynie małym wyźłobieniem w skale. Tutaj, podczas dawnych wojen u zarania świata, ręce samych Valarów rozszczepiły potężne góry, niczym toporem wygładzając ich pionowe, wznoszące się ku nieodgadnionym wyżynom zbocza. Gdzieś tam, wysoko, jaśniała wstęga nieba, a na granatowym tle czerniały zarysy szczytów i skalnych iglic, odległych, ale surowych, okrutnych jak ostrza włóczni. Zbyt wyniosłe były te skalne ściany, by zimowe słońce zajrzeć mogło do środka, i chociaż ranek jaśniał już pełnym blaskiem, to na niebie ponad wąwozem wciąż błyszcząły blade gwiazdy, a na samym dnie panował półmrok rozjaśniany przez lampki ustawione obok stromo wspinającej się drogi. Podłoże doliny wznosiło się bowiem ku wschodowi, po lewej zaś Tuor dojrzał ciągnącą się obok łożyska strumienia drogę gładko brukowaną, wijącą się gdzieś ku górze i znikającą w cieniu.

— Minęliście Pierwszą Bramę zwaną Drewnianą — powiedział Elemmakil. — Musimy iść tędy. Zatem pospieszajmy.

Jak daleko wiodła ta droga, tego Tuor nie potrafił powiedzieć, a gdy spojrzął przed siebie, znużenie ogarnęło go niczym chmurny opar. Zimny podmuch ciągnął od kamieni, więc młodzieniec otulił się szczelniej płaszczem.

— Chłód niesie wiatr z Ukrytego Królestwa! — powiedział.

— Zaiste — odparł Voronwe. — Obcemu zdawać się może, że duma uczyniła sługi Turgona bezlitosnymi. Dla znużonego drogą i głodnego wędrowca długie i ciężkie wydają się staje drogi pomiędzy Siedmioma Bramami.

— Gdyby nasze prawo nie było tak surowe, dawno już podstępem nienawiść wniknęłaby tutaj, niszcząc nas ze szczętem. Sam dobrze o tym wiesz — stwierdził

Elemmakil. — Nie jesteśmy jednak okrutnikami. Nie mamy tu nic do jedzenia, a obcy nie może cofnąć się nawet o krok. Wytrwajcie jeszcze trochę, a doznacie ulgi przy Drugiej Bramie.

— To dobrze — powiedział Tuor i ruszył dalej, jak mu kazano. Po chwili odwrócił się i ujrzał, że podążają za nim jedynie Elemmakil z Voronwem.

— Na tym terenie nie trzeba już więcej straży — oznajmił Elemmakil, odczytując jego myśli. — Nie ma dla elfa ni człowieka ucieczki z Orflachu, nie ma powrotu.

Tak wędrowali pod górę, czasami długimi schodami, niekiedy ścieżkami pograżonymi w cieniu, wijącymi się po zboczu, aż w odległości około kilkuset kroków od Drewnianej Bramy, Tuor ujrzał, jak drogę przegradza wielki mur wzniesiony od ściany do ściany rozpadliny, z przysadzistymi wieżami po obu stronach. W owym murze widniał łuk bramy. Zdawało się, że dawni budowniczo wie zaślepi ją gigantycznym głazem. Gdy trzech mężczyzn zbliżyli się, jego wypolerowana i ciemna powierzchnia zaślniła w blasku wiszącej pośrodku łuku lampy.

— Oto Druga Brama, zwana Kamienną — powiedział Elemmakil, podchodząc do wrót i naciskając lekko, a wtedy obróciły się na niewidocznej osi, aż stanąwszy równoległe do drogi, otworzyły po obu stronach przejście na podwórzec, na którym znajdowało się wielu uzbrojonych strażników w szarych strojach. Nie padło ani jedno słowo, kiedy Elemmakil prowadził swych podopiecznych do komnaty pod północną wieżę. Tam wędrowcy mogli odpocząć przez chwilę. Podano im jedzenie i wino.

— Skąpy może wydać się ten poczęstunek — zwrócił się Elemmakil do Tuora. — Ale jeśli dowiedziesz prawdy twych słów, wówczas do wystawniejszego stołu zasiądziesz.

— Tyle mi wystarczy — odparł Tuor. — Tylko słaby duch łakoci potrzebuje, by urosnąć w siłę. — I rzeczywiście, jadło oraz napitki Noldorów wzmocniły go na tyle, że wkrótce gotów był ruszyć w dalszą drogę.

Niewiele później dotarli do muru wyższego i solidniejszego niż poprzedni. Tkwiła w nim Trzecia Brama, Brama z Brązu, dwuskrzydłowe wrota obite brązowymi płytami, na których wyrzyto liczne postaci i dziwne znaki. Z muru ponad nadprożem wyrastały trzy wieże na planie kwadratu, wszystkie nakryte dachami i obłożone miedzią. Za sprawą szczególnego traktowania jej przez mistrzów kowalskich jaśniała ona niczym ogień w promieniach czerwonych lamp, jak pochodnie osadzonych rzędem w murze. I tę bramę przebyli w ciszy, na podwórcu zaś za wrotami ujrzeni większą jeszcze kompanię wartowników odzianych w kolczugi, które lśniły stłumionym płomieniem, ostrza zaś toporów straży miały kolor czerwony. Załoga składała się w większości z Sindarów

z Nevrastu.

Doszli teraz do najtrudniejszego odcinka drogi, pośrodku Orflachu bowiem zbocze było najbardziej strome, a gdy się tak wspinali, Tuor dojrzał mroczniejący przed nim najpotężniejszy z murów. Tak oto zbliżyli się w końcu do Czwartej Bramy, Bramy Splątanego Żelaza. Wysoki, czarny i niczym nie oświetlony był jej mur. Ponad nim wznosiły się cztery żelazne wieże, pomiędzy zaś dwoma wewnętrznymi widniała wykuta w żelazie podobizna orła tak realistyczna, że zdawać by się mogło, iż sam Król Thorondor przysiadł na murze niczym na górskim szczycie, by odpocząć po locie w przestworzach. Tuor stanął przed bramą i zdało mu się, że przez splątane pnie i gałęzie wiecznych drzew spogląda na bladą twarz księżycy. Blask bowiem przenikał przez ornamenty wrót wykutych i wygiętych na podobieństwo drzew o wijących się korzeniach i bujnych konarach okrytych listowiem i kwiatami. Dopiero przechodząc bramę zrozumiał, czemu zawdzięczał to złudzenie: mur był nader gruby i nie jedną, lecz trzy kratownice osadzono w nim kolejno w ten sposób, by dla kogoś nadchodzącego środkiem szlaku zdawały się tworzyć jednolitą barierę, a światło za nimi było blaskiem dnia.

Wspięli się już bardzo wysoko ponad dolinę, w której wędrówkę zaczęli, i za Bramą Żelazną droga biegła już niemal równo. Co więcej, minęli też koronę i serce Echoriathu. Szczyty górskie zlewać zaczynały się już z wewnętrznymi wzgórzami, a rozpadlina otwierała się coraz szerzej, zbocza zaś stawały się mniej strome. Leżał na nich śnieg, którego biel odbijała światło dnia, bladym blaskiem zalewając pełną roziskrzoną mgiełką dolinę.

Przeszli obok strażników Żelaznej Bramy, mających czarne opończe, kolczugi i podłużne tarcze, oblicza zaś skrywających za przyłbicami podobnymi do orlich dziobów. Elemmakil prowadził ich dalej, a Tuor dostrzegł, że obok drogi pojawił się splachetek trawy, poprzetykany niczym gwiazdami białymi kwiatkami uilos, niezapominajkami, które kwitną przez cały rok i nigdy nie więdną;²⁹ i tak oto, zachwycony i z lekkim sercem, doprowadzony został do Srebrnej Bramy.

Mur Piątej Bramy wzniesiono z białego marmuru i był niski, a szeroki. Wieńczyła go srebrna krata rozpięta pomiędzy pięcioma wielkimi, marmurowymi kulami. Stało tam wielu na biało odzianych łuczników. Sama brama miała kształt trzech czwartych koła i uczyniono ją z giętego srebra oraz pereł z Nevrastu.

²⁹ Były to kwiaty, które bujnie rozkwitały na kurhanach królów Rohanu pod Edoras, i które Gandalf nazwał w języku Rohirrimów simbelmyne, czyli „wiecznie pamiętające”, kwitną bowiem przez cały rok w miejscu, gdzie spoczywają zmarli (Dwie wieże, str. 142). Nazwa nadana im przez elfy, uilos, pojawia się tylko w tym miejscu opowieści, ale samo słowo odnaleźć można i w Amon Uilos, co jest przetworzoną na sindaroński nazwą Oilosse (w języku quenya „Wiecznie Śnieżnobiała”, Góra Manwego). W opowieści Kirion i Eorl, kwiat ten otrzymał jeszcze jedno od elfów pochodzące imię, alfirin.

Kształtem przypominała księżyc. Ponad łukiem, na środkowej kuli, jaśniał wizerunek Białego Drzewa, Teperiona, cały ze srebra i malachitu, z kwiatami z wielkich pereł pochodzących z Balaru³⁰. Za bramą zaś rozciągał się przestronny dziedziniec wyłożony zielonym i białym marmurem. Trzymali tam straż łucznicy w srebrnych kolczugach i biało-grzebiastych hełmach, setka ich była z każdej strony. Elemmakil przeprowadził Tuora i Voronwego pomiędzy milczącymi szeregami, aż wstąpili na długą, białą drogę wiodącą prosto do Szóstej Bramy. Gdy tak szli, pasma murawy po bokach rosły coraz szersze, a pomiędzy białymi gwiazdkami uilos pojawiły się drobne, złote oczka podobne do kwecia.

W końcu dotarli do Złotej Bramy, ostatniej z pradawnych bram Turgona wzniesionych przed Nirnaeth. Przypominała Srebrną Bramę, mur jednak był z żółtego marmuru, a sześć kuł i parapet wykonano z czerwonego złota. Na wierzchołku piramidy osadzono podobiznę Laurelinu, Drzewa Słońca, z kwiatami rżniętymi z topazów i zwisającymi w kiściach na złotych łańcuchach. Bramę udekorowano dyskami ze złota, promienistymi jak samo Słońce, oraz ozdobami z granatów, topazów i żółtych diamentów. Na podwórku za bramą stały w szeregach trzy setki łuczników z długimi łukami i w połączonych kolczugach, z wysoko wyrastającymi z hełmów złotymi piórami. Potężne, okrągłe tarcze strażników czerwone były niczym płomień.

Słońce oświetliło dalszą część drogi. Po obu jej stronach ciągnęły się już tylko zielone wzgórza z płachtami śniegu na szczytach. Elemmakil przyspieszył kroku, niedaleko bowiem już mieli do Siódmej Bramy, Stalowej zwanej też Wielką, którą Maeglin wykuł po powrocie z Nirnaeth, zagradzając szerokie wejście do Orflach Echor.

Tutaj nie było muru, tylko dwie wieże z licznymi oknami wznosiły się wysoko, na siedem pięter, ku wieńczącym ich stożkowate kształty wieżyczkom z jasnej stali. Pomiedzy wieżami widniała potężna kratownica ze stali, która nie okrywała się rdzą, tylko lśniła zimną bielą. Tworzyło ją siedem pionowych sztab, wielkich i mocnych jak młode drzewa, zwieńczonych bezlitosnymi szpicami, ostrymi niczym igła. Do kolumn przymocowano siedem poziomych, równie potężnych sztab, pomiędzy zaś każdymi dwoma kolumnami umieszczono po siedmiokroć siedem stalowych prętów, zakończonych ostrzami szerokimi i płaskimi jak grotty włóczni. W centrum, ponad środkową i najwyższą sztabą, widniała podobizna królewskiego hełmu Turgona — wysadzanej diamentami Korony Ukrytego Królestwa.

³⁰ W Silmarillionie, str. 108, znajdujemy informację, że Thingol nagrodził krasnoludy z Belegostu licznymi perłami: „dostał je od Kirdana, bo płytkie wody wokół wyspy Balar obfitowały w perły”.

Tuor nie zauważył w tej przegrodzie żadnej bramy ani drzwi, ale gdy podszedł bliżej, zdało mu się, że spomiędzy sztab sący się oślepiające światło, przysłonił więc oczy i stanął zmartwiały ze strachu i zdumienia. Elemmakil jednak ruszył dalej, trącił jedną ze sztab, a cała kratownica jak harfa zabrzmiała dźwiękiem czystym i harmonijnym, który krążyć począł od wieży do wieży.

Z wież wyjechali jeźdźcy; przed tymi z północnej podążał jeden na białym koniu; on też zsiadł z wierzchowca i podszedł do podróżnych. Chociaż wysoki i dumny był Elemmakil, to przewyższał go postawą i rangą Ekthelion, Władca Źródeł, a podówczas Strażnik Wielkiej Bramy³¹. Cały odziany w srebro, na lśniącym hełmie nosił stalowe kolce zwieńczone diamentami. Gdy giermek wziął od niego tarczę, ta roziskrzyła się jak okryta kroplami deszczu, tysiącami odłamków kryształu. Elemmakil pozdrowił go i rzekł:

— Oto przyprowadziłem Voronwego Aranwiona, wracającego z Balaru. Przywiódł on obcego, ten zaś żąda widzenia z Królem.

Wówczas Ekthelion odwrócił się do Tuora, który owinął się płaszczem i stał jeno w milczeniu, oddając spojrzenie; i zdało się Voronwemu, że mgła otuliła Tuora i postać jego urosła, tak że czubek kaptura wzniosł się ponad wierzchołek hełmu dumnego elfa niczym szczyt morskiej fali wdzierającej się w głąb łądu. Ekthelion spuścił jasne oczy przed spojrzeniem Tuora i po chwili ciszy odezwał się z powagą:³²

— Dotarłeś do Ostatniej Bramy. Wiedz zatem, że żaden obcy, który przez nią wejdzie, nie powróci, chyba że przez wrota śmierci.

— Nie strasz mnie! Jeśli bowiem wysłannik Pana Wód przejdzie przez tę bramę, wtedy wszyscy, którzy tu mieszkają, podążą za nim. Władco Źródeł, nie zatrzymuj wysłannika Pana Wód!

Wówczas Voronwe i strażnicy stojący w pobliżu, raz jeszcze spojrzeli na Tuora, zdumiewając się jego słowami i głosem. Voronwemu zaś zdało się, że oto usłyszał ton donośny, z wielkiej wszakoż wołający odległości. Tuor jednak, gdy tak słuchał słów przez siebie wypowiedzianych, miał wrażenie, że to kto inny przez jego usta przemawia.

Przez chwilę Ekthelion trwał w milczeniu, spoglądając na Tuora i z wolna lęk wypełził na jego oblicze, tak jakby w szarości płaszcza Tuora zamajaczyły przesłane z oddali obrazy. Potem skłonił się, podszedł do kratownicy i położył na

³¹ Ekthelion znad źródeł pojawia się w Silmarillionie jako jeden z dowódców straży Turgona, która strzegła flanków wojsk Gondolinu w czasie odwrotu w dół Sirionu podczas Nirnaeth Arnoediad. On też był pogromcą Gothmoga, wodza Balrogów, ale sam również zginął z jego ręki podczas ataku na miasto.

³² Tutaj kończy się wielokrotnie poprawiany, ale mimo to starannie sporządzony rękopis. Cała reszta historii pomieszczona została na skrawku papieru.

niej dłonie, a brama otworzyła się do środka dwoma skrzydłami po obu stronach sztaby z koroną. Przeszedł Tuor na murawę po drugiej stronie, skąd roztaczał się widok na dolinę i na otoczony bielą śniegów Gondolin. Jak zakłęty, długo nie mógł oderwać spojrzenia od upragnionego miasta, albowiem nareszcie ujrzał to, o czym śnił i za czym tęsknił.

Stał tak, nie mówiąc ani słowa, a zewsząd otaczali go tłumnie — wojownicy Gondolinu, w tym i przedstawiciele załóg wszystkich Siedmiu Bram, tylko kapitanowie ich i dowódcy siedzieli na grzbietach białych i szarych koni. I gdy tak zdumieni patrzyli na Tuora, ten zrzucił płaszcz, ukazując się zebrany w wspaniałej zbroi z Nevrastu, a wielu spośród nich pamiętało, świadkami zdarzenia będąc, jak Turgon sam wieszał ów rysz tunek na ścianie za Wielkim Tronem w Vinyamarze.

Ekthelion odezwał się wreszcie:

— Nie trzeba nam już dalszych dowodów, bo nawet imię tego, który mieni się synem Huora znaczy mniej, niż ten widomy znak prawdy, że przybywa on od samego Ulma³³.

³³ Tu oto opowieść urywa się ostatecznie, jednak kilka pospiesznie rzuconych na papier zdań wskazuje na jej zamierzony dalszy ciąg:

Tuor spytał o nazwę miasta i usłyszał siedem jego nazw (można zauważyć, że nazwa Gondolin nie pada w całej opowieści aż do ostatnich jej fragmentów, efekt bez wątpienia zamierzony; miast tego mowa jest o Ukrytym Królestwie lub Ukrytym Mieście). Ekthelion rozkazał, by odegrano sygnał, zadęto więc w trąby z wież Wielkiej Bramy, aż echo poszło po górach. Gdy cisza zaległa, inne trąby odpowiedziały im z murów miasta. Przyprawiono konie (szarego dla Tuora) i wszyscy pojechali do Gondolinu.

Dalej następować miał opis Gondolinu, schodów na wysoki taras i wielkiej bramy, kopców (to słowo nie jest pewne) porośniętych mallornami, brzożami i drzewami wiecznie zielonymi. Dalej, źródlane-go Dziedzińca, wspartej na kolumnach Wieży Króla, siedziby Króla i sztandaru Fingolfma. Potem pojawić miał się sam Turgon, „wyższy od wszystkich Dzieci Świata, prócz samego Thingola”, z biało-złotym mieczem w pochwie z kości słoniowej, by przywitać Tuora. Maeglin miał stanąć po prawicy tronu, a Idril, córka Króla, zasiąść po lewej. Tuor przekazał miał posłanie od Ulma albo „w obecności wszystkich”, albo „w komnacie królewskiej rady”.

Dalsze oderwane notatki wspominają o opisie Gondolinu widzianego przez Tuora z dalszej perspektywy i że płaszcz Ulma zniknąć miał w trakcie przekazywania posłania Turgonowi. Miało też się pojawić wyjaśnienie, czemu Gondolin nie miał królowej. Ponadto, jako istotna pojawia się notatka, by wyraźnie zaznaczyć przy opisie, jak to pierwszy raz Tuor ujrzał Idril, lub trochę wcześniej, że niewiele kobiet widział czy znał dotąd w swoim życiu. Większość niewiast i wszystkie dzieci z grupy Annaela wysłane zostały na południe, a jako niewolnik spotykał Tuor wyłącznie dumne i barbarzyńskie kobiety Easterlingów, które traktowały go jak zwierzę, lub też nieszczęsne białogłowy, od dzieciństwa zmuszane do niewolniczej pracy, dla których miał jedynie współczucie.

Można też zauważyć, że późniejsze wzmianki o mallornach w Numenorze, Lindonie i Lothlorien nie potwierdzają (choć też i nie zaprzeczają), by te drzewa kwitły w Gondolinie w Dawnych Dniach; nie rozstrzygają też, czy Elenwe, żona Turgona, zginęła na długo przed przeprawą hufca Fingolfma przez cieśninę Helkarakse (Silmarillion, str. 105).

II. NARN I HIN HURIN

OPOWIEŚĆ O DZIECIACH HURINA³⁴

Dzieciństwo Turina

Hador Złotowłosa był władcą Edainów i ulubieńcem Eldarów. Po kres swych dni cieszył się opieką Fingolfinna i zamieszkiwał na ziemiach przez niego nadanych w tej części Hithlumu, którą zwano Dorlomin. Jego córka, Gloredhel, wyszła za Haldira, syna Halmira, władcę ludzi z Brethilu, wesele zaś wyprawiano podwójne, tego samego bowiem dnia syn Hadora, Galdor Wysoki, ożenił się z Hareth, córką Halmira.

Galdor i Hareth mieli dwóch synów, Hurina i Huora. Hurin był o trzy lata starszy, niższy jednak od mężczyzn swego plemienia, jako że postawę wziął po matce. We wszystkim innym przypominał wszakże swego dziadka, Hadora, miał bowiem złote włosy i jasną karnację. W sercu mocno zbudowanego i porywczego młodzieńca ogień palił się jednak płomieniem równym, świadczącym o silnej woli i wytrwałości. Spośród wszystkich ludzi Północy, on najwięcej poznał sekretów Noldorów. Jego brat, Huor, był wysoki, najwyższy z Edainów (przerósł go do-

³⁴ W istniejącym w różnych wersjach wstępie odnaleźć można uwagę, że chociaż opowieść spisana została w języku elfów i w znacznym stopniu na ich relacjach się opierała (ze szczególnym uwzględnieniem opowieści elfów z Doriathu), to jednak „Narn i Hin Hurin” była dziełem poety z plemienia ludzi, Dirhavela, który za dni Earendila przemieszkiwał u ujścia Sirionu i zbierał wszelkie wieści o rodzie Haldira, zarówno wśród swoich pobratymców, jak i elfów, niedobitków lub uciekinierów z Dorlominu, Nargothrondu, Gondolinu czy Doriathu. Według jednej z wersji Dirhavel sam miał pochodzić z rodu Hadora. Owa pieśń, najdłuższa ze wszystkich pieśni Beleriandu, była jego jedynym dziełem. Twórca został jednak nagrodzony przez Eldarów, użył bowiem języka Elfów Szarych, w którym był biegły. Wykorzystał też miarę metryczną elfów, zwaną Minlamed thent estent, z dawien dawna stosowaną w nam (wierszowanej opowieści, którą jednak recytuje się, miast śpiewać). Dirhavel zginął podczas najazdu synów Feanora na Przystań u ujścia Sirionu.

piero jego syn, Tuor). Potrafił też najszybciej biegać, gdy jednak ścigali się na dłuższym dystansie, to Hurin przybywał pierwszy do mety, równo bowiem rozkładał siły. Bracia kochali się serdecznie i w młodości rzadko zdarzało im się rozstawać.

Hurin poślubił Morwenę, córkę Baragunda, syna Bregolasa z rodu Beora, przez co spowinowacana była blisko z Berenem Jednorękiem. Wysoką i ciemnowłosą Morwenę, przez blask jej oczu i piękno oblicza, mężczyźni zwali Eledhwen, czyli Blask Elfów, była jednak nieco szorstka i nazbyt dumna. Smutki rodu Beora zaległy cieniem w jej sercu, Dorlomin bowiem stanowiło miejsce jej wygnania z Dorthonionu po klęsce Bragollach.

Imię Turin nadali Hurin i Morwena swemu najstarszemu dziecku urodzonemu w tym samym roku, w którym Beren przybył do Doriathu i spotkał Luthien Tinuvel, córkę Thingola. Morwena urodziła Hurinowi również córkę zwaną Urwena; zwykle wołano jednak na nią Lalaith, co oznacza Śmiech. Życ jej dane było krótko.

Huor poślubił Rianę, kuzynkę Morweny i córkę Belegundy i Bregolasa. Okrutnym zrzędzeniem losu dziewczyna ta urodziła się w czasach nie sprzyjających komuś o łagodnym sercu, nie cierpiącemu ni polowań, ni wojny. Kochała drzewa i polne kwiaty, śpiewała i sama pieśni układała. Dwa miesiące ledwo była żoną Huora, gdy mąż jej wyruszył wraz z bratem wziąć udział w Nirnaeth Arnoediad i nigdy go już więcej nie ujrzała³⁵.

W latach po Dagor Bragollach i upadku Fingolfinu, gęstnieć zaczął cień strachu przed Morgothem, jednak w czterechsetnym i sześćdziesiątym dziewiątym roku od powrotu Noldorów do Śródziemia nowa nadzieja wstąpiła w elfów i ludzi, gdy posłyszeli pogłoski o czynach Berena i Luthien oraz o hańbie, która spotkała Morgotha na jego własnym tronie w Angbadzie, a niektórzy powiadali, że Beren i Luthien wciąż żyją lub że zmartwychwstali. W onymże roku zamiary Maedhrosa bliskie były już spełnienia i wielkim wysiłkiem Eldarów i Edainów pochód Morgotha został powstrzymany, a Orkowie wygnani z Beleriandu. Zaczęto napomykać o rychłej wiktorii i o naprawieniu błędów Bitwy Bragollach, kiedy to Meadhros winien poprowadzić połączone hufce, zepchnąć Morgotha do podziemi i zapieczętować Wrota Angbadu.

Co mądrzejsi jednak wciąż odczuwali niepokój i lęk, że Meadhros nazbyt wczesnie ujawnił swe siły i że Morgoth będzie miał dość czasu, by znaleźć przeciwko niemu skuteczną radę.

„W Angbadzie zawsze znajdzie się nowe zło, o którym nie śniło się ni elfom,

³⁵ W tym miejscu tekstu „Narn” znajduje się ustęp poświęcony pobytowi Hurma i Huora w Mandolinie. Jest dość wiernie wzorowany na historii opowiedzianej wersji zamieszczonej w Silmarillionie - na tyle wiernie, że postanowiłem go już tutaj nie powtarzać. Por. Silmarillion, str. 190-192.

ni ludziom” — powiadali. Jakby dla potwierdzenia prawdy ich słów, już jesienią nadciągnął z północy morowy wiatr niosący ołowiane chmury. Zwano go Złym Tchnieniem, był bowiem zabójczy. Wielu zachorowało i zmarło z końcem roku w krainach graniczących na północy z Anfauglithem, w większości dzieci i podrostki z rodu człowieczego.

W tymże roku Turin, syn Hurina, miał tylko pięć lat, a Urwena, jego siostra, ledwo trzy kończyła z początkiem wiosny. Gdy biegała po łąkach, jej włosy przypominały kwitnące w trawie żółte lilie, a śmiech dziewczynki brzmiał niczym szmer pogodnego strumienia spływającego z gór obok murów domu jej ojca. Nen Lalaith zwał się ów potok, dlatego też mieszkańcy domostwa wołali dziewczynkę Lalaith i radowali się ich serca, że takie właśnie dziecko żyje między nimi.

Turin mniej zaznał miłości niż siostra. Ciemnowłosy jak matka, zapowiadał się na podobnego duchem, zwykle bowiem poważny, rzadko się odzywał, chociaż bardzo wcześnie nauczył się mówić i wyglądał na starszego, niż był w rzeczywistości. Dobrze zapamiętywał sobie wszelką niesprawiedliwość czy szyderstwo, ale ponieważ płynęła w jego żyłach i krew ojca, potrafił też zapalczywy być i porywczy. Łatwo było wzbudzić w nim współczucie. Krzywda czy ból wszelkiego żywego stworzenia często poruszały go do łez, w czym również przypominał ojca, Morwena bowiem odnosiła się do wszystkich surowo. Kochał matkę, jako że była to kobieta szczerą i otwartą. Ojca rzadko widywał, gdyż Hurin ciągle wypuszczał się z armią Fingona, który strzegł wschodnich granic Hithlumu, a kiedy wracał, jego prędka mowa, pełna obcych słów i na wpół zrozumiałych jeno żartów, onieśmiewiała i niepokoiła Turina. W owym czasie całe serce oddał siostrze, nieczęsto jednak się z nią bawił, wołał raczej strzec jej nie zauważony i przyglądać się, jak spaceruje po trawie czy pod drzewami i śpiewa pieśni, które dzieci Edainów ułożyły dawno temu, kiedy język elfów bliski był jeszcze w ich mowie.

— Lalaith swą gładkością przypomina dziecię elfów — powiedział Hurin do Morweny — choć, niestety, krótsze życie jej pisane. Ale tym piękniejsza jest może, i bardziej kochana.

Zadumał się Turin, słysząc tę dziwną wypowiedź. Nie widział nigdy dziecka elfów, na ziemiach jego ojca bowiem nie przemieszkiwał wówczas ani jeden elf i ujrzeć było można Eldarów jedynie przy okazji przejazdu Fingona i jego znamienitej świty przez Dorlomin, kiedy to cali w srebrze i bieli pokonywali most nad Nen Lalaith.

Zanim jeszcze rok dobiegł końca, prorocze okazały się słowa ojca, gdyż Złe Tchnienie nawiedziło Dorlomin. Turin zachorował i zległ pośród mrocznych majaków, powalony gorączką. Gdy wyzdrowiał, bo taki los był mu pisany i wiele miał w sobie życia, spytał o Lalaith. Opiekunka odpowiedziała mu jednak:

— Nie wspominaj więcej o Lalaith, synu Hurina, o swojej zaś siostrze, Urwenie, idź dowiedz się od matki. — Gdy zatem Morwena zajrzała doń, Turin zagadnął:

— Nie jestem już chory i chcę widzieć Urwenę, ale czemu nie wolno mi więcej wymieniać imienia Lalaith?

— Bo Urwena nie żyje i śmiech umarł w tym domu — odparła. — Ty jednak ocalałeś, synu Morweny, tak jak trwa wciąż Nieprzyjaciel, który winien jest nie-szczęściu.

Nie próbowała ukoić jego bólu, podobnie jak sama nie folgowała swemu żalowi, znosząc cierpienie w ciszy, z oziębłym sercem. Hurin jednak otwarcie przywdział żałobę, sięgnął nawet po harfę, by tren ułożyć, ale ponieważ pieśń nie przyszła, połamał instrument i wyszedłszy przed dom, wyciągnął ręce ku Północy i zakrzyknął:

— Ty, coś zesześcił oblicze Śródziemia, gdybym tylko mógł stanąć z tobą twarzą w twarz, naznaczyłbym cię piętnem tak, jak uczynił to mój pan, Fingolfin!

Turin zaś łkał gorzko przez całą noc, chociaż nigdy już nie wypowiedział przy matce imienia siostry. Przed jedną tylko bliską sobie osobą otworzył się wówczas, wylewając swój żal i smutek wynikły z pustki, która zapanowała w domu. Przyjaciel ten zwał się Sador i sługą był w domu Hurina. Kulał przy tym i niewiele zna-czył pośród innych. Niegdyś pracował jako drwal i niezręczny zamach toporem pozbawił go prawej stopy, a okaleczona tak noga uschła. Turin wołał go Laba-dal, czyli Skokostopa. Nie gniewało Sadora to przezwisko, wzięło się bowiem ze współczucia, a nie z pogardy. Znający się nieco na obróbce drewna Sador pracował w obejściu, strugając lub naprawiając wszelkie drobne sprzęty, które choć niewiele warte, to jednak przydawały się w domostwie. Turin przynosił mu to i owo, by Sador nie musiał sam po wszystko kuśtykać, czasem zaś podbierał gdzieś po ci-chu jakieś narzędzie czy kawałek drewna, jeśli zdało mu się, że rzecz nie ma wła-ściciela, a może przydać się do czegoś przyjacielowi. Sador uśmiechał się wówczas, ale zawsze kazał mu odnieść znalezisko na miejsce.

— Dawaj szczodrze, ale tylko to, co twoje — powiadał. Jak mógł, nagradzał przy tym dobroć dziecka, rzeźbiąc dlań figurki ludzi i zwierząt. Turin wołał jednak słu-chać opowieści Sadora, który w czasie Bragollach młodzieńcem był jeszcze i z chę-cią rozprawiał o tych niedługich dniach męskości poprzedzających okaleczenie.

— Powiadają, że była wielka bitwa, synu Hurina. Odwołano mnie od pracy w lesie, gdyż tamtego roku taka zaistniała potrzeba, ale nie brałem udziału w wal-ce, a szkoda, bo może chwalebniejsze odniósłbym rany. Za późno przybyliśmy, zostało nam tylko znieść na marach starego pana, Hadora, który padł w obronie Króla Fingolfin. Potem wstąpiłem do wojska i służyłem w Eithel Sirion, wielkiej fortecy elfich królów i trwało to wiele lat, a może tylko tak mi się dzisiaj zdaje, sko-

ro wiosny mijają mi teraz podobne jedna do drugiej. Byłem w Eithel Sirion, gdy napadł ją Czarny Król a Galdor (ojciec twego ojca, który dowodził wówczas w zastępstwie Króla) poległ i na moich oczach Hurin przejął godności i dowództwo, chociaż dopiero co osiągnął wiek męski. Płonął w nim ogień, od którego rozgrzewał się mu miecz w dłoni, tak powiadano. Pod jego komendą wdeptaliśmy Orków w piach, i nie wazą się od tamtego dnia podejść na rzut okiem do fortecy. Ale niestety! Aż zanadto nasyciłem się bitwą, sporo krwi tracąc i dość ran doznając, tak więc wrócić musiałem do utęsknionych lasów. I tam właśnie okaleczyłem sam siebie. Człowiek bowiem, który ucieka przed własnym strachem, zwykle odwlecze jedynie najgorsze i nic nadto.

W ten sposób Sador przemawiał do Turina, gdy ten dorastał, aż chłopiec zaczął zadawać wiele pytań, na które przyjaciel nie zawsze znajdował odpowiedzi, uznając, że nauk winni udzielać mu jego najbliżsi. Pewnego dnia Turin spytał:

— Czy Lalaith rzeczywiście podobna była do dziecka elfów, jak powiedział to mój ojciec? I co miał na myśli, gdy stwierdził, że krótsze życie jest jej pisane?

— Czasem trudno odróżnić małe dzieci ludzi i elfów — odparł Sador. — Jednak potomstwo człowiecze rośnie szybciej, a młodość rychło przemija, taki już nasz los.

— Co to jest los? — zagadnął wówczas Turin.

— Spytaj kogoś mądrzejszego od Labadala — odparł Sador. — Tyle wiem tylko, że życie ludzkie nie trwa długo, z sił opadamy i nadchodzi koniec, a bywa i tak, że wcześniej jeszcze człek śmierć napotka. Elfy zaś nie starzeją się i nie umierają, chyba że doznają bardzo ciężkich ran. Ciosy i żałość, gotowe człowieka powalić, im są jedynie chorobą, z której się leczą. Podobno nawet jeśli ciała ich unicestwić, to i tak wracają. Z nami tak nie jest.

— To Lalaith nie wróci? — spytał Turin. — Gdzie odeszła?

— Nie wróci. Ale dokąd odeszła, tego żaden człowiek nie wie, a w każdym razie nie wiem tego ja.

— Czy zawsze tak było? A może ciąży nad nami klątwa tego szalonego Króla, taka jak Złe Tchnienie?

— Nie potrafię odpowiedzieć ci na to pytanie. Ciemność kryje naszą historię i ledwo kilka opowieści rozświetla te mroki. Może ojcowie naszych ojców wiedzieli więcej, ale dziś nie rzekną już ani słowa. Nawet ich imiona zatarły się w pamięci. Góry stoją między nami a ich życiem niegdysiejszym, które porzucili, nie wiadomo przed czym uciekając.

— Może się bali? — spytał Turin.

— Może. Mogło być i tak, że umknęli ze strachu przed Ciemnością po to tylko, by znaleźć ją tutaj, gdzie kończy się łąd i dalej nie ma już żadnej drogi.

— Ale teraz my się nie lękamy niczego — powiedział Turin. — Nie wszyscy. Mój ojciec się nie boi i mi obce będzie to uczucie, a przynajmniej, jeśli kiedykolwiek zaznam strachu, tak jak matka, nie pokażę tego po sobie.

Zdało się w tej chwili, że oczy Turina niezbyt przypominają oczy dziecka i Sador pomyślał: „Żal hartuje tylko silnego ducha”. Głośno jednak powiedział:

— Synu Hurina i Morweny, co wzrośnie w twoim sercu, tego Labadal nie odgadnie, ale rzadko kiedy i nielicznym tylko będzie dane w nie zajrzeć.

— Może lepiej nie wyjawiać swoich pragnień, jeśli nie można ich spełnić — stwierdził wówczas Turin. — Ale żałuję, Labadalu, że nie jesteśmy jednymi z Eldarów. Wówczas Lalaith mogłaby wrócić, a ja czekałbym na nią, nawet jeśli wracałaby z bardzo daleka. Gdy tylko dorosnę, wyruszę jako żołnierz z elfim królem, tak ja ty kiedyś, przyjacielu.

— Wtedy poznasz ich lepiej — westchnął Sador. — To lud piękny i wspaniały, obdarzony władzą nad ludzkimi sercami. Czasem wydaje mi się, że lepiej by było, gdybyśmy nigdy nie spotkali tego plemienia i trzymali się własnych, ostatnich szlaków. Mądrość elfów wywodzi się ze starożytnych czasów, dumni są i wytrzymali. W ich blasku nasz płomień albo blednie, albo gorzeje tym silniej, szybko się wypalając, a wówczas tym ciężiej jest człowiekowi przyjąć wyrok losu.

— Ale mój ojciec kocha Eldarów — powiedział Turin. — Bez nich nie jest szczęśliwy. Mówi, że prawie cała nasza wiedza od nich właśnie pochodzi, że uczynili nas szlachetniejszymi, powiada też, że ludzie, którzy przyszli niegdyś zza Gór, niewiele różnili się od Orków.

— To prawda — odparł Sador — przynajmniej od wielu spośród nas. Ale taka wspinaczka trudna jest i bolesna, a z wysokiego stołka łatwo spaść.

Turin miał osiem lat, gdy nadszedł miesiąc zwany w kalendarzu Edainów Gwaeron, owego roku, który pozostanie w ludzkiej pamięci. Od jakiegoś czasu krążyły już wśród starszyzny pogłoski o wielkim przeglądzie wojsk i gromadzeniu oręża, nic jednak z tego nie docierało do Turina, Hurin zaś, znając odwagę i opanowanie żony, często rozmawiał z Morweną o zamiarach królów elfów i o tym, co wyniknąć może z ich zwycięstwa lub klęski. Sam pełen był nadziei i nie martwił się zbytnio o wynik bitwy, nie podejrzewał bowiem, by jakakolwiek siła w Śródziemiu mogła pokonać potężnych i wspaniałych Eldarów.

— Oni widzieli Światło na Zachodzie — powiedział — Ciemności przyjdzie w końcu pierchnąć, gdy stawią jej czoło.

Morwena zaś nie zaprzeczyła, w towarzystwie Hurina bowiem i jej nadzieja rosła. Ponieważ jednak pochodziła z ludu, który też posiadał nieco wiedzy elfów, powiedziała sobie:

— Czyż nie wyrzekli się Światła, czyż nie jest zatem tak, że nie mają teraz doń

przystępu? A jeśli Władcy Zachodu wymazali ich ze swych myśli, czy pokonanie jednego z Moźnych nie będzie wówczas zadaniem przewyższającym siły nawet Pierworodnych?

Cień podobnych wątpliwości zdawał się w ogóle nie nawiedzać umysłu Hurina Thaliona, jednak któregoś wiosennego dnia owego roku obudził się po niespokojnym śnie cały chmurny, wieczorem zaś stwierdził nagle:

— Gdy mnie wezwą, Morweno Eledhwen, wówczas twej pieczy powierzę dziedzictwo rodu Hadora. Życie człowieka jest krótkie i wiele czyha nań pułapek, nawet w czasach pokoju.

— Zawsze tak było — odparła. — Ale co mają znaczyć te słowa?

— To znak rozwagi, nie zwątpienia — powiedział Hurin, jednak zdawał się zaniepokojony. — Ten, kto myśli o przyszłości, musi dostrzec, że nic nie zostanie takie, jakie było. Szykuje się wielka rozgrywka, która ze szczętem pograży jedną ze stron. Jeśli to królowie elfów przegrają, wtedy zły los spotka także Edainów, a my mieszkamy najbliżej Nieprzyjaciela. Jeśli tak by się stało, nie powiem ci: Nie bój się! Choć słusznie bowiem lękasz się tego, co straszne, to strach nie ma nad tobą władzy. Rzeknę zatem: Nie czekaj! Wrócę, gdy tylko będę mógł, ale ty nie czekaj! Jak szybko będziesz mogła, ruszaj na południe; podążę za tobą i znajdę cię, choćbym cały Beleriand miał przeszukać.

— Rozległy jest Beleriand i niezycliwy wygnańcom — powiedziała Morwena. — Dokąd mam uciekać i ilu ludzi zabrać ze sobą?

Hurin pomyślał chwilę w ciszy.

— W Brethilu mieszka rodzina mej matki — odezwał się w końcu. — Lotem orła to jakieś trzydzieści staj.

— Gdyby tak fatalny czas zaiste nadszedł, to cóż po ludziach? — spytała Morwena. — Ród Beora upadł. Jeśli potężny ród Hadora zostanie pokonany, w jakąż to mysią dziurę przyjdzie się schować Ludowi Halethy?

— Niewielu ich jest i nieuczni oni, ale nie powątpiewaj w ich męstwo — powiedział Hurin. — Bo czyż można liczyć na cokolwiek więcej?

— Nie wspomniałeś jeszcze o Gondolinie.

— Tak, ta nazwa nie padła z mych ust — odparł Hurin. — Prawdą jest jednak to, co słyszałaś: byłem tam. Powiadam ci jednak szczerze, jak nigdy dotąd nikomu nie wyjawilem i nie wyjawię, że nie wiem, gdzie leży Gondolin.

— Ale domyślasz się i najpewniej orientowałbyś się, gdzie szukać — stwierdziła Morwena.

— Może i tak, ale dopóki Turgon nie zwolni mnie z danego słowa, nawet tobie nie zdradzę mych przypuszczeń i na próżno byś szukała. Gdybym zaś, hańbą się okrywając, powiedział ci wszystko, to w najlepszym razie stanęłabyś przed zawar-

tą bramą, aż bowiem do chwili, gdy Turgon wyruszy na wojnę (a nic nie wiadomo, by miał to uczynić i nikt się tego nie spodziewa), żadna istota nie wejdzie do środka.

— Skoro zatem nie można liczyć na twych pobratymców, a przyjaciele odmawiają pomocy — powiedziała Morwena — sama muszę zdecydować i myśli moje skłaniają się ku Doriathowi. Obręcz Meliany padnie ostatnia, jak sądzę, nikt też nie będzie tam pogardzał rodem Beora. Czyż nie jestem teraz krewniaczką Króla? Przecież Beren, syn Barahira, był wnukiem Bregora, tak jak i mój ojciec.

— Niezbyt ciepło noszę w sercu Króla Thingola — powiedział Hurin. Nie udzielił on żadnej pomocy Królowi Fingonowi i nie wieciez czemu, dziwny cień zbiera się w mych myślach, gdy wypowiedana jest nazwa Doriath.

— A mnie chłód ogarnia, gdy słyszę o Brethilu — odparła Morwena. Wówczas Hurin roześmiał się nagle i powiedział:

— Oto siedzimy sobie, rozpamiętując sprawy nijak od nas nie zależne, mroczne cienie przywołując z niebytu. Nie będzie aż tak źle. Ale gdyby jednak, to na odwadze i roztropności przyjdzie ci polegać. Postąpisz, jak ci serce podyktuje, nie zwlekaj tylko. Jeśli zaś kres żywota napotkamy, wówczas sprawą królów elfów będzie przywrócić lenno spadkobiercom rodu Beora, a syn nasz obejmie dostojne dziedzictwo.

Tej nocy Turin prawie przebudził się i zdało mu się, że ojciec i matka stoją obok łoża i przyglądają się synowi w świetle trzymanyh w dłoniach świec, twarzą rodziców jednak nie dostrzegł.

Rankiem w dniu urodzin Turina, Hurin dał synowi prezent, wykuty przez elfy nóż z rękojeścią i pochwą w barwach srebra i czerni. Wręczając dar, powiedział:

— Dziedzicu rodu Hadora, oto mój podarunek urodzinowy. Uważaj jednak! Okrutne jego ostrze, stał służy zaś tym tylko, którzy potrafią nią władać. Wszystko gotowa jest ciąć z równą gorliwością, nawet twoją dłoń. — I sadzając Turina na stole, ucałował go serdecznie. — No proszę, niemal dorównujesz mi wzrostem. Nie minie wiele czasu, a naprawdę mnie przerośniesz. Wielu zacnie się wówczas lekkać twego noża.

Wówczas Turin uciekł z komnaty i samotnie wybiegł z domu, a w sercu chłopca zagościło ciepło niczym blask słońca rozgrzewający wiosną zmarzniętą ziemię. Powtarzał sobie słowa ojca, który nazwał go dziedzicem rodu Hadora, jednak w myślach inne jeszcze zdanie sobie przypomniał: Dawaj szczerze, ale tylko to, co twoje. Poszedł zatem do Sadora i zawołał:

— Labadalu, dziś jest moje święto, urodziny dziedzica rodu Hadora! Przyniosłem ci prezent z tej okazji. Oto nóż, dokładnie taki, jakiego ci trzeba, gładko i równo wytniesz nim, co zechcesz.

Sador przyjął rzecz z zakłopotaniem, wiedział bowiem, że Turin sam otrzymał ów nóż na urodziny, jednak nie godzi się mężczyźnie odmówić daru, jeśli ten zostaje wręczany dobrowolnie, obojętnie czyja ręka to czyni. Powiedział zatem z powagą:

— Ze szczodrego rodu pochodzisz, Turinie, synu Huora. Nie zrobiłem nic, czym godnie mógłbym ci odpłacić i za mało życia mi zostało, by to zmienić. Postaram się jednak tego dokonać, na ile sił mi starczy. — A gdy wyciągnął nóż z pochwy, stwierdził: — Zaiste, wspaniały to dar, ostrze ze stali elfów. Z dawna brakowało mi jej dotyku.

Hurin zauważył wkrótce, że syn nie nosi noża, a gdy spytał go, czy może tak zląkł się przestrogi, Turin odparł:

— Nie, ale dałem nóż cieśli Sadorowi.

— Czyżbyś pogardził prezentem od ojca? — spytała Morwena i Turin znów odpowiedział:

— Nie, ale kocham Sadora i żał mi tego człowieka. — Wtenczas rzekł Hurin:

— Wszystkie te trzy rzeczy twoimi były i rozdać je mogłeś wedle swej woli, Turinie: miłość, współczucie, a w końcu i nóż.

— Ale wątpię, czy Sador zasłużył sobie na nie — powiedziała Morwena. — Sam się okaleczył przez brak biegłości, co ma zrobić, zawsze czyni powoli, marnując czas na błahostki.

— Tak czy inaczej, zasługuje na współczucie — stwierdził Hurin. — Nawet prawa dłoń i szczere serce mogą czasem zbłądzić, a taką krzywdę trudniej bywa znieść niż knowania wroga.

— Teraz jednak będziesz musiał poczekać na inny nóż — powiedziała Morwena. — Ten zaś dar pozostanie prawdziwym prezentem, swoją bowiem własność oddałeś.

Niemniej od tamtej pory Turin zauważył, że Sadora zaczęto traktować z większymi rewerencjami, zlecono mu też wykonanie wielkiego siedziska dla pana domu, by ten mógł ustawić je w swojej komnacie.

Nadszedł jasny poranek w miesiącu Lothron, kiedy to nagle dęcie w trąby obudziło Turina. Gdy podbiegł do drzwi, ujrzał na podwórku wielką cizbę pieszych i konnych uzbrojonych jak na wojnę. Stał tam i Hurin, przemawiając do ludzi i wydając rozkazy. Turin dowiedział się, że wszyscy oni wyruszają właśnie do Barad Eithel. Byli między nimi nie tylko strażnicy i ludzie domu Hurina, ale i mężczyźni wezwani z całego kraju. Niektórzy wyruszyli już wcześniej z Huorem, bratem ojca Turina, inni mieli dołączyć do władcy Dorlominu po drodze, by pod jego sztandarem ruszyć na wielki przegląd wojsk Króla.

Morwena nie roniła łez, żegnając męża.

— Przypilnuję wszystkiego, co zostawiasz mej pieczy — powiedziała. — I tego, co jest, i tego, co będzie.

— Żegnaj, pani Dorlominu, wyruszamy z nadzieją większą, niż kiedykolwiek. Niech pozostanie przy nas wiara, że tej zimy święto przesilenia radośniejsze będzie niż we wszystkich minionych latach i wiosna bez lęku zawita w nasze progi! — Potem posadził sobie Turina na ramieniu i zawołał do swych ludzi: — Niech dziedzic rodu Hadora ujrzy błysk waszych mieczy! — I słońce zajaśniało na pięćdziesięciu ostrzach, które tamci dobyli, a podwórzec wypełnił się zawołaniem bitewnym Edainów z Północy: Lacho calad! Drego morn! Płoń blasku! Uciekaj Nocy!

W końcu Hurin wskoczył na siodło i rozwinięto jego złoty sztandar, a trąby zagrały raz jeszcze tego ranka. W ten sposób Hurin Thalion odjechał ku Nirnaeth Arnoediad.

Morwena i Turin stali zaś w drzwiach, aż dobiegł ich z dala słaby zew rogu: to Hurin minął grań pagórka, zza którego nie widać było już domu.

Słowa Hurina i Morgotha

Wiele pieśni nucą elfy i niejedną snują opowieść o Nirnaeth Arnoediad, Bitwie Nieprzeliczonych Łez, w której zginął Fingon i kwiat cały plemienia Eldarów. Życia ludzkiego by nie starczyło na wysłuchanie wszystkich tych historii³⁶, teraz zatem pora na słowo o tym jedynie, co przytrafiło się Hurinowi, synowi Galdora, panu Dorlominu, kiedy to na rozkaz Morgotha został w końcu pojmany żywcem przy strumieniu Rivil, skąd uprowadzono go do Angbadu.

Zaprowadzono Hurina przed oblicze Morgotha, który dzięki swoim talentom i szpiegom wiedział o przyjaźni łączącej Hurina z Królem Gondolinu i pragnął osobiście złamać więźnia. Hurin jednak nie dał się nastraszyć i stawiał czoło Morgothowi, który zakuł go wówczas w łańcuchy i skazał na powolną mękę. Wrócił jednak po niedługim czasie do Hurina i dał mu wybór pomiędzy odejściem gdzie wola i ochota lub też przyjęciem służby pomiędzy największymi dowódcami Morgotha, a to pod warunkiem, że wyjawi położenie fortecy Turgona i wszystko, co wie o zamiarach Króla. Ale Hurin Nieugięty zakpił z niego, mówiąc:

— Ślepy jesteś, Morgocie Bauglirze i ślepy pozostaniesz, mrok jeno dostrzegając. Pojęcia nie masz, co rządzi sercami człowieczymi, a nawet, gdybyś to wiedział, nie potrafiłbyś darować ludziom spełnienia. Głupcem zwać tego, kto wierzy w słowa Morgotha. Najpierw zagarniesz to, co pragniesz, potem cofniesz obietnicę, a mnie tylko śmierć zostanie, jeśli ulegnę twym żądaniom i namowom.

Morgoth roześmiał się wówczas i powiedział:

— Będziesz mnie jeszcze błagał o śmierć jak o łaskę.

Potem zabrał Hurina na Haudh-en-Nirnaeth, który to kurhan dopiero co usypiano, więc wciąż spowijało go tchnienie śmierci. Usadził swego więźnia na szczycie, spojrzeć kazał na zachód, ku Hithlum, i skłonił do pomyślenia o żonie, dzieciach i reszcie krewnych.

— Teraz wszyscy oni mieszkają w należącym do mnie królestwie — powiedział

³⁶ Tekst „Narn” zawiera w tym miejscu opis Nirnaeth Arnoediad, który pominąłem z tych samych powodów, jak w przypisie 1. Por. Silmarillion, str. 230-327.

Morgoth. — Mogą liczyć jedynie na moje miłosierdzie.

— Które nie istnieje — dodał Hurin. — Jednak nie są w stanie wskazać ci drogi do Turgona, nie znają bowiem jego tajemnic.

Wówczas gniew ogarnął Morgotha.

— Ty jednak możesz mi w tym pomóc, wraz z całym swym przeklętym rodem. Nagnę cię do mej woli, choćbyś twardszy miał być od stali. — I porwał długi miecz, który tam leżał, i na oczach Hurina złamał go w pół. Hurin zaś, choć odłamek zranił mu twarz, nawet nie drgnął. Wyciągnął zatem Morgoth długą rękę ku Dorlominowi i przeklął Hurina, Morwenę i ich potomstwo, mówiąc: — Patrz! Cień mej myśli spowije twoich bliskich, gdziekolwiek pójdą, i moja nienawiść ścigała ich będzie aż na kraniec świata.

— Próżne gadanie — odrzekł śmiało Hurin. — Nie dostrzegasz ich nawet, nie masz z dala nad nimi nijakiej władzy i miał nie będziesz, jak długo pozostajesz w tej postaci, jak długo pragniesz być widzialnym Królem tej ziemi.

Obrócił się wtedy Morgoth do Hurina i powiedział:

— Głupcze, najlichszy spośród ludzi, ostatnich spośród istot obdarzonych mową! Czy widziałeś kiedykolwiek Valarów, czy poznałeś siłę Manwego i Vardy? Czy wiesz, dokąd sięgają ich myśli? A może sądzisz, że pamiętają o tobie i że gotowi są chronić cię z dużej odległości?

— Tego nie wiem — odparł Hurin. — Jednak mogliby to uczynić, gdyby zapragnęli. Jak długo bowiem Arda istnieje, nikt nie pozbawi Odwiecznego Króla tronu.

— Mylisz się, Hurinie — stwierdził Morgoth. — Jam jest Odwiecznym Królem: Melkor, pierwszy i najpotężniejszy z Valarów, byłem już, kiedy świat jeszcze nie istniał, to ja go stworzyłem. Cień mych zamysłów zalega nad Ardą i wszystko, co ją tworzy, ulega z wola, ale nieuchronnie mej woli. Nad tymi zaś, których kochasz, zawiśnie niczym chmura widmo Zagłady, aż bez reszty pogrążą się w mroku i rozpacz. Gdziekolwiek pójdą, zło podąży za nimi. Cokolwiek powiedzą, fatalną okaże się rada. Każdy czyn, przeciw nim się obróci. Umrą odarci z nadziei, i śmierć, i życie przeklinając.

— Czyżbyś zapomniał, z kim rozmawiasz? — spytał hardo Hurin. — Dawno temu opowiadałeś już takie bajdy naszym ojcom, umknęliśmy jednak z zasięgu twego Cienia. Teraz już wiemy dobrze, kim jesteś, patrzyliśmy bowiem w oblicza tych, co widzieli Światło, słyszeliśmy głosy tych, którzy rozmawiali z Manwem. Owszem, istniałeś wcześniej niż Arda, ale nie byłeś sam, i nie ty ją stworzyłeś. Trudno też cię nazwać najpotężniejszym, za wiele bowiem siły zużyłeś, by zbudować swój wizerunek, z próżności zmarnowałeś i roztrwonileś swą moc. Teraz jesteś ledwie zbiegłym więźniem Valarów i nikiem nadto. Ich łańcuch wciąż na cie-

bie czeka.

— Dobrze wyuczyłeś się zadanej przez twych panów lekcji — powiedział Morgoth. — Ale takie dziecinne bajanie nic ci nie pomoże, skoro wszyscy oni uciekli.

— Na sam koniec więc, więźniu Morgocie, powiem ci coś, co nie od Eldarów pochodzi, ale pojawiło się w moim sercu w tej godzinie. Nie jesteś panem ludzi i nigdy nim nie będziesz, nawet gdyby i Arda, i Menel dostały się w twe jarzmo. Nie dosięgniesz poza Kręgi Świata tych, którzy sprzeciwią się twojej woli.

— Poza Kręgi Świata ścigał ich nie będę — odparł Morgoth. — A to dlatego, że tam jeno pustka i nicość. Tutaj jednak mi nie ujdą, chyba że nicość wybiorą.

— Kłamiesz — stwierdził Hurin.

— Sam jeszcze ujrzysz i przekonasz się, że to, co mówię jest prawdą — odrzekł Morgoth i zabrał Hurina z powrotem do Angbadu, by przykuć go swą mocą do kamiennego siedziska wysoko na zboczu Thangorodrimu, skąd rozciągał się widok daleko w głąb Hithlumu na zachodzie i Beleriandu na południu. Stanąwszy zaś obok, Morgoth przeklął go raz jeszcze, nie pozwalając ni ruszyć się z miejsca, ni umrzeć, póki sam więźnia nie uwolni.

— Siedź tutaj i patrz na krainy, gdzie zło i rozpacz dosięgnie tych wszystkich, których wystawiłeś na me ciosy. Ośmieliłeś się bowiem drwić ze mnie, podważyłeś potęgę Melkora, pana losu Ardy. Tedy moimi oczami widział będziesz, moimi uszami słyssał i nic nie zostanie ci oszczędzone.

Odeście Turina

Tylko trzech mężów ze wszystkich wrócić zdołało do Brethilu przez Taur-nu-Fuin i ponury był to powrót. Gdy Gloredhel, córka Hadora, dowiedziała się o śmierci Haldira, umarła z żalości.

Do Dorlominu żadne wieści nie dochodziły. Riana, żona Huora, popadła w szaleństwo i uciekła na pustkowia, gdzie jednak trafiła na Elfy Szare ze wzgórz Mithrimu. One przyjęły ją oraz dziecko, które urodziła, i roztoczyły opiekę nad Turorem, kiedy to Riana wyruszyła do Haud-en-Nornaeth, gdzie zległa i umarła.

Morwena Eledhwen pozostała w Hithlumie, cierpiąc w milczeniu. Jej synowi, Turinowi, biegł dopiero dziewiąty rok życia, a ona znów oczekiwała dziecka. Zły był to czas. Easterlingowie w wielkiej liczbie nadciągnęli do jej włości, ze szczególnym okrucieństwem traktując poddanych Hadora, ograbiając ich z majątku i pędząc w niewolę. Zabierali wszystkich, którzy mogli przydać się do jakiegokolwiek służby czy pracy, nawet dziewczęta i chłopców, starych zabijali lub głodzili na śmierć. Nie ośmielili się jednak jeszcze ani wyciągnąć rąk po panią Dorlominu, ani wyrzucić jej z domu, wierzyli bowiem, że jest ona niebezpieczną czarownicą mającą swe układy z białymi demonami, jak nazywali elfy, budzące w nich lęk silniejszy od nienawiści³⁷. Z tegoż samego powodu omijali góry, gdzie, szczególnie na południu, schroniło się wielu Eldarów. Skończywszy plądrowanie, Easterlingowie poniechali dalszego dzieła zniszczenia i wycofali się na północ, posiadłość zaś Huora znajdowała się na południowym wschodzie Dorlominu i góry były blisko, a Nen Lalaith brał swój początek ze źródła tryskającego u stóp Amon Dearthir, której grzbiet przecinała przełęcz stroma, ale dostępna dla kogoś zaprawionego w wędrówkach. Śmiałek taki, pokonawszy Ered Wethrin mógł zejść potem wraz

³⁷ Inna wersja tego tekstu wyjaśnia, że Morwena zaiste kontaktowała się z Eldarami przemieszkującymi sekretnie w górach niezbyt daleko od jej domu. „Ale nie mieli jej nic nowego do powiedzenia. Nikt z nich nie widział ostatnich chwil Hurina.

- Nie było go z Fingonem - powiedzieli. - Został wraz z Turgonem zepchnięty na południe i jeśli ktokolwiek z nich ocalał, to pociągnął za zastępami Gondolinu. Ale czy można wiedzieć coś na pewno? Orkowie zebrali ciała wszystkich poległych w jeden stos i próżno by szukać, nawet gdyby ktoś ważył się wybrać do Haudh-en-Nirnaeth”.

z dopływami Glithui do Beleriandu. Ani Easterlingowie, ani nawet sam Morgoth nie znali jeszcze tej drogi, jak długo bowiem stał dom Fingolfinu, kraj ten był bezpieczny. Nieprzyjaciele i słudzy zła nigdy tam się nie zapuszczali. Morgoth zaś uważał Ered Wethrin za przeszkodę nie do przebycia, zarówno dla uciekinierów z północy, jak i najeźdźców z południa. I rzeczywiście, nie istniało inne przejście dla bezskrzydłych istot od Serech aż po daleki zachód, gdzie Dorlomin graniczył z Nevrastem.

Tak więc się stało, że podczas pierwszych wypadów poniechano Morweny, jednak wielu ludzi czaiło się w pobliskich lasach, więc śmiałkowi wypuszczającemu się zbyt daleko od domu groziło duże niebezpieczeństwo. Pod opieką Morweny pozostało jeszcze kilkoro starszych mężczyzn i kobiet, w tym cieśla Sador, oraz Turin, któremu matka zakazała teraz wychodzić poza dziedziniec. Dom Hurina podupadł jednak wkrótce i chociaż Morwena ciężko pracowała, to bieda cisnęła ją mocno i pani Dorlominu przymierałaby głodem, gdyby nie dyskretna pomoc Aeriny, krewnej Hurina, którą niejaki Brodda, Easterling, wziął przemocą za żonę. Gorzki był to kąsek dla Morweny, przyjmowała jednak dary przez wzgląd na Turina i nie narodzone jeszcze dziecko, a też dlatego, powiadała, że swoje bierze, to właśnie bowiem ów Brodda zagarnął jej poddanych, dobra i bydło z włości Hurina, wyprowadzając je do własnego majątku. Był to człowiek zuchwały, ale niezbyt liczył się między swoimi, nim przybyli do Hithlumu, tak zatem, pragnąc bogactwa, wyciągał rękę po okolice, którymi inni pogardzili. Raz tylko widział Morwenę, gdy przyjechał do jej domostwa po łupy, i lęk go wówczas ogarnął. Zdało mu się, że patrzy w srogie oczy białego demona i przerażony, aby tylko jakiego uroku nań nie rzuciła, zaniechał plądrowania, nie odkrywając tym samym Turina. Inaczej życie prawdziwego dziedzica i pana na włościach dobiegłoby przedwczesnego końca.

Z ludu Hadora Brodda uczynił swych niewolników, zmuszając Słomiane Łby, jak ich nazywał, do wzniesienia dlań drewnianego pałacu na północ od domu Hurina. Tam też nieszczęsnych stłoczył niczym bydło na otoczonym palisadą dziedzińcu, strzeżono ich jednak marnie. A byli w owej gromadzie i tacy, którzy nie bacząc na swe mizerne położenie, nie lękali się pomagać pani Dorlominu, i od nich to docierały do Morweny przekazywane potajemnie wieści, nie dodające jednak otuchy. Niemniej Brodda traktował Aerinę jak prawdziwą żonę, a nie jak niewolnicę, niewiele bowiem kobiet przybyło z armią Easterlingów, a i te nie umywały się do córek Edainów. Miał też nadzieję objąć kiedyś władzę nad całą tą krainą i czekał dziedzica, by mieć komu włości przekazać.

O tym, co się działo i jeszcze zdarzyć mogło, Morwena nie wspominała prawie Turinowi, on zaś bał się zmącić jej milczenie pytaniami. Gdy po raz pierwszy

Easterlingowie przybyli do Dorlominu, spytał wówczas matkę:

— Kiedy wróci mój ojciec, by przegnać tych obrzydliwych złodziei? Czemu jeszcze nie nadchodzi?

— Nie wiem — odparła wówczas. — Może zginął, może popadł w niewolę, a może rzucił go los tak daleko, że nie może przedrzeć się do nas przez rzesze nieprzyjaciół.

— Chyba jednak poległ — powiedział Turin, a nim matka zdołała go ukoić, dodał ze łzami: — Bo przecież gdyby żył, nikt by go nie powstrzymał przed powrotem, by nam pomóc.

— Obawiam się, że i tak nie domyślamy się prawdy — odparła Morwena.

Z czasem Morwena coraz bardziej zaczęła się lękać o los swego syna, dziedzica Dorlominu i Ladrosu, obawiając się, że nie minie wiele lat, a stanie się niewolnikiem Easterlingów i nic lepszego go już w życiu nie spotka. Wtedy wspomniała słowa Hurina i ponownie pomyślała o krainie Doriathu, ostatecznie postanawiając wysłać tam cichcem Turina i poprosić Króla Thingola, by przygarnął chłopca. Gdy tak siedziała i dumiała, jak tego dokonać, usłyszała w myślach wyraźnie głos Hurina mówiący: „Ruszaj szybko! Nie czekaj na mnie!” Zbliżał się jednak czas rozwiązania, a droga szykowała się ciężka i niebezpieczna, z każdym krokiem dająca mniej szans na ucieczkę, na dodatek Morwena łudziła się wciąż, chociaż była to nadzieja skrywana na samym dnie serca, że Hurin nie zginął i że którejś bezsennej nocy usłyszy wreszcie jego kroki. Czasem budziła się, przekonana, że oto dobiegło ją rżenie jego konia, Arrocha. Co więcej, chociaż pragnęła, by syn znalazł schronienie pod obcym dachem, duma nie pozwalała jej samej prosić o jałmużnę, nawet Króla. Nie posłuchiwała więc głosu męża, czy też wspomnienia owego głosu, i za jej sprawą w tejże oto chwili dopełniać się zaczął fatalny los Hurina.

Jesień Roku Lamnetu zdążyła nadciągnąć, nim Morwena podjęła swą decyzję, toteż pośpiech był teraz wskazany, niewiele bowiem czasu zostało na podróż, próba zaś przeczekania zimy groziła pojmaniem Turina przez krążących w pobliżu i szpiegujących domostwo Easterlingów. Tak zatem niespodziewanie rzekła pewnego dnia Turinowi:

— Twój ojciec nie powróci. Ty również musisz wyruszyć, i to rychło, tak jak on tego pragnął.

— Wyruszyć? — krzyknął Turin. — Ale dokąd pójdziemy? Przez Góry?

— Tak — odparła. — Na południe, gdzie może tli się jeszcze jakaś nadzieja. Nie powiedziałam jednak „my”, mój synu. Ja muszę zostać.

— Nie odejdę sam! — powiedział Turin. — Nie zostawię cię. Czemu nie mielibyśmy ruszyć razem?

— Ja nie mogę — stwierdziła Morwena. — Nie będziesz jednak samotnie wę-

drował. Wyślę z tobą Gethrona, a może też i Grithnira.

— A czemu nie Labadala?

— Bo Sador jest kulawy, a droga niełatwa. Ponieważ jesteś moim synem i po-nure czasy nastały, powiem wprost: możecie zginąć w marszu. Zima już bliska. Je-śli jednak zostaniesz, wówczas czeka cię koniec gorszy jeszcze, nie unikniesz bo-wiem niewoli. O ile chcesz godnie dojść wieku męskiego, wówczas zbierzesz się na odwagę i zrobisz, jak mówię.

— Ale przy tobie będzie tylko Sador, ślepy Ragnir i garstka starych kobiet. Czy ojciec nie powiedział, że jestem dziedzicem Hadora? Ktoś taki powinien zostać w domu, by go bronić. Jaka szkoda, że oddałem nóż!

— Powinien, ale nie może — odparła Morwena. — Niewykluczone jednak, że pewnego dnia tu powróci. Odwagi! Jeśli sytuacja pogorszy się, wyruszę za tobą, o ile tylko będę mogła.

— Ale jak odszukasz mnie wówczas wśród pustkowia? — spytał Turin i załkał nagle, przerażony.

— Skoro nie przestaniesz tak jęczeć, to inni znajdą cię przede mną. Znając cel wędrówki, odnajdę was. Macie dotrzeć gdzie trzeba i pozostać na miejscu. Wysy-łam cię do Króla Thingola w krainie Doriathu. Czy nie wolisz być raczej gościem Króla niż niewolnikiem?

— Sam nie wiem. Nigdy nie spotkał mnie los więźnia.

— Po to właśnie cię wysyłam, byś nie poznał doli niewolnika — odparła Mor-wena i posadziła Turina przed sobą, po czym spojrzała mu w oczy, jakby chcia-ła wyczytać z nich odpowiedź na jakąś zagadkę. — Czasy są ciężkie, Turinie, mój synu — odezwała się po dłuższej chwili. — I to nie tylko dla ciebie. Niełatwo mi w tych złych dniach osądzić słusność wyboru. Czynię jednak to, co wydaje mi się słuszne. Bo i dla jakiego niby innego powodu miałabym rozstawać się z najdroż-szą osobą, jaka została mi na świecie?

Więcej już o tym nie rozmawiali, Turin zaś, smutny i nieswój, poszukał następ-nego ranka Sadora, który rąbał na szczapy mizerne resztki drew do ognia, co mu-siało wystarczyć, nikt bowiem nie odważał się obecnie zapuszczać w las. Wspar-ty na kulach zapatrzył się na wielkie siedzisko Hurina, które tkwiło nie ukończo-ne w kacie.

— Przyszedł jego czas — powiedział. — Nie pora dziś na zbytki.

— Poczekaj z tym — poprosił Turin. — Może on jeszcze wróci, a wówczas z ra-dością ujrzy, co dlań zrobiłeś, gdy przebywał z dala od domu.

— Próżna nadzieja gorsza jest od strachu — stwierdził Sador — bo nie ogrze-je nas tej zimy. — Przesunął palcem po rzeźbieniach mebla i westchnął. — Stra-cony był to czas, chociaż miło upływał. Ale takie dzieła zawsze krótko żyją i jedy-

na radość, której dostarczają, to radość tworzenia. Równie dobrze mógłbym oddać ci teraz twój nóż.

Turin zaraz wyciągnął rękę, ale jeszcze szybciej ją cofnął.

— Mężczyzna nie odbiera tego, co podarował — stwierdził.

— Ale skoro nóż należy do mnie, to czy nie mogę podarować go komukolwiek zapagnę?

— Owszem, każdemu, prócz mnie. Ale czemu miałbyś chcieć mi go oddać?

— Chyba nie trafi mi się już robota warta tego ostrza — odrzekł Sador. — Nadchodzą dni, gdy nie będzie pracy dla Labadala innej jak niewolnicza harówka.

— Co to jest niewolnik?

— Człowiek, który człowiekiem już nie jest, bo traktują go jak zwierzę. Jeść dostaje tyle tylko, by pozostał żywy, żyje dla nieustannego trudu, a trudzi się ze strachu przed cierpieniem i śmiercią. Zresztą ci łupieżcy gotowi są męczyć i zabijać dla samej zabawy. Słyszałem, że wybierają co lepszych biegaczy, by polować na nich z psami. Uczą się od Orków szybciej, niż my uczyliśmy się od Pięknego Ludu.

— Teraz lepiej rzecz pojmuję — powiedział Turin.

— To haniebne, że tak wcześnie musisz zacząć rozumieć podobne sprawy — odparł Sador, a dostrzegając dziwny błysk w oczach chłopca, spytał: — A co właściwie pojmujesz?

— Matka wysłała mnie w drogę — mruknął Turin i zalał się łzami.

— Aha! — powiedział Sador. — Tylko czemu zwlekała tak długo? — dodał pod nosem. — Nie wygląda mi to na dobry powód do płaczu. Nie powinienes jednak wspominać o decyzji Morweny ani Labadalowi, ani nikomu innemu. Czasy takie, że ściany mają uszy i mało szlachetne głowy tymi uszami strzygą.

— Ale przecież muszę z kimś porozmawiać! Zawsze wszystko ci mówiłem. Nie chcę cię opuszczać, Labadalu. Nie chcę zostawiać domu ani matki.

— Zrozum, jeśli tego nie zrobisz, to ród Hadora wygaśnie niebawem. Labadal pragnie z całego serca, byś nie odchodził, ale Sador, sługa Hurina spokojniej spał będzie wiedząc, że syn Hurina żyje bezpiecznie poza zasięgiem Easterlingów. Cóż, nic nie da się zrobić. Nadeszła pora, by się pożegnać. Czy i teraz nie przyjmiesz od mnie noża jako prezentu na do widzenia?

— Nie! — krzyknął Turin. — Idę do elfów, do Króla Doriathu, tak mówi matka. Tam mogą mieć więcej takich noży, ale nie będę mógł przesłać ci żadnego daru, Labadalu. Będę bardzo daleko i zupełnie sam. — I znów zapłakał, ale Sador powiedział:

— Gdzie podziewa się syn Hurina? Bo słyszałem, jak mówił całkiem niedawno: „Gdy tylko dorosnę, wyruszę jako żołnierz z elfim królem”.

Wówczas Turin powstrzymał łzy.

— No dobrze, jeśli tak powiedział syn Hurina, to trzeba mu dotrzymać słowa i ruszyć w drogę. Co innego jest jednak mówić o czymś, a robić to naprawdę, gdy czas nadejdzie. Wcale nie pragnę odchodzić. Muszę w przyszłości zwracać większą uwagę na me słowa.

— Zaiste, pamiętaj o tym — stwierdził Sador. — Tak to jest, że większość ludzi próbuje pouczać innych, ale mało kto z nich sam się uczy. Będzie co ma być i nie zamartwiaj się tym, dzisiejsze troski starczą ci aż nadto.

Turin, gotów już do podróży, pożegnał się z matką i wyruszył potajemnie z dwoma jedynie kompanami. Za ich namową odwrócił się jeszcze i spojrzął na dom swego ojca, a wówczas ból rozstania poraził go jak miecz. Oto był pierwszy ze smutków Turina.

— Matko! Matko, kiedy znów cię zobaczę? — zakrzyknął, a stojącą na progu domostwa Morwenę dobiegło spomiędzy lesistych wzgórz echo tego okrzyku i tak mocno zacisnęła dłoń na framudze drzwi, że aż poraniła sobie palce.

Na początku następnego roku po odejściu Turina Morwena urodziła córkę, której dała na imię Nienor, czyli Żałoba, sam zaś Turin znajdował się w owej chwili już bardzo daleko. Droga była uciążliwa, jako że potęga Morgotha wyciskała piętno nawet na odległych zakątkach. Za przewodników miał chłopiec Gethrona i Grithnira, których młodość przypadała na czasy Hadora, niemniej, choć teraz postarzali, wciąż sprawiali się dzielnie i dobrze znali okolice, nie raz i nie dwa przemierzywszy niegdyś Beleriand. Los sprzyjał odważnym, tak więc pokonali Góry Cienia, zeszli do Doliny Sirionu, minęli Lasy Brethil, aż zmęczeni i wynędzniali, dotarli do granic Doriathu. Tutaj zgubiwszy się w labiryncie Królowej, długo wędrowali leśnymi bezdrożami, aż skończyło się jedzenie i śmierć zajrzała im w oczy, gdyż mroźna zima nadciągnęła z północy. Jednak nie tak lekki koniec pisany był Turinowi. Ulegli już zrozpaczeni, gdy dobiegł ich dźwięk rogu. To Beleg, Mistrz Łuku, polował w tej okolicy, przemieszkował bowiem na pograniczu Doriathu, jako najpotężniejszy w owych czasach człowiek lasu. Dosłyszał ich krzyki i zbliżył się, a potem poczęstował jadłem i napojem, a kiedy poznał imiona wędrowców i dowiedział się, skąd wyruszyli, serce jego wypełniło się podziwem i litością. Natychmiast poczuł sympatię do wytrwałego i mocnego Turina, który po matce odziedziczył urodę, a charakter po ojcu.

— O co będziesz chciał prosić Króla Thingola? — zagadnął Beleg chłopca.

— Pragnąłbym zostać jednym z jego rycerzy i wyruszyć przeciwko Morgothowi, by pomścić mego ojca — odparł Turin.

— Może stać się i tak, gdy podrośniesz z latami — stwierdził Beleg. — Bo chociaż mały jeszcze jesteś, zapowiadasz się na dzielnego męża, godnego syna Hurina

Nieugiętego. — Imię Hurina było w wielkim poważaniu pomiędzy elfami i Beleg chętnie zgodził się zostać przewodnikiem wędrowców. Poprowadził ich do domu myśliwskiego, w którym mieszkał tymczasem wraz z innymi łowcami. Zagościli tam, a wysłannik wyruszył z wieścią do Menegrothu. A gdy wrócił z nowiną, że Thingol i Meliana przyjmą syna Hurina i jego siostrę, Beleg powiódł ich tajnymi ścieżkami do Ukrytego Królestwa.

Tak więc dane było Turinowi przejść wielki most ponad Esgalduiną i minąć bramy pałacu Thingola. Jako dziecko ujrzał cuda Menegrothu, których nie oglądał dotąd żaden śmiertelnik prócz jednego, spowinowaconego zresztą z Turinem, Berena. Gethron wygłosił przed Thingolem i Melianą wiadomość od Morweny, a Król przyjął ich uprzejmie i dla uczczenia imienia Hurina, najpotężniejszego z ludzi, jak i bliskiego mu Berena, posadził sobie Turina na kolanach. Ci, którzy to widzieli, zdumieli się niepomierne, jako że gest ów oznaczał, że Thingol uznaje chłopca za swego wychowanka, a w owych czasach królowie nie zwykli czynić nikomu podobnych zaszczytów, nigdy zaś nie okazał takiej łaski władca elfów człowiekowi.

— Synu Hurina, oto twój dom — powiedział Thingol. — I chociaż człowiekiem jesteś, dorastać będziesz odtąd jako mój syn i do końca dni swoich synem moim pozostaniesz. Posiądziesz wiedzę ponad miarę plemienia człowieczego, nauczysz się władać bronią elfów. Może przyjdzie taka pora, gdy odzyskasz ziemię twego ojca w Hithlumie, na razie jednak pozostań tutaj, otoczony miłością.

Tak rozpoczął się pobyt Turina w krainie Doriathu. Przez czas jakiś towarzyszyli mu jeszcze Gethron i Grithnir, chociaż tęsknili za powrotem do pani w Doriathu. Stary i schorowany Grithnir postanowił jednak pozostać przy Turinie do swej śmierci, Gethron jednak zapragnął odejść, zatem Thingol wyprawił go z eskortą, przekazując wiadomość dla Morweny. Dotarli w końcu do domu Hurina, a gdy Morwena usłyszała, jakich to zaszczytów dostąpił jej syn w pałacu Thingola, lżej zrobiło się jej na sercu; ponadto elfy przekazały hojne dary od Meliany oraz prośbę, by Morwena zechciała wraz z poddanymi Thingola powrócić do Doriathu. Mądra Meliana posiadała umiejętność jasnowidzenia, miała nadzieję, że odwróci w ten sposób fatum zawisłe za sprawą Morgotha nad rodziną Hurina. Morwena jednak nie chciała opuścić domostwa, jako że niezmiennie było jej dumne serce, co więcej, Nienor gaworzyła dopiero w kołysce. Podziękowała zatem elfom z Doriathu, obdarowując ich na drogę drobiazgami ze złota, ostatnimi, jakie w tej biedzie, skrywanej przed gośćmi, pozostały, i namawiając też, żeby zanieśli Thingolowi hełm Hadora. Turin wyglądał niecierpliwie powrotu wysłanników Thingola, a gdy pojawili się bez Morweny, uciekł do lasu, gdzie zapłakał, wiedział bowiem o zaproszeniu Meliany i miał nadzieję, że matka jednak przybędzie. Oto

był drugi z żalów Turina.

Gdy wysłannicy przekazali odpowiedź Morweny, współczucie ogarnęło Melianę i uprzytomniła sobie, że przewidzianego przez nią fatalnego losu nie da się tak łatwo odmienić.

Insygnium władzy Hadora trafiło w ręce Króla Doriathu. Był to (wykuty przez mistrza Telchara, kowala z Nogrodu) hełm z szarej stali zdobionej złotem i zwia-
stującymi zwycięstwo runami. Miał moc chronienia przed ranami i śmiercią tego, kto go nosił, miecz pękał w zetknięciu z mocną stalą, a strzały odeń odskakiwały. Przyłbica, wzorowana na osłonach stosowanych przez krasnoludy podczas pracy w kuźni, chroniła twarz wojownika przed ogniem i strzałami, pozwalała jednak dostrzec nieprzyjaciołom budzące w ich sercach grozę oblicze. Całość zwi-
czona była pozłacaną podobizną smoka Glaurunga, krótko bowiem przed ukoń-
czeniem dzieła bestia po raz pierwszy wyłoniła się z bram Morgotha. Hador, a po nim Galdor, nosili go często w bitwie, górując nad polem walki i radując tym wi-
dkiem serca wojowników Hithlumu, którzy wołali: „O ile więcej wart jest Smok Dorlominu niż smocze robactwo Angbadu!”

Po prawdzie, ów hełm nie został zrobiony dla człowieka, ale dla Azaghala, pana Belegostu, który zginął, zabity przez Glaurunga w Roku Lamentu³⁸. Wcześniej Azaghal podarował go Maedhrosowi w podziękę za ocalenie życia i majątku pod-
czas napadu Orków na Drodze Krasnoludów w Beleriandzie Wschodnim³⁹. Ma-
edhros przesłał go następnie jako prezent Fingonowi, z którym często wymieniał
dowody przyjaźni i pamięci po tym, jak Fingon zapędził Glaurunga z powrotem
do Angbadu. Nie było jednak w Hithlumie nikogo, kto mógłby ów uczyniony na
karłową modłę hełm nosić bez wysiłku, prócz jednego Hadora i syna jego, Galdo-
ra. Tedy Fingon przekazał go Hadorowi, kiedy ten został władcą Dorlominu. Złym
zrządzeniem losu Hador nie miał jednak tej stalowej osłony na głowie, gdy bronił
Eithel Sirion, jako że napaść była gwałtowna, pobiegł nie uzbrojony na mury, gdzie
strzała Orka trafiła go w oko. Dla Hurina już jednak hełm stanowił zbyt duży cię-
żar, przeto nigdy nie założył go w żadnej potrzebie, powiadając: „Wolę raczej sta-
wić czoło nieprzyjacioły z odkrytą twarzą”. Tak czy inaczej, uznawał jednak ów
hełm za jeden z największych skarbów swego dziedzictwa.

Thingol miał w Menegroth podziemne zbrojownie pełne wszelakiego oręża,

³⁸ Taki właśnie opis hełmu Hadora zbieżny jest z deskrypcją: „wielkie maski, szkaradne wprawdzie [lecz bardzo pomocne w starciu ze smokami]”, gdy mowa jest o nakryciach głowy noszonych przez krasnoludy z Belegostu podczas Nirnaeth Arnoediad (Silmarillion, str. 234). Później, wyruszając z Nargothrondu do walki, Turin nosił krasnoludzką maskę, a „wrogowie pierzchali na widok tak groźnego oblicza” (tamże, str. 256). Patrz także dodatek do „Narn”.

³⁹ Wypad Orków na tereny Wschodniego Beleriandu, kiedy to Maedhros uratował Azaghal, nie został wspomniany w żadnym innym miejscu.

jak: kolczugi (wykute na podobieństwo rybiej łuski i lśniące niczym gładź wody w blasku księżyca) miecze i topory, tarcze i hełmy (zrobione w zamierzchłej przeszłości przez samego Telchara lub znakomitego ucznia jego, Gamila Ziraka) oraz dzieła coraz sprawniejszych w tym fachu elfów. Niektóre rzeczy otrzymał bowiem Thingol w darze aż z Valinoru, z kuźni znamienitego Feanora, któremu w owych czasach nikt na świecie nie potrafił dorównać w rzemiośle. Jednak Thingol przyjął Hełm Hurina, jakby nie miał tych bogactw, i odezwał się dwornie:

— Dumne głowy ozdobił niegdyś ten hełm należący do przodków Hurina.

Potem zaświtała mu pewna myśl, wezwał więc Turina i powiedział, że oto Morwena przysłała synowi nader istotną i znamienitą część ojcowizny.

— Weź teraz Smoczy Hełm Północy — polecił — a gdy czas nadejdzie, noś go szczęśliwie.

Turin był jednak jeszcze za mały, by unieść hełm, więc nie przynosił jemu żadnej pociechy.

Turin w krainie Doriathu

Dzieciństwo spędził Turin w królestwie Doriathu, pod okiem Meliany, chociaż sam rzadko ją widywał. Żyła bowiem w lasach dziewczyna imieniem Nellas, która na prośbę Meliany czuwała z daleka nad Turinem, gdy ten zapuszczał się między drzewa, często też, niby to przypadkiem, spotykała go w puszczy. Od niej dowiedział się chłopiec wiele o życiu i dziwach Doriathu, ona też nauczyła go używać języka Sindarów na modłę przyjętą w dawnym królestwie, kiedy wykorzystywano całe bogactwo i dworność tej mowy⁴⁰. Na czas jakiś niemal zapomniał Turin o smutku, aż cień znów go ogarnął, przyjaźń bowiem z Nellas przeminęła jak poranek wiosny. Dziewczyna nie chciała pójść z nim do Menegrothu, wzdragając się przed życiem pod dachem z kamienia. Tak więc, gdy dzieciństwo dobiegło końca i pora była Turinowi zająć się sprawami męskimi, coraz rzadziej i rzadziej widywał Nellas, aż za którymś razem w ogóle jej nie zawołał.⁴¹ Ona jednak wciąż obserwowała go z ukrycia.

Dziewięć lat mieszkał Turin w komnatach Menegrothu. Sercem i myślami skłaniał się ku pobratymcom, niekiedy otrzymując od nich uspokajające wieści. Thingol bowiem, jak tylko mógł często, wysyłał gońców do Morweny, ona zaś przekazywała synowi kilka słów. Tak i usłyszał Turin, że siostra jego, Nienor, wyrasta na piękność, kwiat istny pośród szarej Północy, a los samej Morweny nieco się poprawił. Wyrósł w końcu Turin na mężczyznę wysokiego pomiędzy ludźmi, a siła jego i odwaga sławne były w królestwie Thingola. Wiele przez ten czas się nauczył, chętnie słuchając opowieści o dawnych dziejach. Stał się rozważny i oszczędny w słowach. Beleg, Mistrz Łuku, niekiedy przybywał do Menegrothu, by odwiedzić

⁴⁰ Przy innej okazji ojciec napomknął, że nawet w czasach Turina mowa mieszkańców Doriathu (i króla, i pozostałych) bardziej była archaiczna niż gdzie indziej. Dodał też uwagę Mima (choć zachowane materiały dotyczące Mima nic o tym nie wspominają), iż jedyną rzeczą, której pomimo urazy żywionej do Doriathu Turin nigdy nie zdołał zmienić, był akcent typowy dla krainy jego młodości.

⁴¹ Notatka na marginesie jednego z tekstów: „Zawsze szukał w kobiecych twarzach rysów Lalaith”.

Turina. Wypuszczali się wówczas daleko, a Beleg pokazywał młodzieńcowi, jak żyć w lesie, używać łuku oraz (co Turin szczególnie wielbił) władać mieczem. Gorzej radził sobie Turin z wszelką twórczością, nie przywykły bowiem jeszcze do swej siły, łatwo nieostrożnym ruchem niszczył obiekt starań. Często też nie osiągał tego, czego pragnął, lub też mimowolnie osiągał coś zupełnie niezamierzonego. Z trudem zawiązywał przyjaźnie, brak mu było wesołości ducha i rzadko się śmiał, skazony w młodości Cieniem. Niemniej ci, którzy znali go dobrze, otaczali Turina szacunkiem i miłością, poważano go też jako przybranego królewskiego syna.

Znalazł się jednak ktoś, kto mu tego wszystkiego zazdrościł i wrogie uczucia narastały tym bardziej, im bliżej był Turin wieku męskiego. A nazywał się on Searos, syn Ithilbora. Pochodził z Nandoru i należał do grupy, która schroniła się w Doriacie po tym, jak ich władca, Denethor, zginął na Amon Ereb w pierwszej bitwie o Beleriand. Obecnie mieszkali głównie w Arthorienie, pomiędzy Arosem i Celonem na wschodzie Doriathu, czasem jednak wypuszczali się na pustkowia za Celonem. Od momentu przejścia Ossiriandu i osiedlenia się w Estolandzie, to właśnie plemię elfów nie darzyło Edainów przyjaźnią. Searos najczęściej przebywał w Menegrocie, gdzie zaskarbił sobie szacunek Króla. Był bardzo dumny i z góry traktował wszystkich, których uważał za gorzej urodzonych czy mniej rozgarniętych niż on sam. Zaprzyjaźnił się z minstrelem Daeronom⁴², jako że również biegły był w pieśni i nie przepadał nijak za pobratymcami Berena Erchamiona.

— Czy to nie dziwne — mawiał — że wpuszcza się tu przedstawicieli tej nieszczęsnej rasy? Czy i bez nich nie dość nieszczęść w Doriacie?

Spoglądał więc krzywo i na Turina, i na jego dzieła, obgadując młodzieńca przy byle okazji. Fałszywy jednak i nieszczery, skrywał złośliwe zapędy i ilekroć zdarzyło mu się spotkać Turina, pogwarzał z nim wesoło, chwając głośno każdy pomysł, aż wreszcie syn Hurina dość miał jego towarzystwa. Długo znosił to wszystko w milczeniu, adwersarz jego bowiem cieszył się sporym szacunkiem jako doradca Króla, ale Searos nawet to milczenie gotów był uznać za obrazę.

W siedemnastej wiośnie życia Turina żal znów powrócił, przestały bowiem dochodzić go wieści z domu. Cień Morgotha rósł z roku na rok, aż mrok otulił całe Hithlum. Bez wątpienia Morgoth wiedział niejedno o poczynaniach krewnych Hurina, mimo to chwilowo ich nie niepokoił, czekając aż los się dopełni. Ostatecznie jednak, w pogoni za własnymi celami, przyjrzał się baczniej Górom Mglistym. Odciał wszelkie szlaki, toteż nikt nie mógł wydostać się z Hithlumu ni tam przemknąć, nie ryzykując życie. Orkowie zaś nawiedzili tłumnie źródła Narogu i Teglinu, docierając aż do górnego biegu Sirionu. Toteż gdy pewnego razu wysła-

⁴² W jednej z wersji tego fragmentu opowieści Searos miał być krewniakiem Daerona, w innej jeszcze - jego bratem. Opublikowany wariant jest zapewne najpóźniejszym.

nicy Thingola nie powrócili, Król zaniechał wysyłania następnych. Nigdy zresztą nie patrzył przychylnie na oddalanie się swoich poddanych poza strzeżone granice i sam fakt wysyłania przez lata posłańców w niebezpieczną drogę do Morweny w Dorlominie był z jego strony wyrazem dobrej woli i wielkiej sympatii dla rodziny Hurina.

Serce Turina stwardniało wówczas, nie wiedział bowiem, jakie to nowe zło czai się za progiem, obawiał się też nieustannie o los matki i siostry. Przez całe dni siedział milczący i dumał o upadku rodu Hadora i Ludziach z Północy. Nareszcie wstał i poszukał Thingola, którego znalazł spoczywającego wraz z Melianą pod Hirilornem, wielkim bukiem Menegrothu.

Thingol spojrział na młodzieńca zdumiony, stanął bowiem przed nim nie syn przybrany, ale obcy człowiek. Wysoki, ciemnowłosy, z zapadniętymi oczami w bladym obliczu. Gdy Turin poprosił Thingola o kolczugę, miecz, tarczę i przypomniał o swych prawach do Smoczego Hełmu, Król dał mu to wszystko ze słowami:

— Znajdę ci miejsce pomiędzy moimi rycerzami, gdyż miecz będzie twoją bronią. Jeśli pragniesz, możesz wraz z nimi zacząć wprawiać się w wojennym rzemiośle na pograniczu.

— Serce gna mnie poza granice Doriathu — odparł Turin. — Miast tkwić tutaj, wolałbym raczej uderzyć na Nieprzyjaciela.

— Jeśli tak, to przyjdzie ci wyruszyć w pojedynek — stwierdził Thingol. — O udziale mego ludu w wojnie z Angbadem sam zadecyduję, gdy rozum mi to podpowie, a póki co żaden oddział Doriathu nie wyjdzie poza obszar królestwa i nie potrafię przewidzieć chwili, kiedy to nastąpi.

— Ty jednak wolny jesteś. Możesz ruszać wedle swej woli, synu Morweny — powiedziała Meliana. — Obręcz Meliany nie zatrzyma nikogo, kto przekroczył ją za naszym przyzwoleniem.

— Chyba że mądra rada cię powstrzyma — dodał Thingol.

— Jaka to rada, panie? — spytał Turin.

— Z pozoru jesteś już mężczyzną, ale daleko ci jeszcze do pełni męskości. Z czasem może upodobnisz się do swych przodków, ale istnieje mała szansa, by jeden człowiek działał więcej przeciwko Czarnemu Władcy niż królowie elfów w swej fortecy, przynajmniej jak długo dane będzie jej trwać.

— Beren, mój krewniak, uczynił więcej.

— Beren i Luthien — powiedziała Meliana. — Zbyt śmiałe to słowa wobec ojca Luthieny. Nie wydaje mi się, by aż takie przeznaczenie było ci pisane, Turinie, synu Morweny, chociaż los twój splata się z losem elfów na dobre i na złe. Bacz na swe czyny, bo inaczej to drugie przeważy. — Umilkła na chwilę, aż znów się odezwała. — Idź teraz i rozważ radę Króla. Nie sądzę jednak, byś długo zabawił tu z nami po

dojściu wieku męskiego. Wspominaj często słowa Meliany, a tylko na tym skorzystasz: strzeż się zarówno żaru, jak i chłodu swego serca.

Wówczas Turin skłonił się przed nimi i odszedł, a niedługo potem nałożył Smoczy Hełm, przypasał oręż i dołączył do wojowników elfów na północnym pograniczu, które strzec było trzeba przed Orkami oraz wszelkimi sługami i stworami Morgotha. Tak zatem, ledwie wyrósłszy z chłopięctwa, nabrał siły i odwagi, a pamiętając dobrze o wszelkich wadach swego plemienia, zawsze śmiało wrywał się do przodu w potrzebie, odnosząc wiele ran od strzał i krzywych szabel Orków, ale przeznaczenie chroniło go od śmierci. Powtarzano wtedy po lasach, a nawet daleko poza granicami Doriathu, że Smoczy Hełm z Dorlominu znów walczy. Wielu zdumiewało się, zapytując: „Czy to duch Hadora albo Galdora Wysokiego wrócił z krainy śmierci? A może Hurin uciekł z lochów Angbadu?”

Jeden był tylko wówczas w armii pogranicza wojownik biegłej władający orężem od Turina — Beleg Kuthalion. Oni to dwaj wspierali się zawsze, wyprawiając się razem na długie wędrówki po głuszy.

W ten sposób minęły trzy lata, podczas których Turin z rzadka zaglądał do pałacu Thingola, mało dbając o swój wygląd czy ubiór, chodził bowiem rozczochrany, w kolczudze okrytej poplamionym płaszczem. Zmieniło się to dopiero trzeciego lata, kiedy dwie dziesiątki wiosen liczący Turin przybył niespodziewanie do Menegrothu, jako że jego oręż wymagał pilnej interwencji płatnerza. Zjawił się wieczorem i wszedł do pałacu. Nie zastał Króla, który wraz z Melianą wybrał się do lasów, gdzie chętnie spędzał czas w środku lata. Zmęczony i zamyślony Turin spoczął bez zachęty przy stole, jednak pech zrządził, że zajął pomiędzy starszymi królestwa miejsce, na którym siadać zwykł Searos. Ten spóźnił się nieco, a przyszedłszy, wpadł w gniew, przekonany, że to duma pchnęła Turina do owego postępuku i że był to zamierzony afront. Złość Searosa nie zmaląła, gdy odkrył, że towarzystwo, miast ganić Turina, mile wita go przy stole.

Na razie jednak udawał jeszcze przychylność wobec przybranego syna Thingola, zasiadł tedy przy stole naprzeciwko niego.

— Rzadko kiedy wojownik z pogranicza zaszczyca nasze towarzystwo — powiedział. — Chętnie oddam mu moje ulubione miejsce w zamian za sposobność pogawędki. — Powiedział jeszcze niejedno, wpytując Turina o wieści znad granic i jego poczynania w głuszy, a chociaż zdawał się przemawiać uprzejmie, tylko głupiec nie rozpoznałby szyderstwa w głosie Searosa. W końcu Turin dość miał tej rozmowy, poczuł bowiem gorzki smak wygnańczego chleba. Rozejrzał się wkoło, ale pomimo ciepła i radości panujących w sali pałacu, myśl jego wracała nieustannie do Belega i wspólnej włóczęgi po lesie, a nawet do Morweny w domu ojca w Dorlominie. Zmarszczył czoło i ponuro zadumany nie odpowiedział Searosowi.

Ten zaś, biorąc do siebie te grymasy, przestał się maskować, ujął złoty grzebień leżący na blacie przed Turinem i powiedział:

— Nie wątpię, człowieku z Hithlumu, że w pośpiechu siadałeś do stołu i można wybaczyć ci ten zszargany płaszcz, ale czemu czupryna twa przypomina krzak jeżynowy? Może gdybyś odgarnął włosy z uszu, to lepiej słyszałbyś, co się do ciebie mówi.

Turin nic nie odpowiedział, spojrział tylko na Searosa z dziwnym błyskiem w oczach. Elf jednak nie pojął ostrzeżenia, wzrokiem przeszył Turina i odezwał się niemal do granic możliwości podnosząc głos:

— Jeśli mężczyźni z Hithlumu to tak dzicy i nieokrzescani ludzie, jakie zatem są ich kobiety? Czy jak łanie ganiają po turniach, okryte jeno własnymi włosami?

Wówczas Turin ujął puchar i cisnął nim w twarz Searosa, który upadł na wznak, poraniony. Młodzieniec dobył zaś miecza, gotów użyć go w tej potrzebie, ale myśliwy Mablung powstrzymał królewskiego syna. Searos podniósł się, spluwając krwią na stół.

— Jak długo jeszcze żywić będziemy tego leśnego wosa⁴³? Kto tu rządzi? Prawo doriackie surowo karze za zranienie wasala w pałacu, za wyciągnięcie zaś miecza należy się wygnanie. Wyjdźmy stąd, barbarzyńco, to poznasz mą odpowiedź!

Turin jednak ochłonął, ujrzawszy krew. Wyrwał się Mablungowi i bez słowa wybiegł z sali.

Wtedy myśliwy odezwał się do Searosa:

— Co cię dziś opętało? Wszystko to przez ciebie i możliwe, że królewski osąd uzna rozbite usta za właściwą karę za sztyderstwa.

— Jeśli ten młokos ma coś do mnie, niech odwoła się do Króla — odparł Searos. — Ale nic nie usprawiedliwia zdobycia miecza w pałacu. Jeśli ów dzikus zrobi to samo na zewnątrz, wówczas go zabiję.

— To nie jest takie pewne — stwierdził Mablung. — Ale śmierć któregokolwiek z was posłuży bardziej Angbadowi niż Doriathowi, w każdym wypadku złem będąc i zło przyciągając. Chyba jakiś cień z Północy zaległ dzisiaj nad nami. Uważaj, Searosie, synu Ithilbora, byś w dumnym zaślepieniu nie poddał się woli Morgotha, i pamiętaj, że jesteś Eldarem.

— Tego nie zapomnę — odrzekł Searos, wciąż jednak kipiąc gniewem. Złość jego wzrosła nawet przez noc, gdy opatrywał swoje rany.

Nad ranem Turin wyruszył z powrotem na północne pogranicze, a Searos zasadził się na swego osobistego wroga. Rzucił się na Turina od tyłu z wyciągniętym mieczem i tarczą na dłoni, młodzieniec jednak, zaprawiony leśnym życiem do nie-

⁴³ Wos - „dziki człowiek z lasu”, por. przypis 14 do rozdziału „Druidain” [w trzecim tomie Niedokończonych opowieści.

ustannej czujności, dostrzegł go kątem oka i odskakując, wyciągnął szybko broń i stawił czoło przeciwnikowi.

— Morweno! — zawołał. — Szyderca zapłaci za obelgi!

Rozszczepił tarczę Searosa na dwoje i miecze przeciwników starły się w walce. Turin miał za sobą twardą szkołę, a zwinny był jak elf i do tego silniejszy. Szybko wykazał własną wyższość i zraniwszy Searosa w dłoń wiodącą miecz, zdał wroga na swą łaskę. Przydepnął upuszczony miecz i powiedział:

— Długi bieg przed tobą, Searosie, i ubranie będzie ci zawadą. Włosy ci wystarczą.

Powalając nagle elfa na ziemię, odarł go z szat. Searos nie stawiał oporu, przestraszony wielką siłą Turina, który jednak puścił go nareszcie.

— Biegnij! — krzyknął. — Mknij szybko jak jelen, bo inaczej pogonię cię od tyłu szpikulcem.

I Searos czmychnął do lasu, po drodze wrzeszcząc o pomoc jak opętany; Turin ruszył za swą ofiarą, a jakkolwiek szybko elf by biegł, jakkolwiek by kluczył, wciąż czubek miecza bódł go w słabiznę.

Krzyki Searosa ściągnęły innych, którzy także przyłączyli się do gonitwy, ale tylko najlepsi z biegaczy zdołali dojść czoła wyścigu. Był między nimi Mablung, mocno zakłopotany i przeświadczony, że „zło, które budzi się o poranku, wodą jest na młyn Morgotha”. Nie bawiły go takie nieczne igraszki i za żałosne uważał wystawianie kogokolwiek z rodu elfów na pośmiewisko, głęboko przeciwny samowolnemu rozstrzygnięciu spraw, które winny zakończyć się przed sądem. Nikt onym czasem nie wiedział jeszcze, że to Searos napadł na Turina, zamierzając go zabić.

— Wstrzymaj się, wstrzymaj Turinie! — nawoływał. — Nie zachowuj się jak Orkowie!

— Godne Orka traktowanie za orkowe gadanie w pałacu! — odkrzyknął Turin i znów pogonił za Searosem, który widząc w rozpacz, że znikąd pomocy, a śmierć tuż-tuż, ruszył żwawo, aż dobiegł do skalistego urwiska nad szerokim na skok jelenia wąwozem. W dole płynął strumień, jeden z dopływów Esgalduiny. W wielkim strachu Searos dał susa, ale nie osiągnął drugiego brzegu i z krzykiem spadł na sterczący z wody wielki głaz. Tak skończyło się jego życie w Doriacie, a rozpoczął długi pobyt pod okiem Mandosa.

Turin popatrzył na leżące w strumieniu ciało i pomyślał: „Pechowy głupiec! Stąd pozwoliłbym mu już odejść spokojnie do Menegrothu. A teraz zostanie przez niego niewinnie oskarżony”. Spojrzał ponuro na Mablunga i jego towarzyszy, którzy zdołali nadbiec i stali teraz obok na skraju urwiska.

— Cóż, stało się — powiedział wreszcie po dłuższej chwili Mablung. — Ale ty wracaj z nami, Turinie, Król musi bowiem osądzić twe czyny.

— Gdyby Thingol był sprawiedliwy, uznałby mnie niewinnym — odparł młodzieniec. — Ale czy Searos nie należał do grona jego doradców? Czy mimo nikczemności nie uchodził za przyjaciela Króla? Odrzucam wasze prawo i królewski osąd.

— Niemądre to słowa — stwierdził Mablung, chociaż w głębi serca współczuł Turinowi. — Nie idź na włóczęgę, jak przyjaciel proszę cię, byś wrócił ze mną. Są przecież świadkowie. Gdy Król dowie się prawdy, będziesz mógł liczyć na jego wybaczenie.

Turin jednak dość już miał pałacu elfów, ponadto obawiał się uwięzienia.

— Odmawiam twej prośbie. Nie chcę szukać łaski u Króla. Wyruszam tam, gdzie jego wyrok mnie nie dosięgnie, a ty masz tylko dwie możliwości: albo pozwolisz mi odejść, albo mnie zabijesz, jeśli tak nakazuje ci twoje prawo. Za mało was, by wziąć mnie żywcem.

Poznawszy po wyrazie oczu, że prawdę mówi, przepuścili go, a Mablung stwierdził:

— Dość jednej śmierci.

— Nie pragnąłem jej, ale daleko mi do żałoby — powiedział Turin. — Mandos osądzi go sprawiedliwie, a jeśli wróci jeszcze kiedyś do krain żywych, niech mądrzej się sprawia. Żegnajcie!

— Odejdź wolno, skoro takie twoje życzenie! — zakrzyknął Mablung. — Ale nie wróżę tej wędrownicy nic dobrego. Cień zalega w twoim sercu, ale gdy znów się spotkamy, może mrok nie będzie tak gęsty.

Na to Turin już nie odpowiedział, tylko ruszył szybko przed siebie i nikt nie wiedział, dokąd.

Powiadają, że kiedy nie powrócił Turin na północne pogranicze Doriathu i żadne wieści o nim nie nadeszły, Beleg sam przybył do Menegrothu i z ciężkim sercem wysłuchał opowieści o czynach i ucieczce młodzieńca. Krótko potem zjawili się w pałacu Thingol z Melianą, jako że lato dobiegało końca, a gdy Królowi zrelacjonowano wszystko, ten zasiadł na tronie w wielkiej sali Menegrothu, a wokół niego zebrali się możni i doradcy.

Gdy przekazano już ostatnie przed rozstaniem słowa Turina, Thingol westchnął i powiedział:

— Niestety! Cień zdołał wemknąć się do mego królestwa. Miałem Searosa za mądrego i prawego. Gdyby żył, poczułby mój gniew na sobie, złe były bowiem jego szyderstwa i on ponosi winę za wydarzenia w sali pałacu. Dotąd wybaczam Turinowi. Ale zhańbienie Searosa i zagonienie go na śmierć nie przystają do uprzedniej obrazy. Są dowodem pychy i wyniosłości. — Thingol umilkł na dłuższą chwilę, po czym przemówił ze smutkiem: — Oto jest niewdzięczność syna przybrane-

go, oto człowiek, dumny ponad stan. Jak mogę przygarnąć kogoś, kto pogardził i mną, i moimi prawami, jak mam wybaczyć temu, kto nie czuje skruchy? Wypędzam więc z Doriathu Turina, syna Hurina. Jeśli spróbuje tu wrócić, zostanie doprowadzony przed królewskie oblicze na sąd, a dopóki nie padnie u mych stóp i nie poprosi o wybaczenie, nie uznam go ponownie swoim synem. Jeśli ktokolwiek z obecnych uważa ten wyrok za niesprawiedliwy, niech przemówi.

Cisza zapadła na sali, a Thingol unosił już dłoń, by zatwierdzić wyrok, gdy Beleg wbiegł na środek.

— Panie! — krzyknął. — Czy mogę zabrać głos?

— Spóźniłeś się — powiedział Thingol. — Czy nie zostałeś wezwany wraz z innymi?

— Tak, panie — odparł Beleg. — Szukałem jednak kogoś i przyprowadziłem świadka, który winien zostać wysłuchany, zanim decyzja stanie się nieodwracalna.

— Przemawiali już wszyscy, którzy chcieli — stwierdził Król. — Co jeszcze można dodać do tego, co usłyszeliśmy?

— Sam to osądzisz. Nie odmawiaj mi, jeśli zasłużyłem sobie czymkolwiek na tę łaskę.

— Dobrze — zgodził się Thingol. Wówczas Beleg wyszedł na chwilę i przyprowadził za rękę Nellas, która mieszkała w lasach i nigdy nie odwiedzała Menegrothu, lękała się bowiem wielkiej sali z kolumnami i kamiennego sklepienia, jak i licznych wpatrzonych w nią oczu. Gdy Thingol nakazał jej mówić, zaczęła:

— Panie, siedziałam na drzewie... — i tu się zająknęła, speszona widokiem Króla i nie mogła głosu dobyć z siebie.

— Inni też tak siadują — stwierdził Król z uśmiechem — ale nie odczuwają potrzeby, by opowiadać o tym monarchom.

— Owszem — odezwała się Nellas, zebrawszy się na odwagę. — Nawet Luthien! I o niej właśnie myślałam tego ranka, i o człowieku Berenie.

Tym razem Thingol nic nie powiedział i uśmiech zniknął z jego warg, gdy czekał na ciąg dalszy słów Nellas.

— Bo Turin przypomina mi Berena — dodała. — Słyszałam, że są podobni, a gdy ktoś przyjrzy się bliżej, to widać ich pokrewieństwo.

— Możliwe — powiedział Thingol, tracąc cierpliwość. — Ale Turin, syn Hurina, porzucił nas z pogardą i nie ujrysz go więcej, by oceniać podobieństwo do krewnych. Pora, bym ogłosił wyrok.

— Panie, Królu! — krzyknęła. — Miej dla mnie zrozumienie i wysłuchaj najpierw. Siedziałam na drzewie, by spojrzeć jeszcze na Turina, gdy będzie odchodził, a ujrzałam Searosa. Wybiegł z lasu z tarczą i mieczem, po czym bez ostrzeżeń

nia rzucił się na Turina.

Pomruk przeszedł po sali, a Król uniósł dłoń ze słowami:

— Przynosisz wiadomość bardziej doniosłą, niżby można było oczekiwać. Bacz teraz pilnie na swoje słowa, przed sądem bowiem przemawiasz.

— Tak też Beleg mi powiedział i tylko dlatego odważyłam się przybyć tutaj, by nie skrzywdzono Turina niesprawiedliwym wyrokiem. Mężny on jest, ale i miłośniwy. Walczyli obaj, panie, aż Turin wytrącił Searosowi tarczę i miecz, lecz nie zabił podstępного napastnika. Tak i nie wierzę, by potem pragnął jego śmierci. Jeśli Searos zhańbiony został, to słusznie sobie na tę hańbę zasłużył.

— Osąd zostaw mnie — rzekł Thingol. — Ale twoje słowa nie pozostaną bez wpływu na wyrok. — Potem wypytał Nellas dokładniej, na końcu zaś zwrócił się do Mablunga: — Dziwne mi się zdaje, że Turin nic wam o tym nie wspomniał.

— W rzeczy samej — odparł Mablung. — Ale gdyby to uczynił, innymi słowy bym go pożegnał.

— Inny też będzie mój wyrok. Słuchajcie! Tak winę jego rozpoznawszy, wybaczam Turinowi, uznając że został skrzywdzony i sprowokowany. A skoro to istotnie jeden z moich doradców źle go potraktował, nie będę oczekiwał od Turina przeprosin, ale wyślę po niego, gdziekolwiek jest, i wezwę do godnego powrotu do Menegrothu.

Po skończonej rozprawie Nellas załkała nagle:

— Ale gdzie go teraz szukać? Opuścił nasz kraj, a świat jest tak wielki.

— Nie ustaniemy w wysiłkach — powiedział Thingol i wstał, a Beleg wyprowadził Nellas z pałacu.

— Nie płacz — odezwał się do dziewczyny — bo jeśli tylko Turin żyje i wędruje gdzieś poza granicami, to odnajdę go, nawet jeśli starania innych okażą się bezskuteczne.

Następnego dnia Beleg stawił się przed Thingolem i Melianą, a Król spytał:

— Doradź mi, Belegu, ciężko mi bowiem na sercu. Uznałem Turina za syna i tak pozostanie, chyba że Hurin powróci z mroku cienia, by upomnieć się o swoje. Nie chcę, by powiadano, że niesprawiedliwie wypędziłem Turina na pustkowia. Umiłowałem go i chętnie ujrzałbym z powrotem.

— Będę szukał Turina tak długo, aż go znajdę — odparł Beleg. — I jeśli tylko zdołam, przywiędę do Menegrothu. I ja miłuję tego młodzieńca.

Potem odszedł. Przemierzył cały Beleriand, daremnie nasłuchując wieści o Turinie, aż minęła zima, a po niej i wiosna.

Turin pośród banitów

Opowieść wraca teraz do Turina, który sam uznał się za banitę i przekonany, że Król zarządzi za nim pościg, nie wrócił na północ, do Belega, ale ruszył na zachód i wymknął się nie zauważony ze Strzeżonego Królestwa, docierając do lesistego południa Teiglinu. Przed Nirnaeth było tam wiele z rzadka rozrzuconych gospodarstw ludzi w większości pochodzących z ludu Halethy, nie mieli oni jednak władcy i trudnili się głównie polowaniem i uprawą roli. Na bukowych polanach hodowali świnie, plony zbierali z przecinek, które odgradzały ich od głuszy. Wielu z nich wyginęło jednak lub uciekło do Brethilu, gdy Orkowie i wszelcy zbrodniarze zagrażać zaczęli okolicy. Po spustoszonych krainach błądziły wówczas liczne grupy ludzi bezdomnych i zdesperowanych, niedobitków pokonanych armii, gotowych czynić wszelkie zło. Polowali na wszystko, co nadawało się do jedzenia, a gdy zimą zaczął doskwierać im głód, stali się plagą gorszą od wilków. Ci, którzy zdołali obronić przed nimi swe domostwa, nazwali ich Gaurwaith, Ludzie-Wilki. Około pięćdziesięciu połączyło się w jedną bandę buszującą w lasach na zachodnich rubieżach Doriathu. Nie cierpiano ich niemal tak samo jak Orków, mieli bowiem zatwardziałe serca i żywili urazę do własnych współplemieńców. Najstraszniejszy był Androg, ścigany w Dorlominie za zabójstwo kobiety. Z tej krainy pochodził także sędziwy Algund (najstarszy w gromadzie, uciekinier z Nirnaeth) i Forweg, jak nazywał sam siebie, przywódca bandy, mężczyzna o jasnych włosach i rozbieganych, lśniących oczach, rosły i przystojny, ale jakże różny od Edainów, poddanych Hadora. Banda była czujna, wysyłała zwiadowców, wystawiała strażę, zarówno w marszu jak i podczas popasu. W ten sposób szybko zauważyli Turina, gdy zawędrował na ich terytorium. Śledzili go tak długo, aż otoczyli zwartym pierścieniem, a gdy wyszedł na polanę nad strumieniem, wyskoczyli zewsząd z naciągniętymi łukami i nagimi mieczami.

Turin przystanął, ale nie okazał po sobie strachu.

— Kim jesteście? — spytał. — Myślałem, że tylko Orkowie polują na ludzi, ale widzę, że się myliłem.

— I pożałujesz tej pomyłki — odpowiedział Forweg — bo to nasze tereny łowieckie i nie cierpimy tu obecności innych ludzi. Intruzów bierzemy żywcem i trzymamy tak długo, aż ktoś ich wykupi.

Wówczas roześmiał się Turin.

— Za mnie nic nie dostaniecie, banitą jestem i wyrzutkiem. Gdybyście zaś nabrali ochoty na przeszukanie mego trupa, to uprzedzam, że drogo będzie was kosztowało zwątpienie w prawdę mych słów.

Śmierć jednak zdawała się być bliska, wiele strzał bowiem czekało w cięciwach na znak przywódcy, a żaden z wrogów nie przysunął się dość, by Turin mógł sięgnąć go mieczem. Widząc jednak kilka kamieni leżących u swych stóp na brzegu strumienia, Turin schylił się gwałtownie. W tejże chwili jeden z rozsierzdzonych jego słowami napastników wystrzelił, ale strzała przeleciała ponad młodzieńcem, on zaś cisnął kamień celnie i z wielką siłą, aż łucznik padł z rozłupaną czaszką.

— Żywy mogę bardziej wam się przydać. Zastąpię tego pechowca — powiedział Turin, po czym zwrócił się do Forwega. — Dobry dowódca nie pozwala, by ktoś atakował bez jego rozkazu.

Wówczas dwóch mężczyzn podniosło głosy przeciwko Turinowi, a jeden z nich był przyjacielem zabitego. Nazywał się Ulrad.

— Dziwny sposób na wkupienie się do kompanii, zabijać jednego z najlepszych.

— Nie ja zacząłem — odparł Turin. — Ale dobrze, chodźcie tu obaj, pokonam was orężem lub gołymi rękami, a wtedy sami ocenicie, czy mogę zastąpić waszego świętego kamrata. — I postąpił ku nim, ale Ulrad cofnął się, nie chcąc walczyć. Drugi rzucił łuk i zmierzył Turina spojrzeniem, a był to właśnie Androg z Dorlo-minu.

— Nie mnie się z tobą równać — powiedział w końcu, kręcąc głową. — Nikt z nas ci chyba nie sprostą. Jeśli chodzi o mnie, to możesz dołączyć do kompanii, ale tkwi w tobie coś dziwnego. Niebezpieczny jesteś. Jak się nazywasz?

— Neithan, Skrzywdzony. — I tak też został przezwany przez banitów. Powiedział im, że został skrzywdzony (i aż nazbyt chętnie nastawiał ucha na opowieść każdego, kto podobnie przedstawiał historię swego nieszczęścia), lecz nawet słowem nie wspominał ani o swym poprzednim życiu, ani o pochodzeniu. Mimo to wszyscy widzieli, że przybysz wywodzi się z wysokiego rodu i że chociaż nic prócz oręża z własności mu nie zostało, to jednak były to ostrza wykute przez elfy. Wkrótce Turin zdobył ich uznanie, dzięki swej sile, odwadze i doskonałej umiejętności radzenia sobie w lasach. Zaufali mu, jako że nie był chciwy i niewiele brał dla siebie, ale też bali się go za sprawą nagłych napadów gniewu, których natury zwykle nie rozumieli. Do Doriathu nie mógł powrócić, czy też duma na powrót

nie pozwalała, do Nargothrondu zaś po śmierci Felagunda nikogo nie wpuszczano. Do pospólstwa Halethy czy Brethilu nijak Turina nie ciągnęło, do pełnego zaś nieprzyjaciół Dorlominu nie śmiał się wybrać, nie mając nadziei przejść w pojedynkę przełęczy Gór Cienia. Toteż przystał do banitów, jako że nawet takie towarzystwo łatwiejszym czyniło do zniesienia życie w głuszy, a ponieważ nie szukał ni śmierci, ni zwady z kompanami, z rzadka przeciwstawiał się czynionemu przez nich złu. Czasem tylko budziła się w nim litość i wtedy, wstydem ogarnięty, niebezpieczny był w swoim gniewie. Tak minął mu czas do końca roku i przebył głodną zimą, aż ożyła przyroda i przyszała piękna wiosna.

Powiada się, że w lasach na południe od Teiglinu naonczas wciąż stały ludzkie siedziby, a ich mieszkańcy, choć nieliczni, wytrwali byli i czujni. W żadnym razie nie kochali banitów, jednak współczuciem wiedzeni, w szczególności zły czas zimy wystawiali nieco żywności w miejscach, gdzie Guarwaithowie mogli łącznie na nią trafić. Mieli nadzieję, że w ten sposób odsuną od siebie groźbę ataku bandy. Po prawdzie wdzięczna była im za to tylko leśna zwierzyna oraz ptactwo, gdyż banitom niewiele się z tego dostawało. Jedynie psy i mocne ogrodzenia trzymały ich z dala od obejść otoczonych roslymi żywopłotami i pasem nagiej ziemi. Domów zaś broniły fosy i palisady, a wszystkie gospodarstwa były połączone ścieżkami, którymi w potrzebie nadbiec mogła wezwana graniem rogów pomoc.

Gdy jednak wiosna rozkwitła, niebezpieczne stało się dla Gaurwaithów dalsze przebywanie w pobliżu siedzib osadników, którzy w każdej chwili mogli skrzyknąć się w pewnej chwili przeciwko banitom. Turin dziwił się, czemu Forweg nie prowadzi bandy na południe, gdzie więcej jest jedzenia i zwierzyny, a mniej ludzi i zasadzek. Pewnego dnia nie mogąc znaleźć nigdzie Forwega ni Androga, spytał o nich kamratów, ale ci tylko się roześmiali.

— Pewnie załatwiają jakieś własne sprawy — powiedział Ulrad. — Wrócą niedługo, a wtedy ruszymy, i to w pośpiechu, by nam wszystkim rozdrażnione pszczoły na kark nie siadły.

Słońce stało wysoko na niebie i liście migotały młodą zielenią, gdy dość mając nędznego obozowiska banitów, Turin wyruszył w samotną wędrówkę po lesie. Mimo woli pamiętał wciąż Ukryte Królestwo i zdawało mu się, że słyszy nazwy kwiecia rozbrzmiewające echem starego, niemal całkowicie zapomnianego języka. Nagle dobiegł go krzyk i z gąszczu krzewów wypadła młoda kobieta w odzieniu potarganym przez kolczaste zarośla, bardzo przy tym wystraszona. Potknęła się i tracąc oddech, upadła na ziemię. Turin skoczył zaraz ku ścianie zieleni z wciągniętym mieczem, tnąc ścigającego ją mężczyznę. Dopiero w chwili zadawania ciosu poznał Forwega.

Gdy tak stał zdumiony, ze wzrokiem wbitym w zakrwawioną murawę, zjawił się

Androg i też przystanął, zaskoczony widokiem.

— Źle uczyniłeś, Neithanie! — zawołał i dobył miecza, jednak Turin odzyskał już zimną krew i rzekł tylko:

— No i gdzie są ci Orkowie? Czyżbyście aż tak ich wyprzedzili, pragnąc jej pomóc?

— Orkowie? — spytał Androg. — Ty głupcze! Zwiesz się banitą, a nie wiesz, że wyjęci spod prawa niczego nie uznają prócz własnych potrzeb. Zajmij się lepiej swoimi sprawami, Neithanie, i przestań się wtrącać w nasze.

— Tak też zrobię — odparł Turin. — Ale dzisiaj nasze ścieżki się przecięły. Albo zostawisz mi tę kobietę, albo dołączysz do Forwega.

Androg roześmiał się.

— Niech i tak będzie — powiedział. — Sam nie dam ci rady, ale nasi kamraci mogą mieć do ciebie pretensje za zabicie Forwega.

Wtedy kobieta wstała i położyła dłoń na ramieniu zbawcy. Spojrzała na rozlaną krew, potem przeniosła wzrok na Turina i w jej oczach pojawił zachwyt.

— Zabij go, panie! — poprosiła. — Jego też zabij! A potem chodź ze mną. Jeśli przyniesiesz ich głowy, wtedy Lamach, mój ojciec, nie spojrzy na cię krzywo. Dobrze zwykł nagradzać za dwa „wilcze trupy”.

Turin spytał jednak Androga:

— Jak daleko jest do jej domu?

— Mila — odparł ten. — Stoi pośrodku ogrodzonego gospodarstwa. A ona wypuściła się samopas.

— Wracaj teraz — rzekł Turin do kobiety — i powiedz ojcu, by lepiej cię pilnował. Ale nie pozbawię życia mych kamratów ani po to, by wkupić się w jego łaski, ani dla żadnego innego powodu. — I schował miecz. — Chodź — zwrócił się do Androga. — Wracamy. Jeśli chcesz pogrzebać przywódcę, sam musisz to zrobić. Pospiesz się jeno, bo niedługo może ruszyć obława. A nie zapomnij wziąć jego broni.

Po czym Turin odszedł, a Androg długo patrzył za nim, marszcząc czoło, jakby próbował rozwiązać nader skomplikowaną zagadkę.

Wróciwszy do obozowiska, Turin zastał banitów niespokojnych i zniecierpliwionych. Zbyt długo pozostawali w jednym miejscu, w pobliżu dobrze strzeżonych siedzib i z wolna ludzie zaczęli już szemrać przeciwko Forwegowi.

— On się bawi — powiadali — nasze głowy narażając na szwank. Jeszcze zapłacimy za jego przyjemności.

— No to wybierzcie nowego herszta! — krzyknął Turin, stając przed nimi. — Forweg już was nie poprowadzi, bo nie żyje.

— A ty skąd o tym wiesz? — spytał Ulrad. — Czyżbyś wybierał miód z tej sa-

mej barci? Pszczoły go zażądliły?

— Nie. Jedno żądło starczyło. Ja go zabiłem. Oszczędziłem jednak Androga, który wróci niebawem. — Następnie przedstawił bieg zdarzeń, strofując tych, którzy podobne wyprawy dla harców zwykli przedsiębrać. Gdy mówił, nadszedł Androg z bronią Forwega w dłoniach.

— Zobacz, Neithanie! — krzyknął. — Nie podnieśli alarmu. Może dziewczka ma nadzieję, że znów cię spotka.

— Jeśli to miał być żart — odparł Turin — to już zaczynam żałować, że jej odmówiłem głowy waszeci. Teraz gadaj, co właściwie się zdarzyło, tylko krótko.

Wtedy Androg wyznał szczerze, jak się rzeczy miały.

— Zastanawiam się, co właściwie porabiał tam Neithan. Na pewno nie polował na to samo, co my, bo gdy nadszedłem, Folweg już nie żył. Uradowana takim widokiem kobieta prosiła, by poszedł z nią i wziął nagrodę za nasze głowy. Ale on odmówił i przegnał dziewczkę, tak i nie mam pojęcia, co miał do Folwega. Wdzięczny mu jestem, że nie skrócił mnie o głowę, chociaż wciąż nie rozumiem, jak to się stało, że jeszcze żyję.

— Śmiem wątpić zatem, byś rzeczywiście pochodził z ludu Hadora — powiedział Turin. — Winienesz należeć raczej do Uldora Przeklętego i poszukać służby w Angbadzie. Ale słuchajcie mnie teraz! — krzyknął do całej bandy. — Daję wam wybór. Albo uznacie mnie za herszta, albo was porzucę. Jeśli nie obejmę nad wami władzy, odejdę. Gdybyście jednak postanowili mnie zabić, to proszę! Będę walczył, aż śmierć nie zabierze mnie albo was.

Wielu chwyciło za broń, ale Androg krzyknął:

— Nie! Głowa, którą on oszczędził, nie jest tak całkiem wyprana z konceptu. Jeśli zaczniemy walczyć, niejeden zginie bez potrzeby, nim zgładzimy najlepszego spośród nas. — Potem roześmiał się. — Znów jest tak jak wtedy, gdy do nas dołączył. Zabija, by zrobić miejsce. Jeśli raz się udało, dlaczego nie miałoby się udać znowu. Może z nim czeka nas coś więcej, niż tylko uganianie się za cudzymi dziewczkami po lesie. — Na to odezwał się stary Algund:

— To najświetniejszy mąż spośród nas. Był czas, gdy i my potrafilismy dokonać takich rzeczy w przypływie odwagi. Ale wiele już zapomnieliśmy. Może nareszcie zawiedzie nas do domu.

Wtedy przyszła Turinowi do głowy myśl, że to jest sposób, by powiększyć tę bandę i zmienić ją w drużynę wolnego władcy. Na razie spojrział jednak tylko na Algunda i Androga, po czym powiedział:

— Do domu, mówisz? Wysoko wznoszą się zimne Góry Cienia, licznie roją się za nimi ludzie Uldora, wkoło zaś pełno legionów Angbadu. Jeśli te niebezpieczeństwa nie zrażają was, siedem razy siedmiu mężów, to i owszem, mogę poprowa-

dzić kompanię ku rodzinnym stronom. Ile jednak przejść zdołamy, nim śmierć nas dopadnie?

Zapadła cisza, a wówczas Turin znów się odezwał:

— Czy uznajecie we mnie przywódcę? Jeśli tak, to najpierw powiodę was w głuszę, daleko od ludzkich siedzib. Tam może lepiej będzie nam się wiodło, może gorzej, ale przynajmniej nie wzbudzimy tyle nienawiści.

Wtedy zebrali się przy nim wszyscy pochodzący z ludu Hadora i okrzyknęli go swoim hersztem, reszta zaś przystała na to, chociaż niezbyt chętnie. A on, nie czekając ni chwili, wyprowadził ich z tej krainy⁴⁴.

Thingol wysłał wielu umyślnych, by szukali Turina w Doriacie i przyległych krajach, ale przez rok wypatrywali go na próżno, nikomu bowiem nie powstało w głowie, że przyłączył się on do wrogich ludziom banitów. Gdy znów przyszła zima, posłańcy wrócili, jeden tylko Beleg został samotnie na szlaku.

Tymczasem w Dimbarze i na północnym pograniczu Doriathu sprawy przybrały zły obrót. Smoczy Hełm nie pojawiał się już w walce, zabrakło też Mistrza Łuku, tak i słudzy Morgotha zhardzieli, napływając w coraz większej liczbie. Zima przyszła i minęła, a z wiosną potyczki rozgorzały na nowo. Dimbar padł i lęk zakradł się do serca ludzi z Brethilu, zło bowiem wkraczało zewsząd w ich granice, jedno południe zostawiając spokojnym.

Minął już niemal rok od ucieczki Turina, a Beleg wciąż go szukał, chociaż nadzieja gasła w nim z wolna. Wędrując ku północy, dotarł aż do przeprawy na Teiglinie, ale zawrócił stamtąd, dowiedziawszy się o nowym wypadzie Orków z Taur-nu-Fuin. Przypadkiem trafił na domostwa leśnych osadników niedługo po tym, jak Turin opuścił te okolice. Tam usłyszał osobliwe opowieści o wysokim i władczym człowieku lub też wojowniku elfów, który pojawił się w lasach i ściał głowę jednemu z Gaurwaithów, ratując w ten sposób ściganą przez tych zbójów córkę Larnacha.

— Był bardzo dumnej postawy — powiedziała dziewczyna Belegowi. — Miał jasne oczy, ale ledwie na mnie spojrział. Wilków nazywał swoimi kompanami i nie

⁴⁴ W alternatywnej wersji tego fragmentu opowieści Turin wyjawiał wówczas banitom swe prawdziwe imię i stwierdził, że będąc pełnoprawnym władcą i sędzią ludu Hadora sprawiedliwie śmierć wymierzył Forwegowi, który pochodził wszak z Dorlominu. Na to Algund, stary banita ocalały z Nirnaeth Arnoediad i zbiegły z nurtem Sirionu, powiedział, że od dłuższego już czasu Turin z kimś mu się kojarzył, kimś o nader podobnym spojrzeniu, i chociaż przypomnieć sobie nie mógł, kto zacytował ów był, to teraz wie już, że znał go kiedyś jako syna Hurina.

„ - On jednak był niższy, niewyrośli w porównaniu ze swymi przodkami, chociaż ognistą miał naturę i złotorude włosy. Twoje włosy są ciemne i jesteś wysoki. Teraz, gdy bliżej ci się przyglądam, widzę, ile odziedzyczyłeś po matce, pochodziła z rodu Beora. Ciekaw jestem, jaki los ją spotkał.

- Nie wiem - powiedział Turin. - Żadne wieści nie doszły mnie z Północy”.

W tej wersji ujawnienie faktu, że Neithan to właśnie Turin, syn Hurina, zdecydowało o uznaniu go przez pochodzących z Dorlominu banitów za herszta bandy.

chciał zabić tego drugiego, który znał jego imię, brzmiące Neithan.

— Rozumiesz cokolwiek z tego? — spytał Lamach elfa.

— I owszem — odparł Beleg. — Mężczyzna, o którym mówicie, jest tym właśnie, którego szukam. — Ale nie dodał nic więcej, a tylko ostrzegł osadników przed złem zbierającym się na Północy. — Niedługo już nadciągną tu Orkowie, a będzie ich zbyt wielu, byście mogli się obronić. Jeszcze w tym roku musicie wybrać między wolnością leśnych ludzi a ocaleniem życia. Póki czas, ruszajcie do Brethilu!

Potem odszedł w pośpiechu, poszukując legowisk banitów i jakichkolwiek znaków mogących naprowadzić go na ich ślad. Znalazł je rychło, ale Turin był już wówczas od kilku dni w drodze i szybko maszerował, a obawiając się pościgu osadników, jak mógł najlepiej zacierał tropy i mylił ślady. Rzadko banda nocowała dwukrotnie w tym samym obozowisku i mało co wskazywało na szlak jej wędrowki, tak że nawet Beleg czuł się bezradny. Odczytując nieliczne znaki i nasłuchując plotek dzikich zwierząt, których głosy rozumiał, często bliski był celu, ale zastawał zawsze tylko puste legowiska, horda bowiem trzymała straż dniem i nocą i wystarczał jeden sygnał, że ktoś się zbliża, a ruszała żwawo dalej.

— Niestety! — zakrzyknął. — Nazbyt dobrze wyuczyłem to dziecię człowiecze sztuki życia w lesie i pośród pól! Można by pomyśleć, że to kompania elfów wędruje.

Banici jednak rychło zorientowali się, że ktoś podąża niezmordowanie ich tropem i mocno zaniepokoiili faktem, że tropiciela nie można ni dostrzec, ni zgubić⁴⁵.

Nie trwało długo, a urzeczywistniły się obawy Belega i Orkowie nawiedzili Brithiach, a napotkawszy opór wszystkich sił, jakie zebrać zdołał Handir z Brethilu, przez Przeprawę na Teiglinie skierowali się po łupy na południe. Wielu osadników zdążyło wysłać swe kobiety oraz dzieci do Brethilu i one umknęły, wraz z eskortą, na czas docierając do brodów. Jednak zbrojni, którzy szli za nimi, natknęli się już na Orków i marny był ich los. Tylko garstka wywalczyła sobie przejście, docierając do Brethilu, wielu zginęło lub popadło w niewolę. Potem Orkowie zajęli się

⁴⁵ Ostatnie spisane wersje tej części historii zgodnie stwierdzają, że zostawszy przywódcą banitów, Turin poprowadził ich byle dalej od domów osadników, aż do puszczy na południe od Teiglinu, i że Beleg zawędrował w tamte strony wkrótce po odejściu bandy. Jednak wskazówki geograficzne są tutaj niejasne, a informacje dotyczące kierunków marszruty banitów - sprzeczne. Jeśli wziąć pod uwagę dalszy ciąg narracji, pozostaje przyjąć założenie, iż banici nie opuszczali Doliny Sirionu i w czasie najazdu Orków na siedziby Ludzi Lasu rzeczywiście przebywali w pobliżu swych poprzednich kryjówek. W jednym z wczesnych szkiców banici poszli na południe, aż dotarli do krainy „powyżej Aelinuial i Moczarów Sirionu”, jednak ponieważ był to „teren bez żadnego schronienia”, Turin dał się przekonać swym podwładnym do powrotu na lesiste ziemie na południe od Teiglinu, gdzie to po raz pierwszy ich spotkał. Takie wyjaśnienie spójnie uzupełnia tok narracji.

ich domostwami, grabiąc je i pałac, aby następnie czym prędzej zwrócić się ku zachodowi w poszukiwaniu Traktu. Objuczeni zdobyczą, ciągnąc za sobą rzesze niewolników, chcieli bez zwłoki wrócić na Północ.

Banda szybko wyczuła ich przemarsz i chociaż więźniowie mało banitów obchodzili, to jednak łupy uniesione ze splądrowanych osad rozpały chciwość wygnańców. Turin uważał, że lepiej nie pokazywać się Orkom na oczy, przynajmniej jak długo nie będzie wiadomo, ile głów liczy ich oddział, ale podwładni nie chcieli go nawet słuchać. Zbyt wielu rzeczy niedostawało im w głuszy i niektórzy zaczęli już nawet żałować wyboru herszta. Tak zatem, jednego Orlega biorąc do towarzystwa, Turin poszedł na przeszpiegi, przekazując dowództwo Androgowi i nakazując bandzie czekać gdzieś niedaleko w ukryciu.

Orkowie wielokrotnie przewyższali banitów liczbą, znajdowali się jednak na terenie, gdzie rzadko dotąd gościli i wiedzieli dobrze, że niedaleko rozciąga się Talath Dirnen, Strzeżona Równina pełna zwiadowców i szpiegów Nargothrundu. Obawiając się napotkania wroga, zachowywali sporą ostrożność. Czujki przekradały się przez lasy po obu stronach kolumny. W ten sposób trzech zwiadowców weszło na leżących w ukryciu Turina i Orlega, a chociaż dwóch zginęło od razu, trzeci uciekł, krzycząc: Golug! Golug!, jak nazywali wówczas Orkowie Noldorów. W jednej chwili puszcza zarośla się od zbrojnych, przemykających cicho po całej okolicy. Widząc, jak mała jest szansa ucieczki, Turin postanowił ujawnić się wreszcie i odciągnąć Orków od kryjówki bandy. Domyślając się po okrzyku „Golug!”, że napastnicy lękają się przede wszystkim zwiadowców Nargothrundu, umknął wraz z Orlegiem ku zachodowi. Zaraz też ruszył pościg. Długie kluczenie między drzewami wywiodło ich w końcu z lasu na Trakt, gdzie zostali dostrzeżeni, a Orleg padł przeszyty wieloma strzałami. Turina ocaliła kolczuga elfów, uciekł zatem samotnie w głuszę po drugiej stronie, dzięki szybkim nogom i sztuce zacierania śladów uchodząc wreszcie prześladowcom. W ten sposób znalazł się w głębi nie znanej mu krainy. Wówczas Orkowie, obawiając się ataku elfów z Nargothrundu, zabili więźniów i szybko oddalili się na północ.

Minęły trzy dni, a Turin wraz z Orlegiem nie wracali i niektórzy spośród banitów zaczęli poszeptywać, że może by wyjść wreszcie z tej jaskini, w której się skryli, ale Androg nie wyrażał zgody. Gdy się tak kłócili, nagle stanęła przed nimi szara postać. To Beleg odnalazł ich wreszcie. Podeszedł bez broni i pokazał puste dłonie, oni jednak zerwali się przerażeni, a Androg zaszedł przybysza od tyłu i zarzucił nań pętlę, krępując elfowi ręce.

— Jeśli goście wam Niemili, to strażę się wystawia — powiedział Beleg. — Czemu mnie tak witacie? Przybywam w przyjaźni i szukam mego przyjaciela. Słyszałem, że zwiecie go Neithan.

— Nie ma go tu — odparł Ulrad. — Ale chyba długo nas szpiegowałeś, skoro znasz jego imię?

— Od dawna szedł za nami — powiedział Androg. — To on był naszym cieniem. Teraz dowiemy się, po co naprawdę to czynił. — I kazał przywiązać Belega do drzewa obok jaskini. Spętawszy mu ciasno ręce i nogi, wzięli go na spytki. Beleg wszakże jedną miał tylko odpowiedź na wszystkie pytania:

— Przyjacielem Neithana jestem od chwili, gdy po raz pierwszy spotkałem go w lasach. Był wówczas ledwie dzieckiem. Z miłości go szukam i dobre przynoszę mu wieści.

— Zabijmy go i pozbadźmy się szpiega — powiedział rozłoszczony Androg, zezując pożądliwie na wielki łuk elfa. Jednak kilku bardziej litościwych wstawiło się za Belegiem, a Algund stwierdził:

— Dowódca może wrócić lada chwila, a wówczas pożałujesz gorzko, żeś za jednym zamachem pozbawił go i przyjaciela, i dobrych nowin.

— Nie wierzę w gadkę tego elfa — rzekł Andróg. — Jest szpiegiem Króla Doriathu. Ale jeśli naprawdę ma jakieś wieści, to niech nam je przekaże, a my osądzimy, czy dość tego, by zostawić go przy życiu.

— Poczekam na waszego przywódcę — odparł Beleg.

— No to postoisz tutaj, aż się namyślisz — powiedział Andróg.

Za jego namową zostawili Belega przywiązanego do drzewa bez jedzenia czy wody, a sami rozsiedli się w pobliżu z ucztą. Więzień jednak nie odezwał się do nich ani słowem. W ten sposób minęły dwa dni i dwie noce. Coraz bardziej zalękniona i wściekła banda przebąkiwać zaczęła o pilnym wymarszu. Gotowi byli już zabić elfa. Gdy noc zapadła, zebrali się wkoło drzewa, a Ulrad przyniósł płonąca głownię z niewielkiego ogniska rozpalonego u wylotu jaskini. W tejże chwili powrócił Turin. Podkradł się cicho, jak to miał we zwyczaju, i przystanął w mroku poza ludzkim kręgiem. Stamtąd dojrzał i rozpoznał w świetle pochodni wymizerowaną twarz Belega.

Jak piorunem rażony skoczył do drzewa. Natychmiast stopniały lody jego serca i łzy napłynęły do oczu.

— Belegu! Belegu! — krzyknął. — Skąd się tu wzięłeś? I czemu tak stoisz? — Niezwłocznie przeciął więzy i Beleg padł mu w ramiona.

Wysłuchawszy całej opowieści swoich ludzi, Turin wpadł w złość, jednak póki co Beleg był najważniejszy. Pielęgnując go najlepiej, jak tylko potrafił, rozmyślał Turin o swoim dotychczasowym życiu w lasach, samemu sobie czyniąc wyrzuty. Często bowiem zdarzało się, że banici zabijali obcych, którzy zbliżyli się nieopatrznie do obozowiska, nieraz napadali też na wędrowców, a on nijak ich przed tym nie powstrzymywał, złe rzeczy opowiadając o Królu Thingolu i Szarych Elfach.

Tak zatem, gdyby kamraci uznani zostali za bandę wroga, jego byłaby w tym wina. Pełen zgorzknienia zwrócił się do podwładnych:

— Okrutni byliście bez widomej potrzeby. Dotąd nigdy nie torturowaliśmy więźniów. Nazbyt upodobniliśmy się w tej głuszy do Orków. Bezprawiu się oddaliśmy, bez pożytku upływa nam życie, gdy tak myślimy tylko o sobie i coraz większą nienawiść hodujemy w sercach.

— A komu niby mamy służyć? — spytał Androg. — Kogo ukochać, skoro wszyscy nas nienawidzą?

— Czyń, jak chcesz, ale ja nie podniosę już ręki na elfa ni człowieka — odrzekł Turin. — Angbad ma dość wiernych. A jeśli inni odmówią tej przysięgi, sam pójdę dalej.

Wówczas Beleg otworzył oczy i uniósł głowę.

— Nie sam! — powiedział. — Wreszcie mogę ci przekazać, z czym przybywam. Nie zostałeś wyjęty spod prawa i imię Neithan niezbyt do ciebie pasuje. Odpuszczono tobie winę. Od roku już cię szukają, by wezwać do godnego powrotu na królewską służbę. Brakuje nam Smoczego Hełmu.

Turin jednak nie okazał radości, tylko usiadł i zamilkł na dłuższą chwilę, słowa Belega bowiem starym cieniem zaległy mu na duszy.

— Poczekajmy z decyzją do rana — powiedział w końcu. — A jakkolwiek postanowię, jutro i tak musimy stąd odejść. Ci, którzy nasz szukają, nie życzą nam dobrze.

— Tak jak wszyscy na tym świecie — mruknął Androg i spojrzał ze złością na Belega.

O świecie Beleg, który wydobrzył już całkowicie, uleczony pradawną metodą elfów, porozmawiał z Turinem na osobności.

— Oczekiwałem, że bardziej się ucieszysz tymi nowinami — powiedział. — Bez wątplenia wrócisz teraz do Doriathu? — I zaczął na wszelkie sposoby błagać Turina, by to uczynił, ale im bardziej nalegał, tym większy był opór Turina. Wypytał niemniej Belega dokładnie o wszystko, a w końcu rzekł:

— A zatem Mablung dowiódł, że jest moim przyjacielem, jak utrzymywał?

— Powiedziałbym raczej, że bardziej on ceni prawdę, co w końcu i tak na dobre wyszło. Ale czemu, Turinie, nie powiedziałaś mu o napaści Searosa? Wówczas od samego początku sprawy wzięłyby inny obrót, ty zaś — tu spojrzał na ludzi rozłożonych u wylotu jaskini — nosiłbyś wciąż twój hełm i nie upadłbyś tak nisko.

— Może — odparł Turin. — Ale tak już wyszło. Słowa uwięzły mi wówczas w gardle. W oczach Mablunga dojrzałem oskarżenie o czyn, którego nie popełniłem. Obwinił mnie, nie spytawszy pierwej. Król elfów powiedział, że dumne jest serce człowieka. Bo i rzeczywiście, Belegu Kuthalionie. Do dziś nie pozwala mi po-

wrócić do Menegrothu, gdzie musiałbym znosić współczujące spojrzenia, przyjmować przeprosiny niczym skarcony pochopnie dzieciak. To do mnie należy dzieło wybaczenia, nie odwrotnie. Nie jestem już chłopcem, lecz mężczyzną wedle miary mego plemienia. Los natomiast zrządził, żem twardy i zaprawiony w trudach.

— A zatem co uczynisz? — zapytał zmieszany Beleg.

— Odejdę wolny — odparł Turin. — Tego właśnie życzył mi Mablung przy rozstaniu. Łaska Thingola nie rozciągnie się chyba na towarzyszy mego upadku. Nie przyjmie ich, a ja nie odstąpię gromady, o ile sam nie zostanę porzucony. Pokochałem ich na swój sposób, nawet tych najgorszych. Należą do mego plemienia i w każdym tkwi załążek dobra, może pewnego dnia się rozwinie. Chyba gotowi są stanąć za mną.

— Widzisz swych kamratów w innym świetle niż ja — powiedział Beleg. — Jeśli spróbujesz sprowadzić ich ze złej drogi, zawiodą cię. Nie dowierzam im, a jednemu to już szczególnie.

— Jak elf oceniać może ludzi?

— Tak jak wszystko ocenia i nieważne, kto rzecz uczynił — odparł Beleg, umilkł jednak, nie chcąc wspominać, o okrutnym potraktowaniu go przez Androga. Nie napomknął też, ile zła wyczuł w swoim prześladowcy. Pojmował nastrój Turina i wiedział, że dawny druh z niedowierzaniem przyjąłby jego słowa, a tym samym elf naraziłby przyjaźń na szwank, co z kolei skłoniłoby młodzieńca do podążenia mrocznymi ścieżkami.

— Mówisz zatem, że odejdiesz wolny, Turinie, przyjacielu. A co właściwie zamierzasz?

— Poprowadzę tych ludzi na wojnę wedle własnego pomysłu — odpowiedział Turin. — Przynajmniej serce moje się odmieniło. Wzdragam się uderzyć nawet na Nieprzyjaciela ludzi i elfów. A ponad wszystko pragnąłbym być z tobą. Proszę, zostań!

— Gdybym wytrwał u twego boku, to z miłości jeno, nie z rozsądku. Serce podpowiada mi wszakże, że winienem wrócić do Doriathu.

— Niemniej ja tam nie pójdę.

Raz jeszcze próbując przekonać Turina, Beleg powiedział o nowych najazdach Orków docierających z Taur-nu-Fuin przez przełęcz Anach aż do Dimbaru i że bardzo brakuje na północnym pograniczu siły i męstwa Smoczego Hełmu. Zrozumiawszy jednak, że mówi na próżno, stwierdził ostatecznie:

— Twardym człowiekiem nazwałś się, Turinie, i rzeczywiście, twardy jesteś i uparty. Teraz moja kolej. Jeśli naprawdę pragniesz ujrzeć Mistrza Łuku przy sobie, szukaj mnie w Dimbarze, tam bowiem powrócę.

Turin pogrążył się w milczeniu, rozpamiętując minione lata i zmagając się z powstrzymującą go od zmiany losu dumą. Nagle jednak ocknął się z zamyślenia i spytał Belega:

— Ta elfia dziewczyna, o której wspomniałeś. Wiele zawdzięczam jej świadectwu, ale zapomniałem, jak miała na imię. Czemu właściwie mnie śledziła?

Beleg spojrział na niego ze zdziwieniem.

— Czemu właściwie? Turinie, czyżbyś zawsze sercem i połową pamięci bujał gdzieś daleko? Jako chłopiec wędrowałeś z Nellas po lasach Doriathu.

— To było dawno temu. Tak odległe wydaje mi się teraz dzieciństwo, jakaś mgła je skrywa. Dobrze pamiętam tylko dom ojca w Dorlominie. Czemu miałbym wędrować z dziewczyną elfów?

— Chyba uczyła cię wówczas. Tak czy inaczej, synu człowieczy! Są jeszcze w Śródziemna inne smutki niż twój, są rany bolesne, choć nie orężem zadane. W rzeczy samej, zaczynam sądzić, że elfy i ludzie nigdy nie powinni się spotkać ni bratać.

Turin nie odpowiedział, spojrział tylko przeciągle w twarz Belegowi, jakby chciał odczytać z oblicza przyjaciela znaczenie tych słów. Jednak Nellas z Doriathu nigdy więcej nie spotkała Turina i jego cień opuścił ją ostatecznie⁴⁶.

⁴⁶ W Silmarillionie opowieść przedstawia dalej pożegnanie Belega z Turinem (str. 245-246), wspomina o dziwnym przecuciu Turina, że los zaprowadzi go do Amon Rudh, o powrocie Belega do Menegrothu (gdzie otrzymał od Thingola miecz Anglechel i lembasy od Meliany), jak i o jego ponownej wojaczce z Orkami w Dimbarze. Brak jest jakichkolwiek uzupełnień odnoszących się do tego ustępu, toteż postanowiłem ominąć go w tym wydaniu.

Krasnolud Mim

Po odejściu Belega (a było to drugiego lata od ucieczki Turina z Doriathu)⁴⁷, marnie zaczęło wieść się Ludziom-Wilkom. Deszcze rozpadały się jak nigdy o tej porze roku, a Orkowie nadciągnęli z północy w liczbie większej niżli dotąd i rozpełzli się wzdłuż starego Południowego Traktu, przekraczając Teiglin i niepokojem napełniając lasy na zachodnich rubieżach Doriathu. Coraz trudniej było o chwilę wytchnienia czy bezpieczne schronienie i banici częściej sami stawali się zwierzyną niż myśliwymi.

Gdy kryli się tak pewnej nocy, nie mając odwagi rozpalić ognia, Turin spojrział wstecz, na swoje życie i doszedł do wniosku, że mógłby jednak łatwo poprawić swój los. „Muszę znaleźć jakiś bezpieczny zakątek” — pomyślał. — „Zrobić zapasy przed zimą, zabezpieczyć się przed chłodem”. Następnego dnia poprowadził swych ludzi dalej od Teiglinu i pogranicza Doriathu, niż zdarzyło im się dotąd zapuszczać. Po trzech dniach wędrówki przystanęli u zachodniego skraju lasów w Dolinie Sirionu. Teren był tu bardziej suchy i roślinność uboższa, a grunt zaczynał wznosić się ku wrzosowiskom.

O zmierzchu szarego, deszczowego dnia banici poszukali schronienia w niskich, gęstych krzewach, za którymi rozciągała się bezdrzewna przestrzeń naznaczona licznymi skupiskami głazów. Wokół panowały cisza i bezruch, tylko krople wody skapywały z liści. Nagle wartownik dał sygnał, a zerwawszy się na nogi, banici ujrzeli trzy zakapturzone postaci w szarych szatach, idące miarowym krokiem pomiędzy głazami. Każdy z osobników dźwigał na plecach wypchany worek, ale i tak poruszali się dość szybko.

Turin zawołał, by się zatrzymali, a jego ludzie pogonili za obcymi niczym sfoła, ci jednak maszerowali dalej i chociaż Androg wystrzelił w ślad za nimi kilka strzał, dwaj zniknęli w mroku, tylko jeden, który jako wolniejszy lub bardziej obciążony

⁴⁷ Turin uciekł z Doriathu latem. Jesień i zimę spędził między banitami, wiosną następnego roku zabił Forwega i przejął przywództwo bandy. Opisane wydarzenia miały miejsce latem tego samego roku.

pozostał z tyłu, dał się pojmać i obalić na ziemię. Przytrzymywany przez wiele rąk, wciąż się wrywał, kłusząc niczym zwierzę. W końcu jednak nadszedł Turin i pohamował zapędy banitów.

— Co tu macie? — spytał. — Czy trzeba być aż tak gwałtownym? Stare to i nie-duże. Jaką niby krzywdę może zrobić?

— Gryzie — powiedział Androg, pokazując krwawiącą dłoń. — To Ork lub ktoś podobny. Zabić go!

— Na nic lepszego nie zasłużył, skoro na darmo go ścigaliśmy — powiedział inny, zaglądając do worka. — Same korzenie i kamyki.

— Nic z tego — stwierdził Turin. — Ma brodę. To chyba krasnolud. Dajcie mu wstać i przemówić.

I tak oto Mim pojawił się w Opowieści o dzieciach Hurina. Pozbierawszy się, przyklęknął przed Turinem i zaczął błagać o darowanie życia.

— Stary jestem — rzekł — i biedny. Jak słusznie zauważyłeś, jam tylko krasnolud, nie Ork. Nazywam się Mim. Nie pozwól im zabić mnie bez powodu, panie, tylko Orkowie tak czynią.

Turin pożałował go w głębi serca, ale powiedział:

— Wydajesz się biedny, Mimie, chociaż dziwne to u krasnoludów, niemniej my chyba jeszcze ubożsi jesteśmy, bo nie mamy ni domu, ni przyjaciół. Jeśli postanowię darować ci życie, chociaż nic nas ku temu nie skłania, co ofiarujesz w zamian?

— Nie wiem, czego pragniesz, panie — odparł ostrożnie Mim.

— W tej chwili zaiste niewiele! — zawołał Turin, ogarnawszy spojrzeniem deszczowy krajobraz. — Bezpiecznego miejsca do spania, gdzie woda nie kapie za kołnierz. Chyba masz coś takiego?

— Owszem, ale nie mogę wam go oddać, bo za stary jestem, by sypiać pod gołym niebem.

— Mogę oszczędzić ci trudów starczego wieku — powiedział Androg, podchodząc z nożem w zdrowej dłoni. — Dość już przeżyłeś.

— Panie! — krzyknął Mim w wielkim strachu. — Jeśli stracę życie, pozostaniecie bez noclegu; nikt nie znajdzie go bez Mima. Jak rzekłem, nie mogę wam go oddać, ale się nim podzielę. Obecnie jest tam więcej miejsca niż kiedyś, tak wielu odeszło na zawsze — załkał.

— Darujemy ci życie — postanowił Turin.

— Przynajmniej póki nie doprowadzisz nas do swego domu — dodał Androg, Turin jednak odwrócił się do niego i powiedział:

— Jeśli Mim nie oszuka nas i pokaże, gdzie mieszka, i będzie to dobre schronienie, wówczas okupi swe życie i nie zostanie zabity przez żadnego z moich lu-

dzi. Przysięgam.

Wtedy Mim objąwszy Turina nogi, odezwał się tymi słowy:

— Mim będzie twym przyjacielem, panie. W pierwszej chwili, głos usłyszawszy i mowę, sądziłem że jesteś elfem, jednak okazałeś się człowiekiem, co i lepiej. Mim nie lubi elfów.

— Gdzie jest ten twój dom? — spytał Androg. — Musi być naprawdę wygodny, żeby Androg zmieścił się tam z krasnoludem. Bo Androg nie przepada z kolei za krasnoludami. Moi współplemieńcy niewiele dobrego mają do powiedzenia o tej rasie ze Wschodu.

— Poczekaj, aż zobaczysz mą siedzibę, wtedy sam ocenisz — powiedział Mim. — Ale będziecie potrzebowali światła, bo ludzie potykają się w ciemności. Wrócę niebawem i poprowadzę was.

— Nie, nie! — krzyknął Androg. — Na to nie pozwolimy, prawda, wodzu? Nigdy więcej nie ujrzelibyśmy tego łotra.

— Zapada zmrok — powiedział Turin. — Niech zostawi jakiś fant. Czy możemy zatrzymać twój worek, Mimie?

Ale krasnolud znowu padł na kolana i zaczął lamentować:

— Jeśli Mim nie zamierza dotrzymać słowa, to nie pożałuje starego worka z korzonkami — tłumaczył rozpaczliwie. — Wrócę. Puśćcie mnie!

— Tego nie uczynimy — rzekł Turin. — Jeśli nie potrafisz rozstać się z bagażem, to musimy razem z nim zatrzymać także ciebie. Spędziwszy noc pod osłoną liści, lepiej nas zrozumiesz. — Zauważył jednak, nie on jeden zresztą, że zawartość worka była dla krasnoluda o wiele cenniejsza, niżby można sądzić.

Zaprowadzili krasnoluda do swego smętnego obozowiska. Po drodze mamrotał w dziwnym, chropawym języku coś, co brzmiało jak pradawne przekleństwa, ale gdy nałożyli mu więzy na nogi, umilkł nagle. Ci, którzy trzymali przy nim wartę, widzieli potem, jak siedział przez całą noc nieruchomy niczym skała i tylko jego oczy lśniły bezsennie, penetrując ciemność.

Przed świtem deszcz ustał i poryw wiatru zakołysał drzewami. Ranek wstał jaśniejszy, niż zdarzyło się to od wielu dni, a ciepły powiew z południa rozproszył chmury, ukazując słońce wschodzące na błękitnym niebie. Mim siedział wciąż bez ruchu i wyglądał jak martwy, a przy świetle brzasku ujawniły się wszystkie jego zmarszczki, co potwierdziło wiekowość krasnoluda.

— Jest już dość jasno — powiedział Turin, stając nad więźniem.

Wtedy Mim otworzył oczy i wskazał na pęta, a gdy je zdjęto, odezwał się ze złością:

— Nauczcie się, głupcy, by nigdy nie krępować krasnoluda! Nie wybaczy wam tego. Nie pragnę śmierci, ale czyn wasz wzbudził we mnie zawziętość. Cofam

obietnicę.

— Ale ja nie — odparł Turin. — Zaprowadzisz swego domu i póki tego nie uczynisz, nie mówmy o śmierci. Tak postanowiłem. — I spojrzął stanowczo w oczy krasnoluda, a ten zadrżał, ponieważ mało kto potrafił znieść wzrok Turina zagniewanego lub upierającego się przy swoim.

— Chodź za mną, panie — powiedział w końcu, odwracając głowę i wstając.

— Dobrze! — krzyknął Turin. — I tyle tylko dodam, że pojmuję twą dumę. Może i zginiesz, ale wiązać cię już nie będziemy.

Wtedy Mim poprowadził ich z powrotem do miejsca, gdzie go pojмали, i wskazał na zachód.

— Tam jest mój dom! — powiedział. — Nieraz go pewnie widzieliście, bo wysoko się wznosi. Sharbhund zwaliśmy go kiedyś, zanim elfy nie odmieniły wszystkich nazw.

Banici ujrzeli, że wskazywał na Amon Rudh, Nagą Górę, której łysy wierzchołek widoczny był na wiele staj wokoło.

— Widzieliśmy, ale nigdy z bliska — stwierdził Androg. — I tam niby można znaleźć schronienie, a gdzie na górze woda czy inne jeszcze, potrzebne rzeczy? Chyba nas nabiera. Jak mamy ukryć się na szczycie?

— Czasem taka manifestacja lepsza jest niż chowanie się po kątach — rzekł Turin. — Amon Rudh daje się dostrzec z daleka. Dobrze, Mimie, pójdę z tobą i zobaczę, co masz do zaoferowania. Ile czasu zajmie nam, niezdarnym ludziom, dotarcie na miejsce?

— Cały dzień aż do zmroku — odparł krasnolud.

Turin z Mimem stanęli na czele pochodu i cała kompania ruszyła na zachód, czujnie rozglądając się po wyjściu z lasu, ale okolica była cicha i opustoszała. Mięli porozrzucane głazy i zaczęli wspinaczkę na leżące pomiędzy Amon Rudh a dolinami Sirionu i Narogu wyniosłe wrzosowisko, wrzos potrafił bowiem znaleźć dla się miejsce w kamienistej glebie nawet na wysokości ponad trzystu metrów. Po wschodniej stronie nierówny teren wznosił się łagodnie ku granicom, gdzie kępy brzoź i jarzębiny oraz sędziwie wybujających głógów czepiały się korzeniami skał. Niższe partie stoków Amon Rudh pokryte były gęsto krzewami aeglosu, jednak szary wierzchołek pozostawał nagi, jeśli nie liczyć czerwonego seregonu otulającego skały⁴⁸.

Późnym popołudniem banici dotarli do stóp góry. Mim podprowadził ich z północy i dobrze widzieli słoneczny blask padający z zachodu na koronę Amon

⁴⁸ Aeglos, „śnieżny cierń”, miał być podobny do janowca (ciernistego), ale większy i z białymi kwiatami. Aeglos brzmiało również imię włóczni Gilgalada. Seregon, „krwawy kamień”, był rośliną przypominającą rozchodnik i miał ciemnoczerwone kwiaty.

Rudh, gdzie seregon kwitł właśnie.

— Patrzcie! Wierzchołek góry kąpie się we krwi — powiedział Androg.

— Jeszcze nie — odparł Turin.

Słońce tonęło za horyzontem i światło gasło w parowach. Góra zawisła nad nimi, zagradzając drogę i banici doszli do wniosku, że do tak rzucającego się w oczy celu doszliby spokojnie sami. W miarę jednak, gdy w ślad za krasnoludem wspinali się coraz wyżej, pojęli, że prowadzi ich sekretną ścieżką, której tajemnica istnienia przekazywana musiała być chyba z pokolenia na pokolenie, o ile nie wytyczały jej jakieś nieznane ludziom znaki. Droga wiła się, a spojrzawszy na bok, dostrzec można było jedynie mroczne wąwozy i parowy lub też strome zbocza zbiegające do rumowisk wielkich głazów porośniętych jeżynami i głógami skutecznie kryjącymi wszelkie pułapki. Bez przewodnika prawdopodobnie całymi dniami błąkali by się po tych ostępach, nim dotarliby gdziekolwiek.

Teren zrobił się jeszcze bardziej stromy, za to mniej nierówny. Przeszli w cieniu wiekowych drzew jarzębiny i wkroczyli pomiędzy wysokopienne aeglosy. W półmroku rozeszła się słodka woń⁴⁹. Potem w poprzek drogi wyrosła nagle skalna ściana, stroma i gładka, niknąca gdzieś w ciemności nad ich głowami.

— Czy to są wrota do twojego domu? — spytał Turin. — Podobno krasnoludy uwielbiają kamień. — Przysunął się do Mima, na wypadek, gdyby przewodnik planował jednak jakiś podstęp.

— Nie wrota do domostwa, tylko brama prowadząca na dziedziniec — odparł Mim i skręcił w prawo, a po przejściu około dwudziestu kroków u stóp urwiska przystanął nagle i Turin ujrzał szczelinę wiodącego na lewo przejścia pomiędzy dwoma zachodzącymi na siebie fragmentami skalnej ściany. Nie potrafił powiedzieć, czy było do dzieła czyichś rąk, czy też sił przyrody, ale za otworem spowitym ukorzenionymi powyżej powojami otwierała się kamienista ścieżka biegnąca ku górze i znikająca w ciemności. Wokół panowała wilgoć. Dnem spływał strumyk. Jeden po drugim, wszyscy zanurkowali w mrok. Na szczycie droga skręcała znów w prawo, na południe, by przez gąszcz kolczastych zarośli wybiec na zieloną równinę i znów zatonać w cieniach. Tak dotarli do siedziby Mima, Bar-en-Nibin-noeg⁵⁰, miejsca opisywanego tylko w najstarszych opowieściach Doriathu i Nargothrundu i nigdy nie oglądanego przez człowieka. Jednak noc już zapadła

⁴⁹ Tyczy to również okrytych żółtymi kwiatami kolczastych krzewów [kolczoliści] napotkanych przez Froda, Sama i Gollumna w Ithilien, „u dołu nagich i wątych, lecz w górze rozrośniętych bujnie”, tak że mogli wyprostowani przejść pod nimi, jak przez długie galerie, „jak i obsypanych kwiatami, które jaśniały wśród ciemności i rozsiewały delikatną, słodką woń” (Dwie wieże, str. 396).

⁵⁰ W innym miejscu sindarińska nazwa Poślednich Krasnoludów podana została jako Noegyth Nibin (por. Silmarillion, str. 248) i Nibin-Nogrim. „Leżące pomiędzy Amon Rudh a dolinami Sirionu i Narogu wyniosłe wrzosowisko” na północny wschód od Nargothrundu pojawia się wielokrotnie jako Wrzosowisko Nibin-noeg (w tym lub zbliżonym brzmieniu nazwy).

i gwiazdy zabłysły na wschodzie, skrywając osobliwy zakątek przed oczami wędrowców.

Amon Rudh wieńczyła wielka kamienna czapa o stromych zboczach i ściętym wierzchołku, z którego po północnej stronie wystawała płaska i niemal kwadratowa półka, niewidoczna z dołu. Z tyłu miała pionową skalną ścianę, z boków opadały strome urwiska. Dojść do mej można było tylko z północy, o ile znało się drogę⁵¹. Mająca swój początek w szczelinie ścieżka wiodła przez mały zagajnik karłowatych brzoź otaczający lśniące w skalnym zbiorniku jezioro, zasilane przez tryskający u stóp urwiska strumień. Dalej woda spływała rynną ku krawędzi półki, by białą nitką runąć w dół z zachodniej strony góry. Za osłoną drzew w pobliżu źródła kryło się pomiędzy dwiema kamiennymi przyporami wejście do jaskini wyglądającej z pozoru ledwie na wnękę w skale, z niskim i popękany nadprożem. Wnętrze jednak było obszerne. Sięgało daleko w głąb góry, wydrążone powolną pracą Pośrednich Krasnoludów od lat chroniących się tu przed Szarymi Elfami z lasów.

W mroku Mim poprowadził banitów obok jeziora, w którym poprzez cienie brzozowych gałęzi odbijały się teraz gwiazdy. U wejścia do jaskini odwrócił się, pokłonił Turinowi i powiedział:

— Wejdz do Bar-en-Danwedh, Domu Okupu, gdyż tak się będzie teraz nazywał.

— W porządku — odparł Turin. — Obejrzyjmy go zatem.

I wszedł do środka z Mimem, a skoro inni ujrzeli, że się nie boi, ruszyli w ślad za dowódcą. Nawet Androg, który najbardziej spośród nich nie ufał krasnoludom. Szybko spowił ich nieprzenikniony mrok, ale Mim klasnął w dłonie i za zakrętem zabłysło małe światełko — to inny krasnolud wyłonił się z korytarza na tyłach zewnętrznej groty. W ręce niósł niewielką pochodnię.

— Ha! Więc jednak chybiłem! Tego się obawiałem — zauważył Androg. Mim zamienił z przybyszem kilka zdań w chrapliwym języku i zdało się, usłyszane wieści mocno zatroskały go i zaniepokoiły, pospieszył bowiem gdzieś korytarzem i zniknął. Androg zaś zaczął nalegać, by podążyć za nim.

— Uderzmy pierwsi! — powiedział. — Może nawet jest ich tu wielu, ale to pokurcze.

— Najpewniej tylko trzech — odparł Turin i poprowadził dalej. Banici szli wodząc po szorstkich ścianach rękoma. Korytarz skręcał wielokrotnie pod ostrym kątem, aż w końcu błysnęło przed nimi wątłe światełko i dotarli do niewielkiej, ale wysokiej groty rozjaśnianej przez umocowane na łańcuchach lampy zwisają-

⁵¹ Wysokie urwisko, przez które Mim przeprowadził ich szczeliną zwaną przezeń „bramą wiodącą na dziedziniec”, stanowiło zapewne północną krawędź półki. Zbocza na zachodzie i na wschodzie były o wiele bardziej strome.

ce z mrocznego sklepienia. Mima tu nie było, ale idąc za jego głosem, Turin dotarł do komnaty na tyłach groty, gdy ujrzał klęczącego na podłodze Mima. Obok niego stał w milczeniu krasnolud z pochodnią. Na kamiennym łożu pod przeciwległą ścianą leżała jakaś postać.

— Khim, Khim, Khim — zawodził stary krasnolud, targając swą brodę.

— Jedną strzałą trafiłeś celnie — powiedział Turin Androgowi — ale i tak był to chybiony ruch. Nazbyt prędko jesteś w zwalnianiu cięciwy i życia ci nie starczy, by nabrać rozumu. — Turin wszedł cicho i przybliżył się do Mima. — Co się stało? — spytał. — Znam nieco sztukę uzdrawiania. Czy mogę wam pomóc?

Mim odwrócił głowę i spojrzał na Turina, a w jego oczach płonął czerwony blask.

— Nie, chyba że potrafisz cofnąć czas i odrąbać dłonie tym twoim okrutnikom — odparł. — Mój syn został śmiertelnie ugodzony. Teraz już słowa nie powie. Umarł o zachodzie słońca. Twe więzy powstrzymały mnie przed przywróceniem go do zdrowia.

I znów smutek wezbrał w sercu Turina niczym tryskające ze skały źródło.

— Niestety! — rzekł. — Cofnąłbym tę strzałę, gdybym tylko mógł. Teraz Bar-en-Danwedh, Dom Okupu, prawdziwie będzie się nazywał. Niezależnie bowiem od tego, czy zamieszkamy tu czy nie, jestem odtąd twoim dłużnikiem i jeśli kiedykolwiek dojdę do jakiegoś bogactwa, czystym złotem zapłacę ci okup za syna. Uczynię to na znak mego smutku, chociaż wiem, że twe serce nie znajdzie w nim pociechy. — Wówczas Mim wstał i długo przyglądał się Turinowi.

— Przyjmuję, co powiedziałaś — odrzekł. — Zachowałeś się jak dawny władca krasnoludów, i to podziwiam. Ukoiliś mój żal, chociaż nie mam się z czego cieszyć. Spłacę niemniej swój okup. Możecie tu zamieszkać, jeśli chcecie. Jedno tylko dodam, niech ten, który wypuścił strzałę, złamie swój łuk i pełen kołczan, niech położy je u stóp mego syna i nigdy już nie tknie strzały ni łuku. Gdyby to uczynił, umrze za ich sprawą. Takie rzucam nań przekleństwo.

Androg przestraszył się wielce i chociaż niechętnie, wypełnił, co krasnolud rzekł. Wychodząc jednak z komnaty, spojrzał ze złością na Mima i mruknął:

— Powiadają, że klątwa krasnoluda nigdy nie traci mocy, ale ludzka też czasem może się spełnić. Umrzyj tu z gardłem przeszytym strzałą!⁵²

Tej nocy ułożyli się w grocie, ale zasnąć nie mogli za sprawą lamentów Mima i jego drugiego syna, Ibuna. Kiedy wszystko ucichło, trudno powiedzieć, ale gdy banici obudzili się w końcu, krasnoludów nie było, a w wejściu do komnaty tkwił

⁵² Klątwa rzucona na Androga pojawia się również w innej postaci: „Oby zabrakło mu łuku w ostatecznej potrzebie”. Mim zginął w końcu za sprawą miecza Hurina pod Bramą Nargothrondu (Silmarillion, str. 282).

potężny kamień. Dzień znów nastał pogodny i w blasku porannego słońca ludzie umyli się w jezioru i sięgnęli po to, co mieli do jedzenia. Posilali się właśnie, gdy Mim stanął przed nimi i skłonił się Turinowi.

— Odszedł już i uczyniliśmy, co do nas należało — powiedział. — Spoczywa obok swoich ojców. Pora zwrócić się ku zwykłemu życiu, chociaż może niewiele nam go już pozostało. Czy podoba wam się dom Mima? Czy okup został przyjęty?

— Tak — odparł Turin.

— A zatem do was należy i możecie urządzić go, jak wam wygodnie, z jednym tylko wyjątkiem: nikt prócz mnie nie może otworzyć tej zamkniętej komnaty.

— Zgoda. Zamieszkamy tu, zakątek jest bowiem bezpieczny lub przynajmniej na taki wygląda, ale potrzeba nam jeszcze jedzenia i innych rzeczy. Jak mamy stąd wychodzić, a co ważniejsze, jak będziemy wracali?

Mim roześmiał się na całe gardło, co zaniepokoiło banitów.

— Czyżbyście obawiali się, że oto pająk schwytał was w swe sieci? — spytał. — Mim nie jada ludzi! Nawet pająk nie łowiłby trzydziestu szerszeni naraz. Sami widzicie, wy jesteście uzbrojeni, a ja stoję przed wami z pustymi rękoma. Pora nam dzielić się mieszkaniem, jedzeniem, ogniem, a może i innymi zdobyczami. Myślę, że nawet, gdy poznacie już dobrze drogę, to dla własnego dobra strzec będziecie tajemnicy tego miejsca. Z czasem zapamiętacie szlaki, na razie jednak Mim albo syn jego, Ibun, będzie musiał was przeprowadzać.

Turin przystał na to i podziękował Mimowi, a większość ludzi przyklasnęła jego słowom, bo w słońcu środka lata siedziba prezentowała się zaiste wspaniale. Jeden tylko Androg był niezadowolony.

— Im wcześniej poznamy wszystkie ścieżki, tym lepiej — powiedział. — Nigdy jeszcze żaden więzień nie ograniczał tak naszej swobody.

Tego dnia odpoczywali, czyścili broń i naprawiali oporządzenie, jedzenia mieli bowiem dość na jakie dwa dni, a i Mim dołożył swoje, pożyczając im trzy wielkie garnki i opał. Potem przyniósł worek.

— Same śmiecie — powiedział. — Niewarte kradzieży dzikie korzonki.

Wszakoż ugotowane, owe leśne zdobycze okazały się nie tylko jadalne, ale i bardzo dobre, w smaku przypominały bowiem chleb, który banici kosztowali ostatnimi laty tylko wtedy, gdy udało się ukraść jakiś bochenek.

— Dzikie elfy ich nie znają, Elfy Szare nie wypatrzyły. Zbyt dumni są przybysze zza Morza, by ryc w ziemi — powiedział Mim.

— A jak się te przysmaki nazywają? — spytał Turin, Mim spojrzał nań z ukosa.

— Nie mają innej nazwy prócz tej w języku krasnoludzkim, a jego sekretów ni-

komu nie zdradzamy. Nie mówimy też ludziom, jak szukać tych korzonków, bo oni chciwi są i rozrzutni, szybko wybraliby wszystkie, do ostatniego, kładąc kres ich istnieniu, chociaż teraz mijają je obojętnie w głuszy. Niczego więcej nie dowiecie się ode mnie, ale jak długo będziecie uprzejmi, nie zaczniecie kraść ni szpiegować, nie poskąpię wam poczęstunku, zawsze też możecie liczyć na mą pomoc. — I znów roześmiał się bardzo głośno. — Są naprawdę cenne. Głodną zimą więcej warte są od złota, bo można przechowywać je niczym orzeszki w wiewiórczej spiżarni. Już z pierwszego zbioru zaczęliśmy odkładać zapasy, ale tylko głupiec mógłby sądzić, że nawet za cenę życia nie byłbym skłonny porzucić jednego worka.

— Słuchając tak ciebie — powiedział Ulrad, który zajrzał do worka przy pojmaniu Mima — wspominam, że faktycznie nie chciałeś rozstać się ze swym bagażem, i niczego już nie rozumiem.

Mim obrócił się i zmierzył go ponurym spojrzeniem.

— Jesteś jednym z tych głupców, których nie żal wiośnie, gdy zima ich zabierze — powiedział. — Dałem słowo, a zatem chcąc, nie chcąc, z workiem czy bez, i tak musiałbym wrócić, a niech sobie praw ani honoru nie znający człowiek myśli, co chce! Nie lubię jednak, gdy jakiś niegodziwiec odbiera mi siłą moją własność, choćby to był tylko rzemień od buta. Myślisz, że zapomniałem, że byłeś między tymi, którzy mnie związali, przez co nawet nie zdążyłem porozmawiać z synem? Gdy znów przyniosę ziemny chleb ze spiżarni, ciebie nim nie obdzielę, i zjesz go wówczas tylko, gdy zostaniesz poczęstowany przez kamratów.

Potem Mim odszedł, ale Ulrad, który kulił się pod gniewnym spojrzeniem krasnoluda, teraz powiedział:

— Dumne słowa! Jednakże ten stary łotr miał jeszcze inne rzeczy w swym worku. Podobne z kształtu do korzonków, ale twardsze i cięższe. Może oprócz ziemnego chleba jest w głuszy coś jeszcze, czego elfy nie wyszukały i czego ludziom poznać nie wolno⁵³!

— To możliwe — odparł Turin. — Niemniej krasnolud miał rację, nazywając cię głupcem. Czy musisz gadać, co ślina na język przyniesie? Jeśli uprzejme słowa więzną ci w gardle, to już lepiej siedź cicho, a wszyscy na tym skorzystamy.

Dzień minął spokojnie i nikt z banitów nie zapragnął opuścić schronienia. Turin pokrażył od krańca do krańca po zielonej murawie półki, spojrzawszy na wschód, na zachód i na północ, zdumiony, jak przy czystym powietrzu rozległy roztacza się stąd widok. Na północy sięgnął wzrokiem Lasu Brethil, wspinającego się zamglo-

⁵³ Tajemnica worka krasnoluda Mima nie została wyjaśniona. Niemniej pewną wskazówką może być pospiesznie skreślona notatka sugerująca, że zamaskowane były tam bryłki złota, Mim zaś miał poszukiwać „dawnych skarbów w krasnoludzim domu w pobliżu płaskich kamieni”. To ostatnie bez wątpienia odnosi się do owych skupisk wielkich głazów, przy których banici schwyтали Mima. Nie wiadomo jednak, jaką rolę miały owe skarby odegrać w historii Bar-en-Danwedh.

ną zielenią na zbocza Amon Obel, i miejsce to przyciągało wciąż jego oczy, choć sam nie wiedział czemu, serce bowiem skłaniało się ku północnemu zachodowi. Gdy patrzył w tamtym kierunku, zdawało mu się, że odległe o wiele staj, zawieszono jakby na krawędzi nieba, majaczyły Góry Cienia, granica ojczystej krainy. Wieczorem jednak śledził zachodzące słońce, jak czerwieniało i nikało w mgłach nad dalekim wybrzeżem, cienistym mrokiem spowijając Dolinę Narogu leżącą na drodze do Morza.

Tak zaczął się pobyt Tirana, syna Hurina, w Bar-en-Danwedh, Domu Okupu, siedzibie Mima.

Opis dziejów Turina od chwili zamieszkania w Bar-en-Danwedh do upadku Nargothrondu znajduje się w Silmarillionie, strony 248-262, patrz także Dodatek do Narn i Hin Hurin.

Powrót Turina do Dorlominu

Zmęczony w końcu długą drogą i pośpiechem (ponad czterdzieści staj przebył bez odpoczynku), wraz z pierwszymi lodami zimy wykwitłymi na rozlewiskach Ivrin, dotarł Turin tam, gdzie niegdyś został uzdrowiony. Teraz jednak było to tylko zamrożone bagnisko, z którego nie dało się już pić.

Potem doszedł do przełęczy wiodących do Dorlominu⁵⁴ i tutaj zaskoczyły go śnieżyce z północy, czyniąc ścieżki jeszcze bardziej niebezpiecznymi. Chociaż dwadzieścia i trzy lata minęły, gdy po raz ostatni przemierzał ten szlak, to głęboko wryła mu się w serce pamięć owej drogi, kiedy bolał nad każdym krokiem oddalającym go od Morweny. Wreszcie znalazł się w krainie swego dzieciństwa, teraz ponurej i ogołoconej, z rzadka zamieszkałej przez nieokrzesanych ludzi władających szorstkim narzeczem Easterlingów. Dawna mowa stała się tu językiem niewolników i wrogów.

Niemniej Turin wędrował czujnie, skryty milcząco pod kapturem, aż odnalazł dom, którego tak szukał. Budynek stał jednak ciemny i pusty. Nikt nie mieszkał w pobliżu.

Morwena bowiem odeszła, a Brodda (tenże przybysz, który wziął siłą za żonę Aerinę, krewną Hurina), splądrował rodową posiadłość i zabrał wszystko, nawet służących. Dom Broddy stał najbliżej siedziby Hurina, tak i Turin poszedł tam, pełen zdumienia i żalu, i poprosił o schronienie. Otrzymał je, ponieważ Aerin dbała, żeby ocalić w swoim domu chociaż cień dawnych, dobrych zwyczajów. Posadzono go przy ogniu między służącymi oraz kilkoma podobnie zdrożonymi i ponurymi wagabundami, a wtedy spytał o wieści dotyczące okolicy. Cisza zapadła, a niektórzy aż się odsunęli, spoglądając spode łba na obcego. Jeden jednak włóczęga, stary mężczyzna z kulą, powiedział:

— Jeśli już musisz posługiwać się dawną mową, panie, to ciszej mów i nie pytaj o wieści. Chcesz zostać obity jako rzezimieszek lub powieszony jako szpieg? Wy-

⁵⁴ Przełęcz na Amon Darthir była jedynym przejściem przez góry „od Serech aż po daleki zachód, gdzie Dorlomin graniczył z Nevrastem”.

glądasz i na jedno, i na drugie. A to znaczy — przysunął usta bliżej ucha Turina — że wywodzisz się, panie, z tego dawnego szlachetnego ludu, który przybył z Hadorem w złotych czasach, nim w tej krainie łby porosły wilczą sierścią. Są tu jeszcze podobni tobie, chociaż teraz to niewolnicy lub żebracy. Tylko pani Aerin zawdzięczają miejsce przy ogniu i strawę. Skąd przybywasz i jakie nowiny przynosisz?

— Żyła nie opodal kobieta zwana Morweną — odparł Turin. — Dawno temu mieszkałem w jej domu. Ale gdy dotarłem tam zdrożony, nie zastałem ni ognia, ni mieszkańców.

— Wszyscy opuścili to miejsce ponad rok temu — odpowiedział starzec. — A i przedtem rzadko płonął tam ogień i niewiele się przy nim grzało od czasu strasznej wojny. Ona należała do dawnego ludu, jak wiesz na pewno. Została wdową po naszym panie, Hurinie, synu Galdora. Nie śmieli jej tknąć, bali się, bo dumna i piękna była jak królowa, nim smutek ją naznaczył. Mówili, że to wiedźma, co po nowemu znaczy „przyjaciółka elfów”.

Unikali Morweny, ale i tak okradli. Często wraz z córką chodziłaby głodna, gdyby nie pani Aerin. Pomagała im potajemnie i często bił ją za to ten prostak Brodda, mąż z przymusu.

— A potem? Nie żyją czy dostały się w niewolę? A może Orkowie je napadli?

— Nie wiadomo na pewno — powiedział starzec. — Odeszła z córką, a Brodda splądrował dom i wziął, co tylko było. Nawet psa nie zostawił, a wszystkich jej poddanych zrobił swoimi niewolnikami. Poza paroma, którzy wybrali los żebraczy, jak ja, Sador Jednostopy. Służyłem Morwenie wiele lat, a przedtem naszemu panu. Gdyby nie ten topór przeklęty, kiedyś, dawno, to pewnie leżałbym teraz pod Wielkim Kurhanem. Nigdy nie zapomnę dnia, gdy odesłano stąd syna Hurina, pamiętam jak płakał przy tym i jak ona łkała, gdy już odszedł. Podobno do Ukrytego Królestwa.

W tym miejscu stary powściągnął język i przyjrzał się nieufnie Turinowi.

— Wiekowy jestem i różne rzeczy plotę — dodał pospiesznie. — Nie zważaj na mnie! Ale chociaż przyjemnie jest pogadać znów w starej mowie z kimś, kto włada nią jak w dawnych czasach, to teraz dni chmurnie nam płyną i trzeba uważać. Piękne słowa nie świadczą jeszcze o czystym sercu.

— Szczera prawda — odrzekł Turin — bo serce me mroczne i ponure. Ale jeśli obawiasz się, że jestem szpiegiem Północy lub Wschodu, znaczy, że umysł osłabł ci z latami, Sadorze Labadalu.

Starzec spojrział nań bezbrzeżnie zdumiony.

— Wyjdźmy — powiedział drżącym głosem. — Tam jest chłodniej, ale i bezpiecznie. Za głośno i za wiele mówisz, jak na dom Easterlinga.

Na podwórku Sador wczepił się w płaszcz Turina.

— Powiadasz, że przemieszkiwałeś niegdyś w tym domu. Turinie, synu Hurina, po co wróciłeś? Poznaję twarz, a teraz i głos, bo podobny masz do ojcowego. Tylko młody Turin nazywał mnie Labadalem. Nie przez złośliwość, bo byliśmy wówczas dobrymi przyjaciółmi. Ale czego szukasz tu teraz? Niewielu nas już zostało. Starzy jesteśmy i bezbronni. Lepszy los spotkał tych, którzy zlegli pod kurhanem.

— Nie przybyłem walczyć, chociaż gdy tak cię słucham, Labadalu, to też przychodzi mi do głowy. Ale jeszcze nie nadszedł odpowiedni czas. Szukam Morweny i Nienor. Co możesz mi o nich zwięźle powiedzieć?

— Niewiele, panie. Odeszły w tajemnicy. Szeptano, że na wezwanie Turina, bo nie wątpiliśmy, że wyrósł wielce z latami i jest królem czy władcą w jakimś kraju na południu. Wygląda jednak, że spotkał cię inny los.

— Owszem. Byłem niegdyś kimś na Południu, ale zostałem wagabundą. I nie ja je wezwałem.

— W takim razie proszę pytać panią Aerinę. Na pewno będzie wiedziała. Znała wszystkie zamiary pana matki.

— Jak mogę do niej dotrzeć?

— Nie mam pojęcia. Gdyby nawet dało się ją wywołać, to przyłapana, drogo zapłaciłaby za szeptanie w drzwiach z włóczęgą. A podobny tobie żebrak nie zajdzie daleko, dostawszy się do domu Easterlinga, bo pochwyca go, pobiją albo i zrobią coś jeszcze gorszego.

— Czy naprawdę nie dam rady wejść na pokoje Broddy? — zawołał Turin w gniewie. — Pobiją mnie, mówisz? Zaraz się przekonamy!

Wszedł wówczas do środka i odsuwając wszystkich z drogi, torował sobie przejście do pomieszczenia, w którym przy stole siedział gospodarz wraz z żoną i innymi możnymi Easterlingami. Paru rzuciło się, by go pochwytać, ale powalił ich na ziemię i stanąwszy w drzwiach krzyknął:

— Czy nikt nie rządzi w tym domu? A może to orkowa nora? Gdzie gospodarz? Zagniewany Brodda podniósł się z miejsca.

— Ja tu jestem panem — powiedział.

Ale zanim zdążył dodać cokolwiek więcej, Turin rzekł:

— A więc nic nie przyswoiłeś sobie ze zwyczajów, z których słynęła niegdyś ta kraina. Czy to normalne pośród was, by nasyłać lokajów na krewnych waszych żon? Czyli na mnie. Mam pytanie do pani Aeriny. Wpuścisz mnie, czy sam mam się wpuścić?

— Wejdz! — powiedział Brodda i spojrzał wilkiem, Aerina zaś pobladła. Wówczas Turin podszedł do stołu, zatrzymał się i skłonił.

— Wybacz, pani, że tak wtargnąłem niespodzianie, ale pilna jest moja sprawa

i z daleka mnie przywiodła. Szukam Morweny, pani Dorlominu, i Nienor, jej córki. Jej dom pusty stoi i splądrowany. Co możesz mi powiedzieć?

— Nic — odparła Aerina w wielkim strachu, Brodda bowiem przyglądał się żonie pilnie. — Odeszła i nic więcej nie wiem.

— W to nie uwierzę — odrzekł Turin. Wtedy Brodda skoczył ku niemu, aż czerwony z podpicia i gniewu.

— Dość tego! — krzyknął. — Nie pozwolę, aby jakiś żebrak zarzucał w gwarze niewolników kłamstwo mojej żonie, gdy ja jestem obok? Nie ma pani Dorlominu. A co do Morweny, z niewolników pochodziła i zbiegła jak niewolnik. Jeśli nie zrobisz zaraz tego samego, to zawieszysz na drzewie!

Wtedy Turin rzucił się ku Broddzie, wyciągnął swój Czarny Miecz, schwycił barbarzyńcę za włosy i odgiął mu głowę do tyłu.

— Jeden ruch — powiedział — a strącę ten łeb z karku! Pani Aerin, raz jeszcze błagam o wybaczenie, ale myślę, że nie zaznałaś niczego dobrego od tego gburą. Teraz mów jednak i nie odmawiaj mi! Czy ja, Turin, jako pan Dorlominu mam ci to nakazać?

— Tak, panie — odparła.

— Żądam zatem, byś natychmiast odpowiedziała, kto splądrował dom Morweny?

— Brodda.

— Kiedy matka moja odeszła i dokąd?

— Rok i trzy miesiące temu. Pan Brodda i inni przybysze ze Wschodu mocno jej dokuczali. Z dawna już wzywano ją do Ukrytego Królestwa i w końcu poszła tam, gdy tylko ziemie po drodze uwolniły się od złych sił, a to za sprawą męstwa Czarnego Miecza z kraju na południu. Wypatrywała spotkania z synem, miał tam na nią czekać. Ale skoro to ty nim jesteś, znaczy, że wszystko poszło na opak.

Turin zaniósł się pełnym gorzycy śmiechem.

— Na opak? — krzyknął. — Tak, zawsze na opak, na modłę Morgotha! — I nagle gwałtowny gniew nim zatrzęsł, uwolnił się bowiem ostatecznie z pęt czaru Glaurunga i łuski spadły mu z oczu. Wyraźnie ujrzał wszystkie kłamstwa, którymi został omamiony. — Czy oszustwo przywiodło mnie w to miejsce, by zginął niesławnie ten, kto polec mógł z honorem u Wrót Nargothrondy? — I zdało mu się, że z mroku pod powałą dobiegają krzyki Finduilasy.

— Nie ja pierwszy tu umrę! — krzyknął i chwyciwszy Broddę, niby psem potrząsnął nim we wścieklej pasji. — Powiadasz, że z niewolników Morwena pochodziła? Ty złodzieju, synu szubrawców, sługo niewolników! — I cisnął gospodarzem przez jego własny stół, siedzący zaś tam Easterlingowie zerwali się, by zabić Turina.

Rzucony głową naprzód, Brodda skręcił kark przy upadku, Turin zaś skoczył ku biesiadnikom i zabił trzech kulących się w przerażeniu, jako że zaskoczył ich bez broni. Potem powstało zamieszanie. Easterlingowie chcieli ruszyć na Turina, ale w sali było też wielu dawnych mieszkańców Dorlominu, niewolników od lat czekających na podobną okazję. Rzucili się teraz z krzykiem na ciemżycieli, chociaż ich broń, noże do mięsa i podobne domowe narzędzia, nie mogły się równać z mieczami i sztyletami. Wielu padło z obu stron, aż Turin wbiegł z impetem pomiędzy walczących i zabił ostatnich w sali Easterlingów.

W końcu wypalił się w nim ogień gniewu. Odpoczywał, oparty o kolumnę, gdy podpełzł doń śmiertelnie ranny stary Sador i objął go pod kolana.

— Po trzykroć siedem lat i jeszcze dłużej czekałem na tę godzinę — powiedział. — Ale teraz odejdz już, panie. Odejdz! Idź i nie wracaj, chyba że z wielką siłą. Cały kraj podniosą przeciwko tobie. Wielu stąd umknęło. Uchodź, albo koniec cię tu spotka. Żegnaj! — I osunął się martwy na podłogę.

— Prawdę mówił w obliczu śmierci — odezwała się Aerina. — Wiesz już, co chciałeś wiedzieć. Teraz ruszaj zwawo! Najpierw do Morweny, uspokoić ją, bo inaczej trudno będzie mi wybaczyć ci gwałt, który tu uczyniłeś. Podle mi tu życie płynęło, ale dopiero twoja złość skazała mnie na śmierć. Barbarzyńcy pomszczą tę noc, zabijając wszystkich, którzy byli w tym miejscu. Wciąż jesteś porywczy, synu Hurina, zupełnie jak ten chłopiec, którego niegdyś znałam.

— A ty wciąż strachliwa, Aerino, córko Indora, zupełnie jak wtedy, kiedy ciotką cię zwałem i byle pies wywoływał w tobie przerażenie — powiedział Turin. — Do lepszego życia zostałam stworzona. Ale ruszaj ze mną, pójdziemy do Morweny!

— Więcej bieli na moich skroniach niż śniegu wokoło — odparła. — Czy z tobą na pustkowiach, czy pośród brutalnych Easterlingów, i tak wkrótce umrę. Co się stało, już się nie odstanie. Idź! Zostając, tylko pogorszysz sprawę, bez potrzeby przysparzając trosk matce. Błagam cię, odejdz prędko!

Turin skłonił się jej więc nisko i wyszedł z domu Broddy, a wszyscy buntownicy, którzy mieli dość siły, powędrowali za nim. Byli wśród nich i tacy, co dobrze znali ścieżki przez pustkowie. Umknęli zatem ku górcom, błogosławiąc padający śnieg, który skrywał ich ślady. Skrzyknięci rychło do pościgu ludzie z końmi i psami nie odnaleźli zbiegów. Ci zaś po długotrwałej ucieczce schronili się w końcu między wzgórzami na południu. Wtedy to, spoglądając za siebie, ujrzeli w oddali czerwony blask płomienia.

— Podpalili dom — powiedział Turin. — Ale po co?

— Oni? Nie, panie, sądzę, że to Aerina uczyniła — odparł jeden z towarzyszy imieniem Asgon. — Zbrojni mężowie często myślą cierpliwość ze strachem. Wiele dobrego dla nas zrobiła, dużym kosztem. Nie była słabego serca, ale każda cier-

pliwość kiedyś się kończy.

Najwytrwalsi, zdolni znieść trudy zimy zostali wówczas z Turinem i poprowadzili go zapomnianymi ścieżkami pośród gór do jaskini znanej tylko banitom i odszczepieńcom, gdzie zgromadzono pewne zapasy żywności. Poczekali, aż śnieg przestanie sypać tak gęsto, po czym zaopatrzyli Turina w prowiant i zaprowadzili na mało uczęszczaną przełęcz wiodącą na południe, do Doliny Sirionu. Tam śnieg nie dotarł. Gdy szlak zaczął zbiegać z gór, rozstali się z Turinem.

— Żegnaj teraz, panie Dorlominu — powiedział Asgon. — Ale nie zapomnij o swych poddanych. Teraz, gdy się pojawiłeś, to wilcze plemię stanie się jeszcze bardziej okrutne, a nas czeka los ściganej zwierzyny. Toteż idź i nie wracaj, chyba że z siłą dość wielką, by nas wyzwolić. Żegnaj!

Przybycie Turina do Brethilu

Z rozdartym sercem skierował się Turin ku Sirionowi. Przedtem sądził, że czeka go wybór między dwoma fatalnymi możliwościami, teraz jednak stały przed nim otworem trzy drogi, jego zaś lud, któremu dopiero co tylko nieszczęść przyczynił, oczekiwał odeń pomocy. Jedyłą kojącą myślą była świadomość, że Morwena i Nienor dawno już musiały dojść do Doriathu i że to właśnie męstwo Czarnego Miecza z Nargothrundu uczyniło ich drogę bezpieczną. „Bo i gdzież indziej mógłbym je skierować, nawet gdybym przybył wcześniej?” — pomyślał sobie. — Jeśli Obręcz Meliany pęknie, wówczas i tak wszystko dobiegnie kresu. Tak już jest lepiej, bo gdziekolwiek się pojawię, zaraz gniew mój i porywczość cień rzucają na to miejsce. Niech Meliana je chroni! Na razie nie będę ich niepokoił.

Za późno zaczął jednak Turin szukać Finduilasy i rozglądać się po kniejach u stóp Ered Wethrin, niczym czujne i dzikie zwierzę buszując w ostępach. Przemierzył wszystkie drogi wiodące na północ, ku Przełomowi Sirionu, ale deszcze i śniegi zatarły już ślady. Podążając z biegiem Teiglinu spotkał jednak niegdysiejszych mieszkańców lasu Brethilu, zdziękowani przez wojnę lud Halethy. Większość ocalałych skryła się w otoczonej palisadą leśnej osadzie u stóp Amon Obel. Zwali to miejsce Ephel Brandir, od czasu bowiem śmierci Handira władał nimi syn jego, Brandir. Nie był on zapalonym wojownikiem, chromy od dzieciństwa, kiedy to przypadkiem złamał nogę. Za sprawą łagodnego charakteru lubował się raczej w drewnie niż w żelazie i najbardziej interesował się tym wszystkim, co rośnie w ziemi.

Niektórzy jednak z mieszkańców lasu zasadzali się wciąż u granic swych włości na Orków i stało się tak, że przyszedłszy w te okolice, Turin dosłyszał pewnego dnia odgłosy walki. Co siłą pospieszył między drzewami, aż ujrzał grupkę ludzi otoczoną przez Orków. Bronili się rozpaczliwie, przyparci do rosnącej na polanie kępy drzew, wrogowie jednak znacznie ich przewyższali liczbą i nikła była nadzieja na ucieczkę, o ile nie pojawi się jakaś pomoc. Skrywszy się w zaroślach, Turin czynić zaczął wielki hałas, stąpając głośno i tratując krzaki, a potem zakrzyk-

nał gromko, jakby prowadząc duży oddział:

— Ha! Mamy ich! Wszyscy za mną! Bij, zabij!

Wielu Orków obejrzało się, zaskoczonych, a wówczas Turin wyskoczył na polanę machając, jakby wzywał biegnących za nim, a ostrze Gurthanga rozgorzało w jego dłoni niczym płomień. Orkowie znali ten miecz aż za dobrze i niejedni uciekli ze strachu, nim jeszcze Turin dobiegł do gromady. Natenczas ludzie z lasu przyłączyli się do pościgu, przypierając Orków do rzeki. Niewielu z nieprzyjaciół zdołało ujść na drugi brzeg.

W końcu pogoń zatrzymała się nad wodą, a Dorlas, dowódca leśnych, powiedział:

— Szybki jesteś, ale twoi ludzie jakoś dziwnie się ociągają.

— Nie — odparł Turin. — Wszyscy razem biegliśmy i nikt nie zwłóczył. — Wtedy roześmiali się ludzie z lasu Brethil.

— Jeden taki wart jest całej drużyny — powiedzieli. — Winniśmy ci podziękowanie. Ale kim jesteś i co tu robisz?

— To, co zawsze, czyli zabijam Orków — odrzekł Turin. — Tym się trudnię i mieszkam tam, gdzie widzę dla siebie zajęcie. Jestem Dzikim Człowiekiem z Lasu.

— Chodź i zostań z nami — powiedzieli. — Bo i my żyjemy w lesie i potrzeba nam biegłych w wojennym rzemiośle. Chętnie cię przyjmujemy!

Turin spojrział na nich osobliwie.

— A więc są jeszcze tacy, którzy ścierpią, bym ciemność wniósł pod ich dachy? Nie, przyjaciele, inne przede mną zadanie. Szukam Finduilasy, córki Orodretha z Nargothrundu, lub przynajmniej jakichś o niej wieści. Niestety, wiele tygodni już minęło, odkąd zabrano ją z Nargothrundu, ale nie wolno mi spocząć.

Popatrzyli na niego ze współczuciem, a Dorlas powiedział:

— Próżne twe trudy. Ostrzegano nas przed bandą Orków nadciągającą z Nargothrundu ku brodom na Teiglinie. Szli powoli, gdyż wielu jeńców wiedli. Przyszło nam do głowy, żeby na miarę naszych skromnych możliwości też wziąć udział w tej wojnie, tak i zasadziliśmy się na nich ze wszystkimi łucznikami, których dało się znaleźć. Mieliśmy nadzieję ocalić przynajmniej niektórych więźniów. Niestety! Gdy tylko zaatakowaliśmy, plugawi Orkowie zaczęli ich zabijać, poczynając od kobiet. Córkę Orodretha przyszpilili włócznią do drzewa. Turin stanął nieruchomo, jak śmiercią rażony.

— Skąd to wiesz? — spytał.

— Bo przemówiła do mnie, nim umarła — odparł Dorlas. — Spojrzała na nas, jakby kogoś wypatrywała, a potem powiedziała: „Mormegil. Przekażcie Mormegilowi, że Finduilasa jest tutaj”. I nic więcej. Jej ostatnie słowa sprawiły, że złożyliśmy

ją tam, gdzie umarła. Spoczywa pod kurhanem nad brzegiem Teiglinu. Od tamtej pory minął już miesiąc.

— Zaprowadźcie mnie w to miejsce — poprosił Turin, a oni zawiedli go na stok wzgórza przy brodach na Teiglinie. Turin padł na ziemię zamroczony, i pomyśleli nawet, że nie żyje. Dorlas spojrział nań uważnie i odwrócił się do swych ludzi ze słowami:

— Za późno! Smutne to zrządzenie losu. Patrzcie jednak: oto leży tu sam Mormegil, wielki wódz z Nargothrundu. Po mieczu winniśmy go poznać, jak uczynili to Orkowie. — Sława Czarnego Miecza z Południa dotarła do wielu i daleko, nawet w leśne ostępy.

Dźwignęli go zatem z szacunkiem i ponieśli do Ephel Brandir, a ich przywódca wyszedł na powitanie zdumiony, któż to wraca na marach. Odchylił przykrycie i zerknął na twarz Turina, a mrok spowił jego serce.

— O okrutny ludu Halethy! — zakrzyknął. — Czemuście nie pozwolili umrzeć temu mężowi? Trudząc się wielce przywieśliście tu człowieka, który ostateczną zgubę ściągnie na nasze plemię.

— Ale to Mormegil z Nargothrundu⁵⁵, sławny zabójca Orków. Jeśli przeżyje, będzie nam wielką pomocą. A gdyby nawet śmierć go już zabrała, to czy mieliśmy zostawić nieszczęściem rażonego człowieka niczym padlinę na poboczu?

— Zaiste, nie mogliście — odparł Brandir. — Los tak nie chciał. — I zabrał nieprzytomnego do swego domu, gdzie pielęgnował go troskliwie.

Gdy nareszcie mroki odstąpiły Turina, wiosna właśnie rozkwitła i obudziwszy się, ujrzał skąpane w słońcu zielone pąki. Wówczas ocknęła się w nim również i odwaga właściwa rodowi Hadora, wstał zatem i powiedział sobie z przekonaniem:

— Wszystkie me czyny minionych lat mroczne były i złem naznaczone. Ale oto nadchodzi nowa doba. Zostanę tu w pokoju, imienia się wyrzekając i dziedzictwa. Tak i Cień mnie porzuci, a przynajmniej nie ogarnie tych, których kocham.

Przyjął tedy nowe imię, zwąc się Turambarem, co w szlachetnej mowie elfów znaczy Pan Losu, i zamieszkał pomiędzy leśnym ludem otoczony miłością. Zobowiązał wszystkich, by zapomnieli, kim był, i traktowali go tak, jakby urodził się w Brethilu. Jednakże, choć inne nosił miano, temperament został mu podobny, nie zapomniał też całkowicie o dawnych krzywdach zaznanych od sług Morgotha. Zebrawszy kilku podobnie żądnych zemsty, wypuszczał się czasem z nimi na Orków. Brandir nie był z tego zadowolony, wolałby raczej siedzieć wraz ze swym ludem

⁵⁵ W wersji pomieszczonej w *Silmarillionie* (str. 264) złe przeczucia ogarnęły Brandira po usłyszeniu „wiadomości przyniesionych mu przez Dorlasa”, a zatem (jak się wydaje) wiedział już, że mężczyzna na noszach to Czarny Miecz z Nargothrundu, o którym wieść gminna niosła, że był synem Hurina z Dorlo-minu.

cicho w ukryciu, mając nadzieję, że w ten sposób uda im się przetrwać.

— Nie ma już Mormegila — rzekł mu pewnego razu — ale strzeż się, by męstwo Turambara tak samo nie sprowadziło nieszczęścia na Brethil!

Tak i Turambar odłożył Czarny Miecz i nie brał go już do boju, sięgając raczej po łuk i włócznię. Wciąż jednak nie mógł ścierpieć, że Orkowie korzystają z brodu na Teiglinie, podchodząc pod kurhan, gdzie pogrzebano Finduilasę. Zwał się on teraz Haudh-en-Elleth, Wzgórze Księżniczki Elfów i Orkowie rychło zaczęli bać się tego miejsca i raczej omijali je z daleka. W końcu Dorlas spytał Turambara:

— Zmieniłeś imię, ale wciąż jesteś Czarnym Mieczem. Czy nie powiada prawdy pogłoska, że Czarny Miecz to syn Hurina z Dorlominu, władarz z rodu Hadora?

— Tak słyszałem — odparł Turin. — Ale skoroś mój przyjaciel, to błagam cię, nie rozpowiadaj tego.

Podróż Morweny i Nienory do Nargothrondu

Wraz z końcem zimy, nowe wieści o Nargothrondzie dotarły do Doriathu. Niektórzy umknąć zdołali bowiem z oblężenia i przetrwawszy zimę na pustkowiach, ruszyli do królestwa Thingola, a straż graniczna przyprowadziła ich przed oblicze władcy. Jedni mówili, że przeciwnik wycofał się z całą siłą ku północy, inni, że Glaurung okupuje wciąż zamek Felagunda. Słyszało się też, jakoby Mormegil został zabity lub ogarnięty smoczym zaklęciem, i że stoi tam wciąż w kamiennej postaci. Wszyscy jednak zgodnie stwierdzali, jak to znane stało się pod koniec w Nargothrondzie, iż Czarny Miecz nikim innym nie jest, jak tylko Turinem, synem Hurina z Dorlominu.

Żal i lęk ogarnęły zatem Morwenę i Nienor, a Morwena powiedziała:

— Bez wątpienia sam Morgoth stoi za tym! Czy nie ma sposobu, by dowiedzieć się prawdy, choćby i gorzkiej, lepszej jednak od niepewności?

Thingol też pragnął nade wszystko poznać szczegóły upadku Nargothrondu i zamierzał nawet wysłać tam cichcem kilku posłańców. Skłonny był jednak liczyć Turina między poległych lub straconych dla świata. Wzdragał się wszakże przed potwierdzeniem owych domysłów, bojąc się o Morwenę. Tak i rzekł jej:

— Niełatwa to sprawa i wymaga rozważenia. Istnieje ryzyko, że to Morgoth zasiewa w nas owe wątpiwości, mając nadzieję, że skłoni nas tym do nierozważnych i pochopnych czynów.

— Nierozważnych i pochopnych? Ależ, panie! — krzyknęła wzburzona Morwena. — Jeśli mój syn błąka się gdzieś głodny po lasach, jeśli cierpi w więzach lub też ciało jego poniewiera się nie pogrzebane, gotowa jestem na wszelką nierozważę. W tej godzinie ruszyłabym w drogę, by go odszukać.

— Pani Dorlominu — odparł Thingol — tego akurat syn Hurina z pewnością by nie pragnął. Uważałby, że pod opieką Meliany bezpieczniejsza jesteś niż w każdym innym zakątku świata. Przez wzgląd na Hurina i Turina nie pozwolę ci w tych mrocznych czasach oddalać się z mego królestwa.

— Turina od niebezpieczeństwa nie ustrzegłeś, a mnie zabronisz, bym mu po-

mogła! — krzyknęła Morwena. — Pod opieką Meliany! Powiedz raczej, że będę więźniem Obręczy! Długo się wahałam, jednak przekroczyłam twe granice, czego szczerze żałuję.

— Skoro tak mówisz, pani Dorlominu, to wiedz, że Obręcz stoi przed tobą otworem. Wolno ci tu przyjść, wolno zostać, ale możesz też odejść.

Wówczas odezwała się milcząca do tej pory Meliana:

— Nie odchodź, Morweno. Prawdę powiadasz, że to Morgoth rozsiewa owe sprzeczne pogłoski. Wyruszając w drogę, wypełnisz jego wolę.

— Lęk przed Morgothem nie powstrzyma mnie przed odpowiedzią na zew krwi — odparła Morwena. — A jeśli boisz się o mnie, panie, to użycz mi paru swoich ludzi.

— Tobie niczego rozkazać nie mogę — powiedział Thingol. — Moi poddani jednak muszą mnie słuchać. Sam zdecyduję, czy ich wysłać.

Morwena nic już nie odpowiedziała, tylko odeszła z płaczem, Thingol zaś pograżył się w zadumie nad stanem umysłu matki Turina. Wydała mu się bliska obłądu, więc spytał Melianę, czy ta swoimi mocami nie mogłaby powstrzymać Morweny.

— Wiele potrafię zdziałać przeciwko złu, gdy chce tu wtargnąć — stwierdziła Meliana — ale bezradna jestem wobec tych, którzy pragną stąd odejść. To twoje zadanie. Jednak tylko siłą udałoby ci się jej przeszkodzić. A wówczas może się zdarzyć, że ze szczeniem oszaleje.

Morwena zaś poszła do Nienor i powiedziała jej:

— Żegnaj, córko Hurina. Idę szukać mego syna lub prawdziwych wieści o nim, skoro tutaj nikt nic nie chce dlań zrobić, a tylko wszyscy zwlekać są gotowi, aż będzie za późno. Czekaaj tu na mnie, aż wrócę szczęśliwie.

Przerażona i strapiona Nienor próbowała powstrzymać matkę, ale Morwena nie rzekła już ani słowa, tylko wyszła z komnaty, a wraz z nadejściem poranka wzięła konia i odjechała.

Thingol rozkazał, by nikt nie próbował jej zatrzymać ni skłaniać do powrotu, ale gdy tylko zniknęła za horyzontem, zebrał kompanię najlepszych i najwytrwalszych strażników pogranicza i oddał ich pod dowództwo Mablunga.

— Ruszajcie żywo za Morweną — polecił — ale niech was nie spostrzeże. Gdyby jednak jakieś niebezpieczeństwo zagroziło jej w głuszy, wówczas ujawnijcie swą obecność.

— Jeśli nie zechce zawrócić, strzeżcie jej ze wszystkich sił, a kilku niech wysforuje się do przodu i sprawdzi szlak.

Tak oto wysłał Thingol drużynę większą niż pierwotnie zamierzał, a jeźdźcy wiedli ze sobą aż dziesięć luzaków. W ślad za Morweną podążyli na południe,

przez Region, aż dotarli do brzegów Sirionu powyżej Stawów Zmierzchu. Tam Morwena przystanęła, nie znając drogi przez szeroką i bystrą rzekę, i strażnicy musieli w tej potrzebie wychynąć z ukrycia.

— Czy Thingol zamierza mnie zatrzymać? — spytała. — Czy też może jednak wysłał tę pomoc, której z początku mi odmówił?

— I jedno, i drugie — odparł Mablung. — Zawrócisz, pani?

— Nie!

— Zatem muszę ci pomóc, chociaż wcale tego nie pragnę. Szeroki i głęboki jest Sirion, niebezpieczny zarówno dla człowieka, jak i dla zwierzęcia.

— No to przenieście mnie na drugi brzeg elfim sposobem, jakkolwiek to czynicie. W przeciwnym razie spróbuję przepłynąć rzekę.

Wobec takich słów Mablung zaprowadził ją do Stawów Zmierzchu, gdzie na południowym brzegu, skryte pośród strug i strumyków, czekały pod strażą promy służące zwykle posłańcom krążącym pomiędzy Thingolem a jego krewniakom w Nargothrondzie⁵⁶. Poczekawszy, aż zapadnie głęboka, gwiaździsta noc, przeprawili się pod osłoną zwiastującej świt mgły. Gdy słońce wzeszło czerwienią ponad Górąmi Błękitnymi i silny podmuch wiatru rozpędził opary, strażnicy wspięli się na zachodni brzeg, opuszczając Obręcz Meliany. Byli wszyscy wysokimi elfami z Doriathu. Pod szarymi płaszczami nosili kolczugi. Morwena przyglądała im się z promu, gdy milcząco przechodzili obok, nagle jednak krzyknęła, wskazując na ostatnią postać w szeregu.

— A on tu skąd? — spytała. — Gdy przybyliście, było was trzykroć po dziesięciu, a na brzeg wysiadło trzykroć po dziesięciu i jeden!

Na co wszyscy odwrócili się i w blasku słońca ujrzeli złote włosy wyglądające spod odrzuconego wiatrem kaptura: to była Nienor, która, jak się okazało, podążyła skrycie za kompanią i przyłączyła się do niej w mroku na chwilę przed przeprawą. Zapanowała ogólna konsternacja, najżywiej jednak zareagowała Morwena.

— Wracaj! Rozkazuję ci, wracaj! — krzyknęła.

— Jeśli żona Hurina może wbrew wszelkim radom odpowiedzieć na zew krwi — odparła Nienor — to i córce Hurina wolno to uczynić. Nazwałam mnie Żalobą, jednak nie zamierzam samotnie opłakiwać ojca, brata, a także matki, chociaż ciębie tylko dane mi było poznać. I ciebie kocham ponad wszystko. Nic, co nie przeraża Morweny, nie natchnie strachem i Nienor.

Oblicze jej mówiło po prawdzie coś innego, zdradzając niejaki lęk, była to jednak dziewczyna wysoka i silna na oko, podobna okazałą postawą do wszystkich potomków rodu Hadora. Niewiele odbiegała przez to wyglądem od strażników,

⁵⁶ Por. Dodatek, gdzie mowa jest o tym, jak to Orodreth „tajemnie” wymieniał wieści z Thingolem.

ustępując tylko najroślejszym.

— Co zamierzasz? — spytała Morwena.

— Iść tam, gdzie ty — odrzekła Nienor. — Możesz odprowadzić mnie i oddać pod opiekę Melianie, bo niemądrze jest odrzucać jej radę. W przeciwnym jednak razie wiedz, że pójdę za tobą, bez względu na niebezpieczeństwa. Taki oto wybór ci daję. — W skrytości ducha Nienor liczyła przede wszystkim na to, że matka wiedzona miłością i strachem o córkę, jednak zawróci. Morwena zaś była rzeczywiście rozdarta wewnątrz.

— Odrzucać radę to jedno — powiedziała — a okazać nieposłuszeństwo matce, to co innego. Wracaj zaraz!

— Nie. Dawno już nie jestem dzieckiem i sama potrafię o sobie decydować, chociaż nigdy dotąd ci się nie sprzeciwiałam. Idę z tobą. Przez wzgląd na władców tej krainy, wolałabym zawrócić do Doriathu, ale jeśli przyjdzie ruszyć na zachód, też sama się nie cofnę. Prawdę mówiąc, jeśli któraś z nas winna już tam iść, to ja raczej, będąc w pełni sił. — Wówczas Morwena ujrzała w jej szarych oczach tę samą nieugiętość, która cechowała Hurina, i zawahała się. Wciąż jednak była zbyt dumna i nie chciała, by ktokolwiek odniósł wrażenie, że wygłosivszy deklarację, Morwena pozwala jednak córce odprowadzić się do domu niczym zdziecinniała staruszka.

— Pójdę dalej, jak zamierzyłam — powiedziała. — Chodź i ty, chociaż wbrew mojej woli.

— Niech będzie i tak — odrzekła Nienor.

— Zaprawdę, nie odwagi, ale rozwagi brakuje potomkom Hurina i przez to właśnie ściągają nieszczęścia na innych! Turin nie jest inny. Odmienni byli jego ojcowie. Teraz jednak ród Hurina oszalał i wcale mi się to nie podoba. Bardziej obawiam się tej misji, którą powierzył nam Król, niż polowania na wilka. Co czynić?

Morwena, który wyszła już na brzeg i zbliżyła się do kompanii, usłyszała tylko ostatnie jego słowa.

— Czyń, jak ci Król nakazał — powiedziała. — Nasłuchuj wieści o Nargothrondzie i o Turinie. Po to właśnie wszyscy wyruszyliśmy.

— Długa jednak i niebezpieczna przed nami droga — odparł Mablung. — Przyjdzie wam obu dosiąść koni, jechać pomiędzy wojownikami i nie oddalać się ani na krok od drużyny.

W pełni dnia ruszyli dalej, powoli i czujnie przemierzając kraj porośnięty trzcinami i niskimi wierzbami, aż dotarli do szarych lasów okrywających większą część południowej równiny na drodze do Nargothrondu. Cały dzień kierowali się ku zachodowi, nie spotykając nikogo pośród martwych i milczących ruin. Zdało się Mablungowi, że strach czai się pośród ciszy. Gdy wiele lat temu Beren przemierzał

tę drogę, odprowadzały go skrycie oczy licznych myśliwych, teraz jednak ludzie odeszli znad Narogu, a Orkowie, jak się zdawało, nie zapuszczali się aż tak daleko na południe. Noc drużyna spędziła w lasach, nie paląc lamp ni ogniska. Minęły jeszcze dwa dni. Trzeciego wieczora zbliżyli się do miejsca, gdzie równina kończyła się wschodnim brzegiem Narogu. Mablunga ogarnął wówczas taki niepokój, iż błagać zaczął Morwenę, by nie ruszała dalej. Ta jednak roześmiała się w głos.

— Niedługo już się nas pozbędziesz, najpewniej z radością — powiedziała. — Ale wytrzymaj jeszcze trochę. Za blisko już podeszliśmy, by zawracać ze strachu.

— Obieście zmysły postradały, śmiejąc się z niebezpieczeństwa. Nie tylko nie pomagacie nam w zbieraniu wieści, ale jeszcze rzecz utrudniacie. Słuchajcie! Nie kazano mi powstrzymać was siłą, ale chronić, jak tylko potrafię, i zamierzam wypełnić to zadanie. Jutro ruszamy na Amon Ethir, Wzgórze Czatów, które wznosi się niedaleko stąd. Tam zostaniecie pod strażą i dopóki ja dowodzę, nigdzie dalej nie pójdziecie.

Amon Ethir był to kopiec wielki jak góra, który Felagund kazał usypać niegdyś na równinie przed Bramą Nargothrondu, o milę na wschód od koryta Narogu. Całe to, wiele pracy kosztujące, wzniesienie porastały drzewa i tylko wierzchołek pozostawał nagi. Było zeń widać dobrze wszystkie drogi wiodące z wielu stron do wielkiego mostu Nargothrondu. Drużyna dotarła tam późnym rankiem, wspinając się od wschodu aż na sam szczyt. Stamtąd spojrzeli na Wysoki Faroth, nagi i brunatny kraj rozciągający się za rzeką⁵⁷, a Mablung, jako że elfie miał oczy, dojrzał nawet Nargothrond wznoszący się tarasami na stromym zachodnim brzegu oraz mały, czarny otwór Bramy Felagunda w ścianie wzgórza. Nie słyszał jednak nic, nie widział też ani śladu nieprzyjaciela ni smoka, tylko wokół wrót czerniło się wciąż spalenizną dzieło zniszczenia uczynione przez bestię w dniu napaści. Krajobraz trwał cichy i nieruchomy w bladym blasku słońca.

Zgodnie z zapowiedzią, Mablung rozkazał dziesięciu jeźdźcom strzec Morweny i Nienor na wierzchołku wzgórza i nie ruszać się stamtąd, chyba że w obliczu śmiertelnego niebezpieczeństwa, a wtedy, nie czekając na jego powrót, strażnicy mieli wziąć obie niewiasty pomiędzy siebie i uciekać ile sił w kierunku Doriathu, jednego wysyłając przodem, by zaniósł wieści i wezwał pomoc.

Potem zebrał pozostałych i ruszył z nimi ku polom na zachodzie. Niewiele rośło tu drzew, toteż przekradać się musieli w pojedynkę, by dotrzeć ostatecznie na brzeg rzeki. Mablung przemykał pośrodku, kierując się do mostu, ale gdy tam do-

⁵⁷ W *Silmarillionie* (str. 146) Wysoki Faroth lub Taur-en-Faroth, określane są jako „wielkie lesiste pagóry”. Pojawiające się w tym tekście stwierdzenie, iż był to: „nagi i brunatny kraj” odnosi się zapewne do braku liści na drzewach u progu wiosny.

tarł, dostrzegł jedynie kamienie leżące w płytkim nurcie, spienionym i bystrym po obfitych deszczach na dalekiej północy.

Glaurung jednak był na miejscu. Przyciął się w cieniu tunelu za zniszczoną Bramą i od dawna już wiedział o pojawieniu się szpiegów. Mało kto w Śródziemiu mógłby ich wypatrzeć, jednak smok lepiej od orłów widział swoimi kaprawymi ślepiami i dalej wzrokiem sięgał niż elfy. Wiedziała też bestia o gromadce pozostawionej na szczycie Amon Ethir.

I gdy tak Mablung ostrożnie posuwał się pomiędzy głazami, wypatrując, czy nie dałoby się jednak przejść po ruinach mostu na drugi brzeg, Glaurung runął do rzeki, zionąc ogniem z pyska. Rozległ się ogłuszający syk i kłęby straszliwie smrodliwej pary ogarnęły Mablunga i jego podwładnych. Ci próbowali uciekać, na wyczucie kierując się ku Wzgórzu Czat. Mablung jednak wpełzł pod wielki kamień i trwał w schronieniu, aż Glaurung przeszedł rzekę. Elf uznał, że jeszcze do końca nie wykonał swego zadania. Wiedział już teraz wprawdzie, że smok zaległ w Nargothrondzie, nieznany wszakże pozostawał wciąż los syna Hurina. Dzielne mając serce, Mablung zamierzył odczekać, aż Glaurung odleci, a potem dostać się na drugi brzeg i przeszukać zamek Felagunda. Uważał, że uczynił wszystko, co możliwe, aby ochronić Morwenę i Nienor, boć smok musiał być dobrze widoczny ze wzgórza i oddział winien już od dłuższej chwili galopować w stronę Doriathu.

We mgle zarysowała się wielka sylwetka chyżo pomykającego smoka, bo choć bestia była rosła, to jednak zwinna. Zaraz też, nie bacząc na niebezpieczeństwo, Mablung przeszedł rzekę. Tymczasem strażnicy na szczycie Amon Ether, gdy tylko dostrzegli wynurzającego się z mroku gada, choć sami zaskoczeni, bez zbędnego gadania kazali Morwienie i Nienor dosiąść wierzchowców i wedle umowy, ruszyli z nimi na wschód. Gdy jednak dotarli na równinę u stóp wzgórza, ogarnęły ich tumany oparów tak smrodliwych, że oślepienie mgłą i przerażone smoczym odorem konie wpadły w panikę. Ganiały w tę i nazad, aż grupa się rozproszyła, a część strażników poraniła się dotkliwie, wpadając na drzewa. Pozostali szukali się daremnie, aż rżenie koni i krzyki jeźdźców dotarły w końcu do uszu Glaurunga, który wielce się tymi odgłosami uradował.

Jeden z błędzących we mgle elfów dostrzegł jeszcze Morwenę, mijającą go niczym szara zjawa na oszalałym rumaku, ale zniknęła szybko z okrzykiem „Nienor!” i więcej już jej nie ujrzał.

Koń Nienor potknął się na samym początku, gdy tylko chaos zapanował wśród szeregów, i zrzucił dziewczynę z grzbietu. Spadła na trawę, na szczęście nie doznając poważniejszych obrażeń, jednak gdy podniosła się wreszcie, była sama, zagubiona we mgle, bez wierzchowca i towarzyszy. Nie zlekła się, tylko pomyślała, że nie ma sensu błędzić za rozlegającymi się wszędzie wkoło, coraz słabiej zresz-

tą, krzykami. Stwierdziła, że o wiele mądrzej będzie zawrócić ku wzgórzu. Przecież Mablung nie odjedzie stąd nie sprawdzwszy pierwej, czy nikt nie pozostał na wierzchołku.

Idąc na oślep, znalazła drogę do bliskiego zaiste wzniesienia i zaczęła wspinaczkę wschodnią ścieżką. Im wyżej, tym mniej gęsty był opar. W końcu wyszła na zalany słońcem nagi szczyt. Postąpiła krok i spojrzała ku zachodowi, gdy nagle ujrzała przed sobą wielki łeb Glaurunga, który wdrapał się na Amon Ethir z przeciwnej strony. Zanim zdążyła uczynić cokolwiek, spojrzała mu w ślepie, straszne od wszystkiego zła, które wsączył w potwora jego pan, Morgoth.

Nienor miała dość siły, by stawić opór smokowi, za mało jednak, by nie ulec.

— Czego tu szukasz? — spytał.

— Jednego tylko Turina — odparła, zmuszona do odpowiedzi. — Mieszkał tu czas jakiś. Ale chyba nie żyje.

— Tego nie wiem — odrzekł Glaurung. — Został, by bronić kobiet i wszelkiej mizeroty, ale gdy przybyłem, porzucił ich i uciekł. Mocny w gębie, ale tchórz. Cemu właśnie jego poszukujesz?

— Kłamiesz — stwierdziła Nienor. — Dzieciom Hurina w żadnym razie nie brak odwagi. Nie boimy się ciebie.

Wtedy Glaurung roześmiał się, mówiąc bowiem te słowa, Nienor odsłoniła się przed nim niebacznie.

— Obojeście głupi, ty i twój brat. Zwykłe, próżne przechwałki. Ja jestem Glaurung!

Potem wpił w nią ślepie i narzucił jej swą wolę, a Nienor zdało się, że słońce zbladło i wszystko wkoło poszarzało.

Zaczął ogarniać ją wielki mrok, ciemna pustka, w której dziewczyna niczego już nie wiedziała, niczego nie słyszała, niczego nie pamiętała.

Długo krążył Mablung po salach Nargothrondu, nie znajdując ani jednej żywej duszy. Nic, tylko fetor i cienie. Nawet najmniejszy ruch nie powstał pośród martwych kości, nikt nie odpowiedział na jego krzyki. Wreszcie, przerażony panującą na tej przestrzeni grozą i obawiając się nadejścia Glaurunga, podążył ku Bramie. Słońce tonęło już na zachodzie i cień Faroth mrokiem spowijał terasy i rwącą rzekę, ale zdało się Mablungowi, że dostrzega u stóp Amon Ethir złowrogą sylwetkę smoka. Droga powrotna była o wiele cięższa i bardziej niebezpieczna, a to przez pośpiech i targający elfem lęk. Ledwo zdołał Mablung przepawić się przez rzekę i schronić pod przeciwległym brzegiem, gdy Glaurung ruszył do legowiska. Teraz jednak szedł powoli i ociężale. Ognie w nim ledwie się tliły, moc zeń uszła i jedynym zamiarem bestii było ułożyć się do snu w ciemności. Wykonując skręty cielska, smok przepłynął rzekę i niczym wielki, popielatoszary wąż poszorował brzu-

chem po ziemi w kierunku Bramy.

Zanim jednak zniknął we wnętrzu, odwrócił się jeszcze, spojrzął na wschód i roześmiał się śmiechem Morgotha, a był to rechot cichy, ale straszny, przesycony złem płynącym z najgłębszych czarnych otchłani. Potem zaś rozległ się zimny i niski głos:

— Jako mysz kryjesz się pod skarpą, potężny Mablungu! Źle wypełniasz polecenia Thingola. Pospieszaj na górę, a ujrzysz, co stało się z twoją podopieczną!

I zniknął w legowisku. Słońce zaszło i wraz z szarym wieczorem zapanował przenikliwy chłód. Mablung jednak podążył na Amon Ethir. Nim dotarł na samą górę, gwiazdy zaśniły na niebie i w ich to blasku ujrzał postać mroczną i nieruchomą, jakby z kamienia wyciosaną. To była Nienor, głucha na jego słowa i milcząca. Gdy jednak ujął jej rękę, drgnęła i poszła za nim. Wystarczyło wszakże rozluźnić uchwyt, a przystawała.

Pełen wielkiego żalu i zakłopotania, Mablung, sam i bez pomocy, nic nie mógł uczynić innego, jak tylko poprowadzić Nienor na wschód, choć daleką drogę musieli pokonać. Całą noc maszerowali przez otuloną mrokiem równinę niczym lunatycy, a gdy ranek nastał, Nienor potknęła się i upadła, a zrozpaczony elf przysiadł na ziemi obok nieruchomej postaci.

— Nie bez racji bałem się tej wyprawy — powiedział. — To chyba będzie moja ostatnia. Przepadnę na pustkowiach z tą pechową córką człowieczego rodu, a jeśli dotrą kiedy do Doriathu wieści o naszym losie, to jeszcze imię me okryje się hańbą. Reszta pewnie nie żyje, ją jedną bestia oszczędziła, ale nie z miłosierdzia.

Tak natknęło się na nich trzech jeszcze strażników, którzy umknęli od Narogu, jak tylko smok się pojawił, a gdy mgła opadła, dotarli wreszcie na szczyt wzgórza. Nie znajdując tam nikogo, zaczęli rozglądać się za drogą powrotną. Nadzieja wróciła Mablungowi i razem ruszyli dalej, kierując się na północny wschód, nie było bowiem wstępu do Doriathu od południa. Od czasu upadku Nargothrondu strażnicy promów wzbronione mieli przewozić kogokolwiek z tamtego brzegu i służyli wyłącznie opuszczającym królestwo.

Grupa podróżowała powoli, jako że prowadzono utrudzoną dziewczynę. W miarę jednak, jak oddalali się od Nargothrondu i zbliżali do Doriathu, Nienor zdawała się odzyskiwać siły. Potrafiła maszerować posłusznie całymi godzinami, jeśli tylko wiodło się ją za rękę, chociaż szeroko otwarte oczy niczego wciąż nie dostrzegały. Nieszczęsna nie reagowała też na głosy i nie powiedziała wciąż ani słowa.

Nareszcie po wielu dniach wędrowcy zbliżyli się do zachodnich kresów Doriathu, nieco na południe od Teiglinu. Zamierzali przekroczyć granicę niewielkiego kraju Thingola za Sirionem i dotrzeć do strzeżonego mostu w pobliżu dopływu

Esgalduiny. Tam zatrzymali się na krótki popas i ułożyli Nienor na posłaniu z trawy. Po raz pierwszy od fatalnego spotkania zamknęła wówczas oczy i zdało się, że śpi, elfy tedy również ułożyły się na spoczynek, ze zmęczenia zapominając o wystawieniu straży. Toteż zaskoczyła ich napaść bandy Orków, jednej z wielu, jakie odważały się wówczas zapuszczać aż pod same granice Doriathu. Pośród bitewnego zamieszania Nienor zerwała się nagle z posłania i niczym ktoś obudzony nagle śródnocnym alarmem, z krzykiem rzuciła się do ucieczki. Orkowie natychmiast pogonili za nią do lasu, elfy pobiegły ich śladem. Nienor jednak ocknęła się jak nie ta sama i niczym łania umknęła wszystkim, i tylko jej włosy powiewały na wietrze między drzewami. Mablung z kompanami dogonili szybko Orków, zabijając ich po kolei, ale Nienor zniknęła im do tego czasu z oczu i nigdzie nie powstał po niej najmniejszy ślad. Daremnie szukali dziewczyny przez wiele dni.

W końcu, przytłoczony brzemieniem żalu i zawstydzony Mablung wrócił do Doriathu.

— Wybierz nowego łowczego, panie — powiedział Królowi. — Ja okryłem się hańbą.

— Nie masz racji, Mablungu — odparła wszakże Meliana. — Uczyniłeś, co było w twojej mocy i nikt z królewskich sług nie sprawiłby się lepiej. Los zrządził jednak, że z nazbyt wielkim przeciwnikiem przyszło ci się mierzyć. Nie ma obecnie w Śródziemni nikogo, kto temu wrogowi stawiłby czoło.

— Wysłałem cię, byś zebrał wieści i to zadanie wykonałeś — powiedział Thingol. — Nie twoja wina, że osoby, które najpilniej owych nowin wypatrywały, nie mogą ich teraz wysłuchać. Smutny koniec spotkał ród Hurina, ale nie rzuca to cienia na twe imię.

Nie tylko Nienor bowiem zaginęła w głuszy, ale i Morwena gdzieś przepadła i ani wtedy, ani potem, żadne pewne wieści o jej losie nie dotarły do Doriathu czy do Dorlominu. Na darmo Mablung zrezygnował z odpoczynku, by z nieliczną drużyną wyprawić się w dzikie ostępy, na próżno przemierzał je przez trzy lata, docierając od Ered Wethrin aż do ujścia Sirionu, bezskutecznie wypatrywał zaginionych i nastawiał ucha.

Nienor w Brethilu

Słyszając za plecami krzyki pogoni, Nienor pobiegła w las. Po drodze zdarła z siebie ubranie i naga umykała potem przez cały dzień, niczym zwierzę ścigane aż do wyczerpania, nie odważając się nawet przystanąć dla zaczerpnięcia oddechu. Wieczorem jednak szaleństwo przeszło nagle i zamarła, jakby zdumiona, po czym zmęczenie wzięło górę i niczym gromem rażona padła bezwładnie pomiędzy wysokie paprocie. Na nic nie zważając, zasnęła pośród liści starych orlic i młodych, wiosennych pędów.

Obudziła się nad ranem, a blask dnia uradował ją, jakby pierwszy raz ujrzała go na oczy. Wszystko było dla niej nowe i dziwne, i nie знаła nazwy żadnej rzeczy, jako że ciemność pochłonęła wszystkie przeszłe chwile i nie docierało z mroków ani żadne wspomnienie, ani echo znajomego słowa. Zostało jej tylko ulotne wrażenie strachu, nakazujące szukać schronienia w konarach drzew i nocować w największym gąszczu. Czujnie rozglądała się wkoło, reagując ucieczką na najlżejszy szelest czy poruszenie, niczym wiewiórka albo lis popatrując potem z ukrycia, nim znowu odważyła się wyjść.

Podążając wciąż w kierunku wytyczonym przez pierwszy, paniczny zryw, dotarła do Teiglinu, gdzie tylko ugasiła pragnienie, szukać bowiem pożywienia w lesie nie potrafiła, a przypadkiem nic nie znalazła, pozostała więc głodna i zziębnięta. Ponieważ wydało się jej, że drzewa na drugim brzegu gęściej rosną i bardziej cienisty jest tam las (co było prawdą, gdyż patrzyła na skraj Brethilu), przepłynęła rzekę i dotarła do zielonego pagórka, gdzie padła na murawę. Skrajnie wyczerpanej dziewczynie zdawało się, że zalegająca w przeszłości ciemność znów ją ogarnia, przyćmiewając słońce.

Naprawdę to burza mroczyła od południa, niosąc zwały czarnych chmur brzemiennych deszczem i błyskawicami. Nienor kuliła się, przerażona hukiem gromów, a ulewa smagała jej nagie ciało.

Zdarzyło się jednak w tej godzinie, że kilku leśnych ludzi z Brethilu zapuściło się aż tutaj w pogoni za Orkami. Banda umykała ku brodom na rzece, niewie-

le dalej mając swą kryjówkę, gdy nagle piorun uderzył potężnie w ziemię, aż kurhan Haudh-en-Elleth rozgorzał białym płomieniem. Prowadzący oddział Turambar obejrzał się, zatrząsł i zakrył oczy, zdało mu się bowiem, że na grobie Finduila-sy spoczywa ciało zabitej kobiety.

Jeden z ludzi podbiegł do wzgórza i krzyknął:

— Tutaj, panie! To młoda dziewczyna. Jeszcze żyje!

Turambar podszedł i uniósł dziewczę, które zadrżało i zamknęło oczy, ale nie próbowało się uwolnić. Woda pociekła z jasnych włosów. Zdumiony nagością obcej, Turambar okrył ją swoim płaszczem i zaniósł do skrytej w lesie chaty myśliwych. Tam rozpalili ogień i okryli ciepło nieszczęsną, aż uniosła powieki i spojrzała na zgromadzonych. Gdy dostrzegła Turambara, twarz jej się rozjaśniła i wyciągnęła ku niemu rękę, odniosła bowiem wrażenie, że trafiła na coś, czego szukała, błędząc w ciemnościach.

Spokój spłynął na nią, gdy Turambar ujął delikatną dłoń, uśmiechnął się i powiedział:

— A teraz, pani, czy wyjawisz nam swoje imię i opowiesz, jakie to nieszczęście cię spotkało?

Ona jednak potrząsnęła tylko głową i załkała w odpowiedzi, zatem nie indagowali jej więcej. Zjadła łapczywie wszystko, co tylko dla niej znaleźli. Gdy nareszcie nasyciła się i odetchnęła, ujęła dłoń Turambara, a ten stwierdził:

— Z nami jesteś bezpieczna. Możesz odpocząć tu przez noc, a nad ranem zaprowadzimy cię do naszej osady w głębi lasu. Chcielibyśmy jednak wiedzieć, jak się nazywasz i skąd pochodzisz, byśmy mogli spróbować odszukać twoich krewnych i zawiadomić ich o twym losie. Niczego nam nie rzekniesz?

Dziewczyna znów się rozplakała.

— Nie przejmuj się! — powiedział Turambar. — Może zaiste jest to historia zbyt smutna, by ją wypowiedzieć. Ja jednak nadam ci imię, a brzmiało ono będzie Niniel, Dziewczyna we Łzach. — Słyszac nowe imię, złotowłosa spojrzała na Turambara i potrząsnęła głową, ale powtórzyła: Niniel. Tak oto odezwała się po raz pierwszy od nadejścia ciemności i pod tym imieniem już zawsze znana była pomiędzy ludźmi lasu.

Nad ranem poprowadzili ją do Ephel Brandir. Droga wiodła stromo pod górę ku Amon Obel. W końcu dotarli do miejsca, gdzie przekroczyć trzeba było pienisty strumień Kelebros. Stał tam drewniany most, pod którym woda przemykała wygładzonym, kamiennym korytem, by runąć licznymi progami do skalnej misy daleko w dole. Powietrze pełne było wodnej mgiełki, wokół trawiastej polany przy progach wodospadu rosły brzozy, z samego jednak mostu roztaczał się widok na odległe o dwie mile jary nad brzegami Teiglinu. W gorący letni dzień węc

drowcy zwykli przystawać tu, by zimną wodą ugasić pragnienie. Wodospad zwano Dimrost, Deszczowe Schody, tamtego jednak dnia zmienił nazwę na Nen Girth, Drżąca Woda. Turambar zatrzymał się tam z towarzyszami, gdy tylko jednak Niniel dotarła do tego zakątka, chłód ją ogarnął i dostała dreszczy. Żadnym sposobem nie mogli jej ani ogrzać, ani uspokoić, czym prędzej ruszyli więc w dalszą drogę, ale zanim dotarli do Ephel Brandir, Niniel zagorączkowała.

Długo leżała chora, a Brandir leczył ją, jak umiał najlepiej, i żony leśnych ludzi czuwały przy dziewczynie w dzień i w nocy, jednak uspokajała się tylko w obecności Turambara, wtedy też zasypiała mocno, bez jęków. Wszyscy, którzy się nią opiekowali, na jedno zwrócili uwagę: nawet w gorączce nie wyszeptala ni słowa, ani w języku elfów, ani w żadnej innej mowie. Gdy niepewnie, ale jednak wstała i znów mogła jeść, kobiety z Brethilu zaczęły uczyć ją mówić. Niczym dziecko opanowywała tę sztukę słowo po słowie, szybko czyniąc postępy i radując się tym niczym ktoś, kto odzyskuje odebrane mu niegdyś skarby. Gdy umiała już dość, by rozmawiać z przyjaciółmi, nieraz pytała:

— Jak to się nazywa? Zaginęła mi ta nazwa w mrokach.

Ozdrowiała na tyle, by wyjść za próg, często zachodziła do domu Brandira, najchętniej bowiem poznawała nazwy wszystkiego, co żyje, a on był biegły w tej materii. Niejednokrotnie spacerowali razem po ogrodach i polanach.

W końcu Brandir pokochał ją, a ona, odzyskawszy siły, podsuwała chromemu ramię i zwała go bratem. Serce jednak oddała Turambarowi i tylko na jego widok się uśmiechała, nierzadko nawet chichotem mu odpowiadając.

Pewnego wieczoru złotej jesieni, gdy siedzieli na cichym i zalanym słońcem stoku wzgórze ponad domami Ephel Brandir, Niniel rzekła:

— O wszystko już pytałam i tylko twojego imienia jeszcze nie znam. Jak się nazywasz?

— Turambar.

Zamyśliła się, jakby wsłuchana w dobiegające z oddali echo, w końcu powiedziała:

— A czy to coś znaczy, czy też jest tylko imieniem?

— To znaczy Pan Mrocznego Cienia. Bo i ja, Niniel, znam mroki, w których ginie niejedno bliskie sercu wspomnienie. Jednak zwyciężyłem już chyba Ciebie.

— Ty także uciekłeś przed nim aż do samego środka tych lasów? Kiedy to było, Turambarze?

— Wiele lat umykałem. Długo ciemność zalegała wkoło mnie i nie zaznałem spoczynku, aż do chwili, gdy cię spotkałem. Jednak od tamtej pory znam światło, bo wciąż zdaje mi się, że oto znalazłem coś, czego długo na próżno szukałem.

A gdy wracał o zmierzchu do domu, powiedział sobie:

— Haudh-en-Elleth! Ten zielony kurhan, na którym ją ujrzałem. Jeśli to jest znak, jak go mam odczytać?

Złocista jesień przeszła w łagodną zimę, po czym znów zawitała pogodna wiosna. Spokój panował w Brethilu, mieszkańcy osady przyczaili się w lasach i nie wychodzili spomiędzy drzew, więc nie dobiegały ich żadne wieści z sąsiednich krain. Tymczasem Orkowie dotarli w marszu na południe aż do ponurego królestwa Glaurunga, zapuszczali się też na przespiegi pod granice Doriathu. Przechodząc przez brody na Teiglinie, coraz częściej i dalej nawiedzali tereny na zachód od rzeki.

Niniel wyzdrowiała już całkowicie. Była silna i piękna, toteż Turambar nie wstrzymywał się już dłużej, tylko zaproponował jej małżeństwo. Niniel przyjęła oświadczyń z radością, ale gdy Brandir się o tym dowiedział, zasmucił się wielce i powiedział dziewczynie:

— Tylko nie pospieszajcie zbyt! Nie myśl o mnie źle, ale radzę wam jeszcze poczekać.

— Każde twe słowo przyjmę z wdzięcznością — odparła. — Ale czemu sugerujesz, by odwlec zaślubiny, mądry bracie?

— Mądry bracie? Kulawy raczej, niekochany i niemiły. A niezbyt wiem, czemu. Chyba obawiam się Cienia, który otula wciąż tego męża.

— Cień już przeminął. Turambar sam mi to wyjawiał. Tak jak ja, uciekł niegdyś przed nim. Czy nie jest wart miłości? Chociaż spokojny teraz, niegdyś był wielkim wodzem. Umykali wszyscy wrogowie, ledwie go ujrzeli.

— Skąd o tym wiesz?

— Od Dorlasa. Czyżby skłamał?

— Nie, prawdę rzekł — odrzekł Brandir, wielce niezadowolony, Dorlas bowiem właśnie przewodził tym, którzy domagali się wydania Orkom wojny. — Ale nie powiedział wszystkiego — dodał po chwili, szukając sposobu, by skłonić Niniel do zwłoki. — Turambar był bowiem wodzem w Nargothrondzie, przedtem zaś przybył z Północy. Powiadają, że to syn Hurina z Dorlominu, dziedzic wojowniczego rodu Hadora. — Przy tych słowach cień przeniknął przez twarz dziewczyny, ale Brandir odczytał to po swojemu i ciągnął dalej. — Tak, Niniel. Łatwo sobie wyobrazić, jak wyruszy pewnego dnia na wojnę, może gdzieś daleko, a jak ty to wówczas zniesiesz? Rozważ me słowa, czuję bowiem wyraźnie, że jeśli Turambar raz jeszcze stanie do boju, wówczas nie on, tylko Cień wygra ten pojedynek.

— Poradzę sobie — odparła. — I wszystko jedno, czy przyjdzie nam się rozstać przed czy po ślubie. Może zresztą ożenek nieco go utemperuje i odsunie Cień. — Niemniej Brandir zasiał ziarno zwątpienia i Niniel poprosiła Turambara, by poczekał jeszcze trochę. Zdumiał się Turambar tą nagłą przemianą, ale gdy dowie-

dział się od dziewczyny, że to Brandir doradził jej odsunąć wesele, wówczas wpadł w złość.

Następnej wiosny powiedział Niniel:

— Czas mija. Dość już zwlekaliśmy. Czyń, jak ci serce nakazuje, Niniel ukochana, ale zważ, że i mnie czeka wybór. Albo znowu ruszę na wojnę, albo cię poślubię i nigdy już nie stanę do walki, chyba żeby w twojej obronie, gdyby zło jakieś zagroziło naszemu domowi.

Ucieszyła się szczerze, dała słowo i pobrali się w środku lata, a mieszkańcy lasu urządzili wielką ucztę i ofiarowali im piękny dom wzniesiony specjalnie dla nich na stoku Amon Obel. Tam zamieszkali w szczęściu, Cień jednak rzucając na serce Brandira, który posepniał coraz bardziej.

Nadejście Glaurunga

Szybko rosła potęga Glaurunga i coraz większa złość go przepęlniała, aż utyw-
szy niepomrotnie, zebrał wokół siebie gromady Orków i zaczął panować nad nimi
jako Smoczy Król, cały obszar Nargothrondy uznając za swoje lenno. Zanim do-
biegł końca trzeci rok pobytu Turambara między leśnymi ludźmi, smok zaczął na-
jeżdżać okolice lasu Brethilu, dotąd zostawianego w spokoju. Jednak to, że mię-
dzy drzewami żyją jeszcze wolni ludzie, ostatni spośród Trzech Rodów, gotowi
przeciwstawić się potędze Północy, nie było tajemnicą ani dla Glaurunga, ani dla
jego pana, którzy takiego stanu rzeczy dłużej cierpieć już nie mogli. Pragnący bo-
wiem całego Beleriandu Morgoth zamierzał przetrząsnąć starannie wszystkie za-
kątki krainy, tak by nie ostał się w jakiejś kryjówce czy norze nikt żywy, kto mógł-
by mu zagrozić. Nie miało zatem większego znaczenia, czy Glaurung znał schro-
nienie Turina, czy też, jak utrzymują niektórzy, stracił go wówczas z oczu. Prędzej
czy później Turambar i tak musiałby wybierać pomiędzy beczynnym oczekiwa-
niem, aż go wykryją i pogonią jak szczura, a jawnym staniem do walki. W ta-
kiej sytuacji nie zwracał najmniejszej uwagi na rady Brandira.

Gdy dotarły do Ephel Brandir pierwsze wieści o pochodzie Orków, Turambar
nie wyruszył jednak, ulegając namowom Niniel, która powiedziała:

— Wspomnij swe słowa. Nic nie zagraża jeszcze naszemu domowi. Powiadają,
że Orków jest niewielu, a Dorlas twierdzi, że i przed twoim przybyciem zdarzały
się takie najazdy i leśni ludzie je odpierali.

Tym razem jednak położenie mieszkańców osady było o wiele gorsze, nowi Or-
kowie bowiem pochodzili z paskudniejszego chowu niż poprzedni. Bardziej zaja-
dli i przebiegli, nie zamierzali przemaszerować jedynie skrajem puszczy ku dal-
szym obszarom, nie interesowało ich też polowanie na małe oddziały. Chcieli pod-
bić las Brethilu. Dorlas i jego ludzie ponieśli straty i zmuszeni zostali do odwrotu,
a Orkowie przeprawili się przez Teiglin i rozpanoszyli między drzewami. Dorlas
stał przed Turambarem, pokazał swe rany i powiedział:

— Sam widzisz, panie, że przyszła na nas pora. Jak przewidywałem, złudny był

czas spokoju. Czy nie prosiłeś, byśmy policzyli cię między siebie, a nie traktowali jak obcego? Czy i nad tobą groźba nie zawisała? Jeśli Orkowie posuną się jeszcze dalej, miejsce naszej siedziby przestanie być tajemnicą.

Powstał zatem Turambar, raz jeszcze przypasał miecz Gurthang i ruszył do walki. Gdy leśni ludzie się o tym dowiedzieli, radość wstąpiła w ich serca i pociągnęli do niego, aż miał pod swoimi rozkazami wiele setek wojowników. Przemierzyli całą puszcę, uśmiercając wszystkich Orków, którzy się w niej kryli, a ciała powiesili na drzewach w pobliżu brodów na Teiglinie. Gdy wysłano przeciwko nim nowy oddział, zasadzili nań pułapkę, zdumieni zaś liczebnością leśnych ludzi i przerażeni powrotem Czarnego Miecza Orkowie zostali rozgromieni i w większości zabici. Osadnicy ułożyli wielkie stosy i spalili ciała żołnierzy Morgotha, a świadczący o zemście czarny dym sięgnął wysoko w niebiosa, gdzie wiatr poniosł go na zachód. Niewielu żywych wróciło do Nargothrondu, by o tym wszystkim opowiedzieć.

Glaurung wpadł w prawdziwy gniew, przez czas jakiś leżał jednak jeszcze spokojnie i rozważał to, co usłyszał. Zima minęła więc bez walk, a ludzie powiadali:

— Wielkim jest Czarny Miecz z Brethilu, bo do ostatniego pokonał naszych wrogów.

Niniel też była pogodniejsza i cieszyła się sławą Turambara, on jednak rozmyślał długo, aż rzekł sobie:

— Kości zostały rzucone. Oto nadchodzi próba, w której albo potwierdzę mą reputację, albo przegram z kretesem. Skończył się czas ucieczki. Turambarem będę, ale po swojemu, pokonam wreszcie fatum lub zginę. Z tarczą czy na tarczy wrócę, zabiję przynajmniej Glaurunga.

Targał nim jednak niepokój, więc wysłał ludzi na zwiady jak daleko się dało. Bo chociaż niby nic się nie zmieniło, to on naprawdę dowodził teraz wszystkim, jakby był władcą Brethilu. Nikt nie zwracał uwagi na Brandira.

Wiosna przyniosła nadzieję i ludzie śpiewali przy pracy. Też również wiosny Niniel okazała się brzemienna, zmizerniała przez to i przybladła, a radość jej przygasła. Zwiadowcy, którzy wyprawili się aż za Teiglin, wrócili wkrótce, przynosząc dziwne wieści o wielkim pożarze lasów na równinie po stronie Nargothrondu i wszyscy dziwowali się temu zjawisku.

Nie trwało długo, a przyszło więcej nowin: że ogień kieruje się na północ i że to sam Glaurung go rozniecił. Smok opuścił Nargothrondu i udał się gdzieś w sobie tylko znanym celu.

— Armia mu przepadła, toteż poszedł wreszcie po rozum do głowy i wrócił, skąd przybył — powiadali naiwnie co mniej rozgarnięci mieszkańcy lasu. Inni zaś dodawali: — Miejmy nadzieję, że nas ominie.

Turambar jednak nie łudził się, wiedział, że Glaurung jego właśnie szuka. Nie zdradzając się z niczym przed Ninielem, rozmyślał całymi dniami, co by tu zaradzić, aż wiosna przeszła w lato.

Pewnego dnia ludzie wrócili przerażeni do Ephel Brandir i donieśli, że widzieli smoczy pomiot na własne oczy.

— Po prawdzie, panie — zdawali sprawę — Turambarowi — zbliża się teraz do Teiglinu i nigdzie nie skręca. Zległ pośrodku wielkiej pożogi, drzewa płoną wkoło niego. Cuchnie potępieńczo. Taranując wszystko, brnie jedną linią, która ciągnie się od Nargothrondu. Nijak nie kluczy, tylko mierzy prosto w naszą osadę. Cóż możemy uczynić?

— Niewiele — odparł Turambar. — Ale i to już przewidziałem. Wieści, które przynosicie, nadzieją raczej napawają niż strachem, bo jeśli rzeczywiście, jak powiadacie, zmierza prosto i nie skręci, to daje to pewną szansę mężom o dzielnych sercach.

Zdumieli się ludzie, Turambar bowiem nie dodał już nic więcej, ale jego nieugiętość podniosła wszystkich na duchu⁵⁸.

Rzeka Teiglin wypływała spod Ered Wethrin i bystra była jak Narog, ale z początku płynęła pomiędzy niskimi brzegami, dopiero minawszy brody i zebrawszy nurty innych strumieni, wpadała w wąwozy wyrzeźbione u stóp tej wyżyny, na której wyrastał las Brethilu. Stłoczone na dnie wody gnały tu z wielkim łoskotem, a jedna z takich kipieli leżała wprost na drodze Glaurunga. Nie było to nijak miejsce najgłębsze, ale za to wąskie jak żadne inne. Znajdowało się zaraz na północ od dopływu Kelebrosa. Turambar wysłał trzech odważnych ludzi, by z brzegu wypatrywali śladu smoka, a sam pojechał nad wodospad Nen Girith, skąd obserwować mógł sporą część kraju i gdzie wieści miały doń łatwy dostęp.

Najpierw jednak zebrał leśnych ludzi w Ephel Brandir i przemówił do nich:

— Mieszkańcy Brethilu, zawisło nad nami wielkie niebezpieczeństwo, które tylko największym męstwem można pokonać. Samą siłą i liczbą niewiele tu jednak wskóramy, sięgnąć nam trzeba po fortel. Gdybyśmy ruszyli wszyscy przeciwko smokowi niby na spotkanie armii Orków, to śmierć jeno znajdziemy, żony nasze i dzieci zostawiając bezbronne. Wam tedy mówię, byście zostali i gotowali się do ucieczki. Gdy Glaurung nadejdzie, porzucicie to miejsce i umkniecie jak najdalej w rozproszeniu, a wówczas może przeżyjecie. Jeśli tylko będzie mógł, przyjdzie tu na pewno, by zniszczyć naszą siedzibę i wszystko, co wypatrzy. Nie zamieszka tu jednak. Zostawił w Nargothrondzie swój skarb, tam też są rozległe komnaty,

⁵⁸ Można by przypuszczać, że dopiero po dokonaniu się wszystkiego i po śmierci Turina i Nienor, przypomniano sobie jej ataki dreszczy i zrozumiano, skąd się brały, przez to właśnie przemianowano Dimrost na Nen Girith, jednak nazwa Nen Girith pojawia się w legendzie przez cały czas.

w których może spać i wzrastać bezpiecznie.

Ludzie poczuli się rozczarowani i przygnębieni, nie takich bowiem słów oczekiwali po Turambarze, któremu wierzyli bezgranicznie. I usłyszeli:

— To najgorsza możliwość. Jeśli jednak powiesz się, co zamysliłem, i szczęście nam dopisze, wówczas do tego nie dojdzie. Nie wierzę bowiem, aby smok ten był niezwyknięty, chociaż wyrósł i nabrał sił z latami. Wiem o nim co nieco. Jego potęga płynie raczej z przewrotnej i złośliwej natury, cechującej to wielkie, ale nie tak znów mocarne cielsko. Posłuchajcie tego, co usłyszałem od kogoś, kto walczył w Nirnaeth, kiedy to ja i większość z was dziećmi ledwie byliśmy. Wówczas to krasnoludy osaczyły Glaurunga i Azaghal z Belegostu zranił go tak głęboko, że bestia uciekła do Angbadu. Oto jednak jest cierń dłuższy i bardziej ostry niż sztylet Azaghal. I wyciągnął Gurthanga z pochwy, i uniósł żelazo nad głową, a patrzącym zdało się, że wielopalczaste płomienie strzelają wysoko z rąk Turambara.

— Czarny Cierń Brethilu! — krzyknęli rozgłośnie.

— Czarny Cierń Brethilu — powtórzył Turambar. — Niech lepiej się go strzeże. Jedno wiem: jakkolwiek potężnie obrastałby twardszą od stali rogową powłoką, zawsze zachowa miękki brzuch węża. To jego słabe miejsce, właściwe pono wszystkim smokom. Otóż, mieszkańcy Brethilu, zamierzam wszelkim sposobem razić go w brzuch. Kto wyruszy ze mną? Potrzebuję tylko garstki, za to silnych i najodważniejszych.

— Pójdę z tobą, panie — powiedział stojący tuż przed Turambarem Dorlas. — Uważam, że należy zawsze atakować, a nie czekać na wroga.

Inni jednak nie tak szybko decydowali. Lęk przed Glaurungiem był silniejszy niż kiedykolwiek, opowieści zwiadowców bowiem zdążyły już wrócić wołem. W końcu Dorlas wykrzyknął:

— Słuchajcie, mężowie Brethilu, dobrze widać teraz niestosowność pomysłów Brandira w tych burzliwych czasach. Nic nam po kryjówkach. Czy nikt spośród was nie zajmie miejsca syna Handira, nie uchroni rodu Halethy przed niesławą?

Brandir, który zasiadał wprawdzie podczas tego zgromadzenia na należnym mu miejscu wodza, lecz niczyjej uwagi nie przyciągał, poczuł się boleśnie dotknięty, tym bardziej że Turambar nie zganił Dorlasa. Jeden tylko Hunthor, krewny Brandira, wstał i powiedział:

— Źle czynisz, Dorlasie, powiadając o niesławie władcy, którego nogi, zrzędzeniem losu, nie słuchają dzielnego serca. Uważaj lepiej, by nie zrozumiano twych słów na opak! I jak możesz twierdzić, że niestosowne były pomysły Brandira, skoro nigdy go nie posłuchano? Ty, jego poddany, odrzucałeś je z pogardą. Powiadam ci, że Glaurung ciągnie na nas, jak przedtem napadł na Nargothrond, bo sam swymi uczynkami wskazałeś mu drogę. Tego właśnie obawiał się Brandir. Skoro jed-

nak wróg już przybył, to za twoją zgodą, synu Handira, ruszę z tymi śmiałkami w imieniu rodu Halethy.

— Trzech nas starczy! — odezwał się Turambar. — Ciebie jednak, panie, ni-jak wziąć ze sobą nie mogę, ale nie z pogardy to wynika. Zrozum! Ruszać musimy w pośpiechu i tylko silne nogi podołają drodze. Twe miejsce jest z twoim ludem. Mądry jesteś i potrafisz uzdrawiać, a może się zdarzyć, że i wiedza, i sztuka leczenia będą niedługo potrzebne bardziej niż dotąd.

Słowa te, chociaż uprzejme, tylko zwiększyły gorzki żal Brandira, który zwrócił się do Hunthora:

— Idź zatem, ale bez mojego upoważnienia. Cień spowija tego człowieka i jeszcze do złego końca cię przywiedzie.

Turambar pragnął wymaszerować czym prędzej, ale gdy przyszedł, by pożegnać się z Niniel, ta wczepiła się weń, cała zapłakana.

— Nie odchodź, Turambarze, błagam cię! — prosiła. — Nie rzucaj wyzwania temu Cieniowi, przed którym umknąłeś! Ucieknij jeszcze dalej, i zabierz mnie ze sobą!

— Niniel, kochana, ani dla ciebie, ani dla mnie nie ma już dalszej drogi ucieczki. Otoczono nas w tym kraju. Gdyby przyszło opuścić tych ludzi, którzy nas przygarnęli, to tylko na pustkowie mógłbym cię poprowadzić, w dzicz bez schronienia. Pewna to śmierć dla kobiety i dziecka. Sto mil dzieli nas od najbliższego kraju, gdzie Cień jeszcze nie zaległ. Odwagi, Niniel. Powiadam ci, nie zginiemy za sprawą smoka, nie dopadnie nas też wróg z północy.

Niniel ucichła, ale chłodny był jej pocałunek, gdy się rozstawali.

Turambar, Dorlas i Hunthor ruszyli szparko ku Nen Girith i dotarli tam o zachodzie, w porze długich cieni. Na miejscu oczekiwali ich dwaj ostatni zwiadowcy.

— Ani trochę za wcześnie nie przybywasz, panie — powiedzieli. — Smok nadciąga. Gdy odchodziliśmy, pojawił się właśnie na brzegu Teiglinu i spoglądał przez rzekę. Wędruje tylko nocą, a zatem możemy się spodziewać, że rychło ruszy.

Turambar spojrział sponad wodospadu Kelebrosa i prócz zachodzącego słońca ujrzał słupy dymu, wznoszące się przy brzegach rzeki.

— Nie ma czasu do stracenia — powiedział. — Wieści są jednak dobre. Najbardziej obawiałem się, że zacznie buszować po okolicy. Gdyby skierował się na północ i znalazł bród, a dalej starą drogę w głąb kraju, byłoby po nas, lecz wściekłość, duma i złość nie pozwalają mu zboczyć. — Mówiąc to jednak, zadumał się i zaniepokoił. — A może jest tak złem przesiąknięty, że jak Orkowie, woli unikać brodu? Haudh-en-Elleth! Czyżby Finduilasa wciąż trwała między mną a przeznaczeniem?

Po czym zwrócił się do towarzyszy:

— Wszystko już gotowe, musimy tylko poczekać jeszcze chwilkę, bo w tej potrzebie zbyt wczesny atak byłby tak samo szkodliwy, jak opóźnienie. Gdy zapadnie zmrok, przekradniemy się cicho nad rzekę. Zachowajcie ostrożność, Glaurung bowiem ma uszy równie czułe jak oczy, a te są śmiertelnie niebezpieczne. Jeśli zdołamy dotrzeć niepostrzeżenie nad rzekę, trzeba nam będzie zejść do wąwozu, przeprowić się na drugi brzeg i przyczaić na drodze potwora.

— Ale jakim sposobem smok zdoła tam przejść? — spytał Dorlas. — Może i jest zwinny, ale to wielka bestia! Jak niby opuści się po jednej skalnej ścianie, a potem da radę wspiąć się na następną, skoro jego przednie łapy będą musiały wdrapywać się pod górę, gdy ogon będzie zjeżdżał ze stoku? A jeśli nawet, co nam przyjdzie z oczekiwania go na samym dole?

— Może potrafi dokonać takiej przeprawy — odparł Turambar. — Jeśli tak, to źle z nami. Trochę jednak go znam i mam nadzieję, że miejsce, w którym obecnie się usadził, inny zamiar zwiastuje. Jest blisko krawędzi Kaped-en-Aras, a sam kiedyś mi opowiadałeś, jak ścigany przez myśliwych Halethy jelen przeskokczył tu kiedyś rozpadlinę i umknął. Smok jest teraz tak wielki, że najpewniej spróbuje tego samego. Na to liczymy i musimy ufać, że tak postąpi.

Dorlas stropił się na te słowa, znał bowiem Brathil lepiej niż ktokolwiek inny, a Kaped-en-Aras było zaiste ponurym miejscem. Po wschodniej stronie wznosiła się na jakie dwanaście metrów stroma ściana, tylko u szczytu zwieńczona roślinnością, drugi brzeg zaś, chociaż niższy i mniej spadzisty, porośły krzakami i przekrzywionymi drzewami, trudny był do osiągnięcia za sprawą wartkiego nurtu i kamienistego dna. Odważny i silny mężczyzna mógł pokonać w tym miejscu rzekę za dnia, w nocy jednak ryzyko wzrastało niepomiernie. Tak jednak postanowił Turambar i sprzeciw nie miał nijakiego sensu.

Ruszyli o zmroku, ale nie poszli prosto w kierunku smoka, tylko najpierw podążyli drogą ku brodom. Potem, nim zdołali oddalić się zbyttnio, skręcili na południe i ruszyli wąską ścieżką do lasu nad samą wodą⁵⁹. Wokół panowała już prawie całkowita ciemność, gdy krok po kroku, przystając często i nasłuchując, skradali się ku Kaped-en-Aras. W nozdrza uderzyła mężczyzn woń spalenizny i mdłący smród. Było jednak cicho i spokojnie, nawet wiatr ustał. Na wschodzie za ich

⁵⁹ Jeśli Glaurung rzeczywiście zamierzał wrócić do Angbadu, to wybrałby raczej (zapewne) starą drogę do Przeprawy na Teiglinie, trasę niezbyt różniącą się od tej, która przywiodła go do Kaped-en-Aras. Istniało tu być może milczące założenie, iż wrócić miał do Angbadu drogą, którą przybył uprzednio na południe do Nargothrundu, podążając w górę Narogu do Ivrin. Por. także słowa Mablunga: „Widziałem nadejście Glaurunga i myślałem, że... wróci do swego pana. Ale on skierował się ku Brethilowi...” Gdy Turambar wyrażał nadzieję, że Glaurung pójdzie prosto, nie klucząc, chciał powiedzieć, że jeśli smok ruszy wzdłuż Teiglinu i dotrze do Przeprawy, wówczas wedrze się do Brethilu omijając wąwóz rzeki, jedyne miejsce, gdzie choć przez chwilę może być bezbronny. Por. też rozmowę Turina z Dorlase i Hunthorem nad Nen Girith.

plecami rozbłyły pierwsze gwiazdy, a na tle zachodniego nieba pięły się wciąż ku górze proste słupy rzadkiego dymu.

Po odejściu Turambara, Niniel zastygła w kamiennym milczeniu. Zjawił się jednak Brandir i powiedział:

— Nie obawiaj się za czasu najgorszego, Niniel. Ale czy nie doradzałem ci poczekać?

— Owszem — odparła. — Ale co by mi z tego teraz przyszło? Miłość i cierpienie niezależne są od małżeństwa.

— To wiem — stwierdził. — Ale ślub jednak wiele zmienia.

— Od dwóch miesięcy noszę jego dziecko. I nie wydaje mi się, by lęk mój był przez to cięższy do zniesienia. Nie potrafię cię zrozumieć.

— I ja sam też siebie nie rozumiem. Ale strach przepęlnia me serce.

— Nie ma co, potrafisz pocieszyć! — krzyknęła. — Brandirze, przyjacielu, zamężna czy nie, matka czy panna, lękam się niepomierne. Skoro Pan Losu poszedł rzucić wyzwanie swemu przeznaczeniu, to jak mogę czekać tu spokojnie, aż dojdą mnie spóźnione wieści, dobre czy złe? Być może tej nocy spotka się ze smokiem, a co ja mam czynić? Jak znieść te straszne godziny?

— Nie wiem — odpowiedział — ale jakoś przetrwać je musisz, ty i żony tych, którzy z nim poszli.

— Niech robią, jak serca im dyktują! Ja jednak pójdę za ukochanym. Wyruszę na spotkanie wieściom. Nie chcę, by całe mile dzieliły mnie od najdroższego, gdy głowy nadstawia.

Brandir wzburzył się wielce i przeraził, słysząc te słowa.

— Przeszkodzę ci w tym, jeśli tylko zdołam. Narazisz na szwank całe przedsięwzięcie. I nie będziesz miała czasu uciec, jeśli im się nie powiedzie.

— Jeśli im się nie powiedzie, to nie będę chciała uciekać — odrzekła. — Nie powstrzymasz mnie i na nic twe mądrości. — I wystąpiła przed ludzi zebranych wciąż na placu w Ephel. — Mężowie Brethilu! Nie zostanę tu dłużej. Jeśli mój pan zginie, wówczas legnie wszelka nadzieja. Wasze ziemie i lasy zostaną spalone ze szczętem, domy w popiół się obrócą i nikt, ale to nikt nie umknie. I po co czekać? Idę na spotkanie przeznaczeniu, jakiegokolwiek by ono było. Niech wszyscy, którzy myślą podobnie, przyłączą się do mnie!

Wielu stanęło u jej boku. Żony Dorlasa i Hunthora z niepokoju o mężów, część zaś dlatego, że żal im było Niniel i pragnęli podtrzymać kobietę na duchu. Inni też ze zwykłej głupoty i beztroski, bo choć słyszeli plotki o smoku, to niewiele wiedzieli o naturze zła i na własne oczy chcieli ujrzeć, jak Czarny Miecz dokona tego wspaniałego i rzadkiego czynu. Taki wielki wyrósł ów wojownik w ich oczach, że mało kto skłonny był sądzić, aby Glaurung zdołał pokonać Turambara. Podąży-

li więc spiesznie całym tłumem na spotkanie niebezpieczeństwu, którego nie pojmowali. Odpoczywając nieco po drodze dotarli wieczorem do Nen Girith, ale Turambara już tam nie było. Noc ostudziła nieco zapaly i niejeden zastanowił się, po co właściwie tu przyszedł, a gdy jeszcze usłyszeli od zwiadowców, jak blisko zległ Glaurung i jak trudne zadanie czeka Turambara, duch opuścił ich zupełnie i nie poważyli się iść dalej. Niektórzy spoglądali trwożnie na Kaped-en-Aras, ale nic nie ujrzeli. Nadstawiali uszu, ale słyszeć było jedynie nie milknący huk wodospadu. Niniel zaś siadła z dala od grupy i zatrzęsły nią dreszcze.

Gdy Niniel i inni odeszli, Brandir zwrócił się to tych, którzy pozostali:

— Widzicie, jak się mną gardzi, jak lekceważy się moje słowo! Niech Turambar wami rządzi, skoro i tak przejął cały mój autorytet. Wyrzekam się władzy i ludu. Niech nikt nigdy nie prosi mnie już o radę czy uzdrowienie! — I złamał swą laskę, myśląc w duchu: „Nic mi już nie zostało, prócz miłości do Niniel. Miejsce moje przy niej jest, gdziekolwiek pójdzie, i nieważne, czy na oślepu wędruje czy rozważa każdy krok. Nic nie da się przewidzieć w tej mrocznej godzinie, może jednak zdarzyć się i tak, że obronię ją jeszcze przed jakimś złem, jeśli będę obok.

Uzbroił się zatem w krótki miecz, po który przedtem rzadko sięgał, wziął kulę i jak mógł najszybciej minął bramę Ephel, po czym pokuśtykał drogą na zachód ku skrajowi Brethilu.

Śmierć Glaurunga

Noc już zapadła, gdy Turambar doszedł z towarzyszami do Kaped-en-Aras. Z radością powitali huk wody, która choć groźna, skutecznie przecież tłumiła wszelkie inne dźwięki. Dorlas poprowadził nieco ku południu, gdzie spuścili się po ścianie aż do stóp urwiska. Tam jednak odwaga go odeszła, gdy ujrzał usiane wielkimi głazami i bezlikiem drobnych kamieni koryto spienionej rzeki.

— To pewna śmierć — powiedział.

— Ku śmierci lub ku życiu, jedyna to droga — odparł Turambar. — Zwłoka nic nam nie pomoże. Za mną! — I ruszył pierwszy. Dzięki wprawie oraz męstwu, a może także i szczęściu, dotarł na drugi brzeg. Obejrzał się, by sprawdzić, kto idzie za nim. Obok mroczyła jakaś postać.

— Dorlas? — spytał.

— Nie, to ja — odpowiedział Hunthor. — Dorlas stchórzył. Nawet dobry wojownik niejednego się boi. Siedzi pewnie na brzegu i trzęsie się cały. Może powstydzi się teraz słów wypowiedzianych o moim krewnym.

Odpoczęli chwilę, ale rychło zrobiło im się zimno, bo obaj przemoczeni byli od stóp do głów, skierowali się zatem na północ, szukając legowiska Glaurunga. Wąwóz stawał się coraz węższy i mroczniejszy, aż w końcu ujrzeli w górze, na brzegu, poblask jakby tłącego się ognia i do ich uszu doleciało chrapanie czujnie śpiącej bestii. Zaczęli szukać drogi na górę, by dotrzeć pod samą krawędź brzegu, gdyż stamtąd tylko mogli mieć szansę osiągnięcia czułego miejsca smoka. Od potężnego smrodu mąciło im się w głowach i wspinaczka szła opornie. Ześlizgiwali się, czepiali pni drzew. Targani mdłościami zapomnieli o wszystkim, prócz obawy, by nie runąć w spienioną paszczę rzeki.

— Marnujemy siły — powiedział w pewnej chwili Turambar. — Przecież nie wiemy na pewno, czy ten właśnie szlak smok wybierze.

— Ale gdy już się dowiemy, to za późno będzie na wspinaczkę — odparł Hunthor.

— To prawda. Skoro inaczej nie można, pozostaje zdać się na przypadek.

Zatrzymali się, oczekując nieznanego i spoglądając na jasną gwiazdę, która lśniła na wąskim skrawku nieba ponad rozpadliną. Śmiertelnie zmęczony Turambar zasnął niepostrzeżenie, jednak nie rozluźnił uchwytu.

Nagle rozległ się donośny łoskot, a ściany wąwozu zadrżały i zanosły się echem. Turambar ocknął się i powiedział:

— Budzi się. Wybiła nasza godzina. Tnij głęboko, bo dwóch musi wystarczyć teraz za trzech!

Glaurung rozpoczął napaść na Brethil. Niemał wszystko poszło tak, jak Turambar przewidywał. Smok podpełzł do skraju przepaści i nie skręcił nigdzie, tylko przygotował się do skoku. Chciał wybić się mocno tylnymi łapami, by z pomocą przednich wciągnąć się potem na górę po drugiej stronie. Wraz z bestią nadszedł strach, nie zaczęła ona bowiem przeprawy wprost nad nimi, ale nieco na północ. Dobrze widzieli na tle gwiazd olbrzymi łeb i otwartą paszczę z siedmioma ognistymi językami. Nagle smok omiótł płomieniem przeciwległy brzeg i cały wąwóz wypełnił się czerwonym blaskiem, a cienie zatańczyły między skałami. Drzewa zaltliły się i zapłonęły, sypnął się w przepaść grad kamieni. Potem Glaurung rzucił się naprzód, wczepił potężnymi pazurami w drugi skraj urwiska i zaczął przeciągać cielsko nad przepaścią.

Pora była atakować, i to szybko, bo chociaż udało się Turambarowi i Hunthorowi uniknąć ognia, jako że nie stali bezpośrednio pod bestią, to teraz musieli jednak zbliżyć się do niej, zanim zniknie jedyna szansa. Nie bacząc na niebezpieczeństwo, Turambar rzucił się naprzód, ale tak było gorąco i smrodliwie, że potknął się i spadłby, gdyby podążający pewnie z tyłu Hunthor nie chwycił go za ramię.

— Wielkie dzięki! — rzekł Turambar. — Szczęśliwy wybór uczyniłem, biorąc cię ze sobą!

Ale ledwo to powiedział, wielki kamień stoczył się z góry i trafił Hunthora w głowę, strącając go do wody. Tak zginał mąż, nie ostatni jednak pośród wojowników rodu Halethy.

— Niestety! — zakrzyknął Turambar. — Niebezpiecznie jest wstąpić w mój Cień! Czemuż szukałem u innych pomocy? Teraz sam zostałeś, Panie Losu, a przecież od początku powinienes wiedzieć, że inaczej być nie może! Sam teraz zwyciężaj!

Zebrał całą wolę, wspomniawszy swą nienawiść do smoka oraz jego pana, i nagle zdało mu się, że nowe siły go wypełniają i z nie znaną mu dotąd odwagą ruszył z kamienia na kamień, z korzenia na korzeń, aż zdołał uchwycić się smukłego drzewa rosnącego poniżej skraju przepaści, które choć opalony miało wierzchołek, mocno tkwiło korzeniami w ziemi. Usadowił się pewnie w rozwidleniu gałęzi, gdy tuż nad nim, dotykając niemal głowy Turambara, pojawił się tułów bestii i za-

wisł ciężko na chwilę, nim smok zaczął wciągać swe cielsko na górę. Brzuch jasny był i pomarszczony, ociekał szarym śluzem, do którego przyczepiały się wszelkie śmiecie. Potwór cuchnął śmiercią. Wtedy to Turambar dobył Czarny Miecz Belega i pchnął nim w górę najsilniej jak potrafił, całą swą wściekłość wkładając w ten jeden cios. Długie ostrze chciwie zanurzyło się w smoczym brzuchu aż po rękojeść.

Czując śmiertelne ukłucie, Glaurung ryknął przepotężnie, aż zatrzęsły się okoliczne lasy, a lica ciekawskich nad Nen Girith okryły się bladością. Turambar zachwiał się, jak trafiony i ześliznął w dół, zostawiając miecz w brzuchu bestii. Glaurung zadrżał cały i jednym rzutem wydobyl się na drugi brzeg, gdzie legł, rycząc i wijąc się z bólesci, traktując wszystko wokoło. Uczyniwszy olbrzymie zniszczenia, znieruchomiał w końcu, otoczony dymem, pośrodku rumowiska.

Ogłuszony i przytłoczony tym wszystkim Turambar wczepił się w korzenie drzewa, a potem na wpół spełzając, na wpół schodząc, dotarł do rzeki. Raz jeszcze zaryzykował niebezpieczną przeprawę, tym razem na czworakach, aż oślepiiony pianą wyszedł na brzeg. Potem wspiał się tą samą ścieżką, którą wcześniej zszedł z towarzyszami. W końcu dobrnął do zdychającego smoka i spojrział na powalonego przeciwnika z radością, bez śladu współczucia.

Glaurung leżał wyciągnięty na jednym boku. Wypalił się już ogień w otwartej paszczy. Złowrogie ślepia miał zamknięte. Rękojeść Gurthanga sterczała mu z brzucha. Smok dyszał jeszcze, ale mocno podniesiony na duchu Turambar postanowił niezwłocznie odzyskać oręż, który — choć przedtem już cenny — teraz przerastał wartością wszystkie skarby Nargothrondu. Prawdą okazały się słowa wypowiedziane w chwili jego wykucia, że dość jednego ukąszenia tego ostrza, by pozbawić życia wszelkie stworzenie, duże czy małe.

Turambar ujął rękojeść i zaparł się stopą o brzuch potwora, by dobyć miecz z jego trzewi.

— Witaj, robaku Morgotha! — zawołał, szydząc ze słów wypowiedzianych przez Glaurunga w Nargothrondzie. — Miło znów cię widzieć! Zdychaj i niech ciemność cię pochłonie! Pomszczony został Turin, syn Hurina. — I szarpnął miecz, a z rany trysnęła czarna krew, paląc jadem dłoń Turambara, aż ten krzyknął głośno z bólu. Wtedy Glaurung poruszył się, otworzył zgubne ślepia i popatrzył na swego pogromcę. Tyle było w spojrzeniu bestii nienawiści, że Turambarowi zdało się, jakby strzała go przeszła i omdlał, porażony i tym, i bólem dłoni. Niczym martwy runął u boku smoka, nakrywając sobą miecz.

Ryki Glaurunga dotarły też do ludzi zgromadzonych nad Nen Girith, mocno ich przerażając, a kiedy zwiadowcy zameldowali, że smok pustoszy i pali kawał lasu, wszyscy byli przekonani, że potwór morduje tych, którzy poważyli się go zaatakować. W owej chwili rzeczywiście pożałowali, że nie są gdzieś o wiele staj da-

lej. Nie odważyli się jednak ruszyć z miejsca, pamiętali bowiem słowa Turambara, iż jeśli Glaurung zwycięży, najpierw podąży zniszczyć Ephel Brandir. Wypatrywali więc, zaleknieni, jakiegoś znaku, ale nie znalazł się wśród nikt na tyle odważny, by zejść na dół i poszukać wieści u źródła, na polu walki. Niniel siedziała bez ruchu, targana dreszczami, których nie mogła powstrzymać. Serce zamarło w niej, gdy usłyszała głos Glaurunga, i poczuła, jak ciemność znów ją ogarnia.

Taką znalazł ją Brandir, który doszedł w końcu do mostu nas Kelebrossem. Długa i męcząca była to droga dla kogoś kulawego, kto sam musiał przekułykać o lasce całe pięć staj. Lęk o Niniel gnał go naprzód, a wieści, które usłyszał, nie były wcale gorsze od tych, których się obawiał.

— Smok przeszedł rzekę — powiedziano mu. — Czarny Miecz i jego towarzysze najpewniej nie żyją.

Stanął wówczas Brandir w milczeniu obok Niniel, wbijając oczy w mrok i nasłuchując. Niczego jednak nie dojrzał i tylko huk wodospadu rozlegał się wokół. Pomyślał wtenczas: „Glaurung poszedł już pewnie w głąb lasu”. Nie żałował już jednak swych ludzi, głupców, którzy wzgardzili nim i jego radami. „Niech smok idzie sobie na Amon Obel, dość jest jeszcze czasu na ucieczkę oraz na ocalenie Niniel”. Dokąd mieliby się udać, nie miał pojęcia, sam bowiem nigdy nie opuszczał granic lasu Brethilu.

Pochylił się i ujął kobietę pod ramię.

— Czas ucieka, Niniel! — powiedział. — Chodź! Pora ruszać. Poprowadzę cię, jeśli pozwolisz.

Wstała w milczeniu i dała mu dłoń. Przeszli przez most i skierowali się ku brodom na Teiglinie. Ci, którzy widzieli ich sylwetki niczym cienie przesuwane się w ciemności, nie mieli pojęcia, kto ich mija, nikogo też to nie obchodziło. Po pewnym czasie księżyc wyłonił się zza Amon Obel i szary blask zalał puszcę. Nagle Niniel przystanęła i spytała:

— Czy to właściwa droga?

— Jaka droga może być jeszcze właściwa? — odparł. — Kresu dobiegła nasza nadzieja w Brethilu. Tylko ucieczka nam została, jak najdalej od smoka, póki jeszcze jest na to czas.

Niniel spojrzała na Brandira zdumiona.

— Czy nie mówiłeś, że zaprowadzisz mnie do Turambara? A może skłamałeś? Czarny Miecz był moim ukochanym i mężem, i tylko dla niego ruszyłam się z miejsca. Co ty sobie pomyślałeś? Rób teraz, jak mówię, ale szybko!

Zdumiony Brandir zamarł w miejscu, zerwała się zatem do biegu.

— Czekaj, Niniel! Nie idź sama! — krzyknął. — Nie wiesz, co cię tam czeka! Pójdę z tobą!

Ona jednak nie zwracała już na Brandira uwagi, tylko gnała, czując ogień zimnej dotąd krwi. Chociaż pokuśtykał za nią, rychło stracił dziewczynę z oczu. Przeklął wówczas swój los i swą słabość, ale nie zawrócił.

Bliski pełni księżyc białął już wyżej na niebie, gdy Niniel zesła z wyżyny nad brzeg rzeki. Zdało się jej, że poznaje to miejsce i złąła się owej pamięci. Dotarła bowiem do brodów, a przed nią jaśniał blado Haudh-en-Elleth, na pół skryty w czarnym cieniu. Groza tchnęła z tego miejsca.

Niniel cofnęła się z krzykiem i pobiegła wzdłuż rzeki, gubiąc po drodze płaszcz, jakby chciała zrzucić z siebie uczepony jej ciała cień. Strój miała pod spodem białą i dobrze było ją widać w blasku księżyca, gdy pędziła między drzewami. Tak i dojrzał ją Brandir ze zbocza wzgórza i skręcił, by przeciąć jej szlak. Szczęśliwie trafił na tę samą, stromo zbiegającą ku południu ścieżkę, którą wcześniej wybrał Turambar, zatem grunt był tam bardziej wydeptany. Chociaż Brandir znalazł się teraz tuż za Niniel, chociaż wołał ją głośno, nie słyszała go czy słyszeć nie chciała i szybko znów wysforowała się daleko do przodu. W ten sposób dobiegli w pobliżu Kaped-en-Aras i miejsca agonii Glaurunga.

Księżyc płynął po bezchmurnym niebie, zalewając ziemię czystą, zimną poświatą. Docierając do skraju spustoszonego przez smoka placu, Niniel ujrzała ciało bestii. Obok pobłyskującego szarawo brzucha potwora leżał człowiek. Zapomniawszy o strachu, dziewczyna pobiegła po tłącym się wciąż rumowisku. Poznała Turambara. Twarz miał śmiertelnie bladą, spoczywał na boku, z mieczem pod sobą. Rzuciła się na ukochanego z łkaniem i ucałowała. Nagle zdawało się jej, że odetchnął słabo, ale uznała to za złudzenie lub wytwór udręczonej wyobraźni, zimny był bowiem, w bezruchu pogrążony i nie odpowiadał na jej wołania. Wodząc palcami po jego ciele odkryła poczerniałą, niby przypieczoną dłoń i obmywszy ją łzami, owinęła paskiem wydartym z własnej szaty. A gdy wciąż nie reagował, ucałowała go znowu i krzyknęła:

— Turambarze, Turambarze, wracaj! Usłysz mnie! Obudź się! To ja, Niniel. Smok nie żyje, zdechł i sama jestem tu z tobą.

Nie odpowiedział.

Jej krzyk dotarł za to do Brandira, który doszedł już do skraju rumowiska, zatrzymał się jednak w ostatniej chwili i nie podążył dalej. Glaurung także usłyszał rozpaczliwe wołanie Niniel. Zdobył się na ostatni wysiłek i drgawki przebiegły przez jego cielsko. Złowrogie ślepie uchyliły się, odbijając blask księżyca, bestia zaś przemówiła z wysiłkiem:

— Witaj, Nienor, córko Hurina. Znów się spotkaliśmy. Dzięki mnie znalazłaś w końcu brata. Winnaś poznać go wreszcie, to wróg zdradliwy, niewierny przyjaciel, po nocy sztylet milczkiem wbijający, przekleństwo dla bliskich. Oto Turin, syn

Hurina! Ale najgorszy z jego czynów jeszcze poczujesz w sobie!

Nienor przysiadła porażona. Glaurung wyzionął ducha, a z jego śmiercią uleciały wszelkie knowania i pamięć wróciła dziewczynie. Przypomniała już sobie każdy dzień z przeszłości, niezmiennie trwał też obraz wszystkiego, co zdarzyło się od czasu, gdy padła na Haudh-en-Elleth. Zatrzęsa się z przerażenia i boleści. Brandir, który wszystko słyszał, zachwiał się na nogach i musiał poszukać oparcia w najbliższym drzewie.

Nagle Nienor zerwała się na równe nogi i wyprostowała, w blasku księżycy blada jak upiór. Spojrzała na Turina i rzekła:

— Żegnaj, dwakroć ukochany! A Tur!n Turambar turim' ambartanen: panie losu przez los pokonany! Jak miła jest teraz śmierć! — I przytłoczona nieszczęściem i przerażeniem zerwała się do ucieczki, a Brandir pokuśtykał za nią, głośno błagając, by poczekała.

Przystanęła na chwilę i zwróciła na niego lśniące oczy.

— Czekać? — wrzasnęła. — Czekać? Zawsze to jedynie radziłeś. Gdybym cię posłuchała... Ale już za późno. Kresu dobiegł mój żywot w Śródziemni.

I umknęła Brandirowi⁶⁰.

Chyżo dobiegła nad urwisko Kated-en-Aras i stanęła tam, wpatrzona w grzmiącą wodę.

— Wodo, wodo! — zawołała. — Zabierz Ninie! Nienor, córkę Hurina. W żałobie pograżoną Żałobę, córkę Morweny. Weź mnie i zanieś do Morza!

Z tymi słowami rzuciła się ze skarpy. Przepaść pochłonęła biel szat, krzyk zginął w huku rzeki.

Teiglin dalej toczył swe wody, ale Kated-en-Aras zmienił za sprawą ludzi nazwę na Kated Naeramarth i nikt nie považył się odtąd stapać po brzegu w tym miejscu. Ostatnim, który spojrział w czeluść, był Brandir, syn Handira. Zawrócił przerażony, z zamarłym sercem i chociaż nienawidził od tej pory życia, to nie považył się wyjść upragnionej śmierci naprzeciw⁶¹. Pomyślał za to o Turinie Turambarze.

⁶⁰ Nie znalazłem żadnej mapy, która wiernie oddawałaby zamysłoną przez ojca rzeźbę terenu, ale poniższy szkic zdaje się pasować do tekstu: [mapka ze strony 149 oryginału, przekład napisów według kłucza:

Crossings of Teiglin = Przeprowa na Teiglinie

To Nargothrond = Do Nargothrondu

Ravines of Teiglin = Parowy Teiglinu

R. Celebros = Rzeka Kelebros

Nen Girith = Nen Girith

To Amon Obel = Na Amon Obel

⁶¹ Stwierdzenia, że dziewczyna zerwała się do ucieczki i umknęła Brandirowi, sugerują, że miejsce, gdzie Turin leżał obok truchła Glaurunga, było dość odległe od wąwozu rzeki. Możliwe, że szamoczący się przed zgonem smok odsunął się nieco od krawędzi parowu.

— Nienawidzę cię, czy też ci współczuję? — zawołał. — Ale już nie żyjesz. Zabrałeś mi wszystko, co miałem lub mieć mogłem. Jednak mój lud winien ci wdzięczność. Dobrze się składa, że ode mnie właśnie o wszystkim usłyszają.

Powoli ruszył z powrotem do Nen Girith, z drżeniem omijając cielsko smoka, a gdy wspinał się ścieżką, ujrzał mężczyznę wyglądającego zza drzewa. Choć tamten schował się szybko, ledwie dostrzeżony, blask księżyca pozwolił rozpoznać jego twarz.

— Ha, Dorlas! — krzyknął Brandir. — Co masz do powiedzenia? Jak przeżyłeś? I co z moim pobratymcem?

— Nie wiem — odparł ponuro Dorlas.

— A to dziwne.

— Gdybym ci powiedział, że Czarny Miecz kazał nam przeprować się po nocy w bród przez progi Teiglinu, to czy dalej widziałbyś coś dziwnego w tym, że się cofnąłem? Lepiej od innych władam toporem, ale nie jestem kozicą.

— Tak więc bez ciebie ruszyli na smoka? Jak zatem dokonali swego, skoro smok przeszedł na drugą stronę? Mogłeś przynajmniej zostać w pobliżu i śledzić bieg wypadków.

Dorlas jednak nie odpowiedział, tylko popatrzył z nienawiścią na Brandira, który zrozumiał wówczas, że człowiek ten po prostu opuścił swych towarzyszy, a zawstydzony ucieczką szukał potem kryjówki między drzewami.

— Hańbą okryłeś się, Dorlasie — powiedział Brandir. — Ty sprowadziłeś na mieszkańców lasu Brethilu wszystkie nieszczęścia. Namawiałeś Turambara do wojaczki, ściągnąłeś nam na kark smoka, przez ciebie zaczęto mną gardzić, ty w końcu ponosisz odpowiedzialność za śmierć Hunthora, a teraz ukrywasz się tchórzliwie w lesie! — Nagle o jednym jeszcze pomyślał i gniew rozpałił się weń mocniej. — Czemu nie wróciłeś z nowinami? To przynajmniej mogłeś zrobić. Gdybyś tak uczynił, pani Niniel nie poszłaby sama sprawdzić, co się dzieje. Nigdy nie ujrzałaby smoka. Żyłaby dalej. Nienawidzę cię, Dorlasie!

— Nie dbam o twą łaskę! Mizerna to nienawiść, bez wartości rady. Gdyby nie ja, Orkowie by nas napadli i powiesili cię w ogrodzie niczym stracha na wróble. To z ciebie nie ma żadnego pożytku!

Zlekceważony, ze szczeniem ogarnięty wstydem, dał się ponieść wściekłości i zamierzał uderzyć Brandira pięścią jak bochen, wtedy jednak właśnie, zdumiony niepomiernie, zakończył życie przeszyty mieczem, który przeciwnik zdążył na czas wydobyć. Brandir stał jeszcze przez chwilę nieruchomo, walcząc z wywołanymi krwawym widokiem mdłościami, aż upuścił broń i przygięty pokuśtykał o kuli swoją drogą.

Gdy dotarł do Nen Girith, jasny księżyc zaszedł już i noc miała się ku końcowi.

Na wschodzie pojawiły się pierwsze znaki poranka. Kulący się wciąż przy moście, przestraszeni ludzie ujrzeni go, jak niczym szary cień podchodził coraz bliżej, a kilku zawołało w zdumieniu:

— Gdzie się podziewałeś? Widziałeś ją może? Pani Niniel zniknęła.

— Tak, zniknęła — odparł. — Odeszła i nigdy już nie wróci! Ale inne jeszcze niosę wieści. Nadstawcie uszu, ludzie z Brethilu, i sami osądźcie, czy dane wam było kiedy poznać opowieść podobną do tej, którą ja mam dla was! Smok nie żyje, a Turambar legł przy jego boku. Dobrze to nowiny. Tak, zaiste, obie są dobre.

Szmer się podniósł. Ludzi zdumiały jego słowa, a niektórzy sądzą wręcz, że wódz oszalał, Brandir jednak krzyknął:

— Wysłuchajcie mnie do końca! Śmierć również zabrała Niniel, piękną kobietę, którą kochaliśmy, którą ja ukochałem najbardziej. Rzuciła się w przepaść przy Jelenim Skoku⁶² i Teiglin ją pochłoniął. Nie mogła bowiem ścierpieć blasku dnia oraz nader gorzkiej i bolesnej prawdy. Oto, czego się dowiedziała: oboje byli dziećmi Hurina, siostrą i bratem. Jego zwano Monnegil, sam nadał sobie imię Turambar, ukrywając przeszłość, kiedy żył jako Turin, syn Hurina. Ją zwaliśmy Niniel, nic o niej nie wiedząc, a była to Nienor, córka Hurina. Mroczny cień nie odstąpił ich w Brethilu i tutaj też dopełniło się ich przeznaczenie, przez co tę krainę na zawsze ogarnie smutek. Nie zwijcie jej więcej Brethilem, nie jest to już Halethrim, ale Sarch nia Hin Hurin, Grób Dzieci Hurina!

Chociaż nikt nie pojmował, jak mogło dojść do owego szeregu nieszczęść, ludzie zapłakali, a ktoś powiedział:

— Grobem stał się Teiglin dla Niniel ukochanej, grób winien mieć i Turambar, najdzielniejszy z ludzi. Nie godzi się zostawiać wybawcy pod gołym niebem. Chodźmy i urządzimy pochówek, na jaki zasłużył.

⁶² Nieco dalej sam Turin przed śmiercią nazwał to miejsce Kaped Naeramarth i można przypuszczać, że miano to wywodzi się z przekazu o jego ostatnich słowach.

Zarówno tutaj, jak i w Silmarillionie, powiada się, że Brandir był ostatnim człowiekiem, który zajrzał w Kaped-en-Aras, a przecież potem zjawił się tam jeszcze i Turin, i elfy, i wszyscy ci, którzy usypali kurhan. Pozorna ta niezgodność może być wyjaśniona, jeśli uzna się określenie „czeluść” (w którą spojrział Brandir) za przenośnię. Ojciec miał zamiar przerobić ten fragment tak, by Turin zabił się nie przy Kaped-en-Aras, ale na kurhanie Finduilas przy Przeprawie, jednak ta wersja nie została nigdy spisana.

Śmierć Turina

Gdy Ninieł odbiegła, Turin drgnął. Zdało mu się, że ktoś woła go spoza zasłony gęstej ciemności. Gdy Glaurung wydał ostatnie tchnienie, mrok opuścił także Turina. Odetchnął głęboko, westchnął, po czym zasnął z wielkiego wyczerpania. Ze świtem wszakże nadeszło przenikliwe zimno i Turin wiercić zaczął się przez sen, aż rękojeść Gurthanga przeszkadzała mu na tyle, że obudził się nagle. Noc ustępowała, powietrze pachniało już porankiem. Zerwał się na równe nogi, przypominając sobie i niedawną wiktorię, i dłoń spaloną jadem. Spojrzawszy na rękę zdziwił się, że obwiązana jest paskiem białej tkaniny, wciąż jeszcze wilgotnym i uśmierzającym ból.

— Czemu ktoś zaczął mnie kurować, ale zostawił potem na pogorzeliisku, w smoczym smrodzie? Cóż dziwnego się tu zdarzyło? — zdumiał się głośno.

Zawołał, ale nikt nie odpowiedział. Wokół zalegał odór śmierci, posępna czerń znaczyła okolicę. Schylił się i podniósł niczym nie naruszony miecz. Ostrze lśniło jak przedtem.

— Ohydny był jad Glaurunga — powiedział — lecz ty mocniejszy jesteś ode mnie, Gurthangu! Wszelką krew wypijesz. To twoje zwycięstwo. Ale chodź! Musimy poszukać pomocy. Ciało mam obolałe i przemarzłem do szpiku kości. Odwrócił się plecami do truchła Glaurunga i zostawił je, by zgniło. Im dalej jednak szedł, tym z większym trudem stawiał stopy, aż pomyślał: „Może przy Nen Girith znajdę czekających na mnie zwiadowców. Obym jak najszybciej dotarł do domu, gdzie dzięki czułym dłoniom Ninieł i kuracjom Brandira odzyskani siły!

Tak, wlokąc się powoli i podpierając mieczem, o szarym świcie dotarł do Nen Girith właśnie w chwili, gdy zebrani tam chcieli wyruszyć po jego zwłoki.

Stanął przed nimi, oni zaś cofnęli się przerażeni, że to niespokojny duch męża powrócił. Kobiety zapiszczały i zakryły oczy. On jednak powiedział:

— Nie płaczcie, tylko się radujcie! Widzicie? Przecież żyję! Czyż nie zabiłem smoka, którego tak się obawialiście? — Wówczas ludzie rzucili się z krzykiem na Brandira.

— Głupi jesteś ze swoim bajaniem, że legł tam martwy! Rację mieliśmy mówiąc, żeś oszalał!

Brandir jednak, blady jak ściana, patrzył na Turina ze strachem w oczach i słowa nie mógł wydobyć.

— Czy to ty przyszedłeś i opatrzyłeś mi dłoń? — spytał Turin. — Dziękuję. Jednak słabnie twoja siła, jeśli nie potrafisz odróżnić omdlenia od śmierci. — I zwrócił się do zgromadzonych. — Nie mówcie tak do niego, sami głupcami jesteście. Kto spośród was zrobił coś więcej? On miał przynajmniej tyle odwagi, by zejść tam na dół, podczas gdy wyście tylko jęczeli! Ale mów teraz, synu Handira. Ciekawym, skąd się tu wzięliście, skoro nakazałem wam zostać w Ephel? Liczyłem na posłuch, dla was przecież poszedłem nadstawiać karku? I gdzie jest Niniel? Mam nadzieję, że jej ze sobą nie przywiedliście, ale została w domu, pod dobrą strażą?

Kiedy nikt mu nie odpowiadał, krzyknął:

— Mówcie, gdzie Niniel? Ją pierwszą chcę ujrzeć, jej najpierw opowiem, co zdarzyło się tej nocy.

Oni jednak kryli przed nim twarze, aż Brandir odezwał się wreszcie:

— Niniel tu nie ma.

— No to i dobrze. Wracam zatem do domu. Czy znajdzie się dla mnie jakiś koń? Albo i nosze. Czuję wielkie zmęczenie.

— Nie, nie! — wyrzuca z siebie Brandir. — Pusty jest twój dom, Niniel odeszła. Nie żyje.

Ale jedna z kobiet, żona Dorlasa, która niezbyt lubiła Brandira, zawołała przenikliwym głosem:

— Nie słuchaj tego, panie! Oszalał. Przyszedł tu z wieścią, żeś legł martwy i powiedział, że to dobrze. Ale jesteś. Czemu zatem mielibyśmy uwierzyć, w jego historię o Niniel, że nie żyje, a nawet gorzej?

Turin podskoczył do Brandira.

— A więc ucieszyłeś się moją śmiercią? Tak, zawsze zrażałeś Niniel do mnie, to wiedziałem. A teraz wygadujesz takie okropne rzeczy. Jakież kłamstwo wylęgło się z twojej przewrotności, kuternogo? Czyżbyś chciał nas zabić oszukańczym słowem, skoro nie władasz inną bronią?

Gniew wyparł wszelki żal i współczucie z serca Brandira.

— Oszalałem? Nie, to ty postradałeś zmysły, Czarny Mieczu, wieszczu zguby! Swojej i tego skarłałego ludu. Nie łżę! Niniel nie żyje, martwa jest, martwa, martwa, martwa! Szukaj jej w Teiglinie!

Turin znieruchomiał.

— Skąd o tym wiesz? — spytał cicho.

— Widziałem, jak skoczyła — odparł Brandir. — Ale tyś to sprawił. Przed tobą

uciekała, Turinie, synu Hurina. Rzuciła się w Kated-en-Aras, by nigdy już więcej cię nie oglądać. Niniel! Niniel? Nie, Nienor, córka Hurina.

Turin chwycił go i potrząsał, czując przytłaczający go ciężar fatum. Przerażony i wściekły, wciąż jednak nie wierzył Brandirowi, gotów jak śmiertelnie ranne zwierzę kąsać wszystko wkoło.

— Tak, jam Turin, syn Hurina — wrzasnął. — Dawno już to odgadłeś. Ale nic nie wiesz o Nienor, mojej siostrze. Nic! Mieszka w Ukrytym Królestwie i jest tam bezpieczna. Sam wymyśliłeś to podłe kłamstwo, by mą żonę pogrążyć w szaleństwie, a teraz dobrałeś się do mnie. Ty kulawy parszywcu, oboje chcesz nas zaszczyć na śmierć?

Brandir jednak wyzwolił się z uścisku.

— Precz! — powiedział. — Przestań bredzić. Ta, którą zwiesz żoną, znalazła i opatrzyła cię, ale nie odpowiadałaś na jej wołania. Ktoś odezwał się jednak za ciebie. Glaurung. Sądzę, że to on przywiódł was do tego losu. Przemówił, nim zdechł: „Nienor, córko Hurina. Oto twój brat: skrytobójca, zdrażliwy wobec wrogów, niewierny dla przyjaciół. Przeklęty on i ród jego. Turin, syn Hurina!” — Po czym nagły śmiech ogarnął Brandira. — Powiadają, że na łożu śmierci człowiek zawsze mówi prawdę — chichotał. — Ze smokami jest pewnie tak samo! Turinie, synu Hurina, przeklęty ród twój i zgubieni wszyscy, którzy cię przygarną!

Turin porwał się do miecza i zły blask rozgorzał w jego oczach.

— A co o tobie mam powiedzieć, kulawcu? — spytał powoli. — Kto przywiódł Niniel do smoka? Kto stał bezczynnie i pozwolił jej umrzeć? Kto przybiegł tu, ile sił w kulasach, by czym prędzej ogłosić te straszne wieści? Kto teraz napawa się mym nieszczęściem? Powiadasz, że ludzie prawdę mówią przed zgonem. No to masz okazję do prawdomówności, tylko się pospiesz.

Odczytując z twarzy Turina zapowiedź rychłej śmierci, Brandir nie zląkł się jednak, chociaż za całą broń miał jedynie laskę. Wyprostował się i rzekł hardo:

— Długa byłaby opowieść o wszystkim, co się zdarzyło, a ja zbyt jestem już tobą znużony. Dlaczego zarzucasz mi oszczerstwo, synu Hurina? Czy Glaurung kłamał? Jeśli mnie zabijesz, wówczas wszyscy przekonają się, że nie. Ale nie boję się śmierci, bo wyruszę wówczas do Niniel, którą kochałem i być może znajdę ją znów za Morzem.

— Niniel chcesz szukać?! — krzyknął Turin. — Nie, Glaurunga raczej tam znajdziesz, razem będziecie płodzili kłamstwa. Ze smoczym robactwem się połączysz, tworząc dobraną parę, w jednej ciemności pleśń was stoczy! — Po czym uniósł miecz i usiekł Brandira. Ludzie zaś zakrywali oczy, nie chcąc patrzeć na taką jatkę, a gdy Turin odwrócił się, by odejść z Nen Girith, wszyscy uciekli przed nim przerażeni.

Jak błędny tułał się potem po lasach, przeklinając Śródziemie i całe życie człowieka, głośno wzywając Niniel. Gdy jednak opuściło go szaleństwo smutku, przysiadł na chwilę, zadumał się nad swymi czynami i usłyszał własny krzyk: „Mieszka w Ukrytym Królestwie i jest bezpieczna!” Wtedy pomyślał, że chociaż życie jego legło w gruzach, to jednak tam właśnie powinien jeszcze pójść. Ostatecznie Glaurung nigdy nie powiedział mu prawdy, zawsze zwodząc kłamstwami z dobrej drogi. Wstał i ruszył ku brodom na Teiglinie, a gdy mijał Haudh-en-Elleth, zawołał:

— O Finduilaso, gorzką cenę zapłaciłem, żem usłuchał smoka! Ześlij mi teraz jakąś radę!

Ujrzał wówczas dwunastu zbrojnych, którzy w pełnym rynsztunku przeprawiali się przez rzekę. Były to elfy, a gdy bliżej podeszli, Turin poznał jednego z nich, Mablunga, wodza armii Thingola.

— Turinie! Jakże szczęśliwe to spotkanie! — powitał go Mablung. — Szukałem cię i rad jestem wielce, że żyjesz, chociaż ciężkie miałeś przeżycia minionymi czasami.

— Ciężkie! — sarknął Turin. — Tak, ciężkie niczym stopa Morgotha. Ale wyście chyba ostatnimi istotami w Śródziemni, które cieszy mój widok. Czemu właściwie?

— Bo darzymy się szacunkiem — odparł Mablung. — Wiele niebezpieczeństw pokonałeś, bardzo się też o ciebie martwiliśmy. Widziałem nadejście Glaurunga i myślałem, że zrobi, co w podłości swej zamierza, i wróci do swego pana. Ale on skierował się ku Brethilowi, równocześnie zaś przyszła wieść, że Czarny Miecz z Nargothrondu znów się pojawił i że Orkowie unikać zaczęli tych okolic jak samej śmierci. Przeraziłem się i pomyślałem, że oto smok wyrusza tam, gdzie Orkowie nie mogą, i że szuka Turina. Tak i pospieszyłem, ile sił w nogach, by ostrzec cię i wesprzeć.

— Bystro ruszyłeś, ale nie dość szybko — powiedział Turin. — Glaurung nie żyje. Elfy spojrzały nań ze zdumieniem i rzekły:

— Zabiłeś wielką bestię?! Po wsze czasy ludzie i elfy wychwalać będą twe imię!

— Mało o to dbam — odparł Turin. — Mrok zaległ w moim sercu. Ale skoro przychodzicie z Doriathu, powiedzcie, co dzieje się z moimi bliskimi. Usłyszałem w Dorlominie, że uciekli właśnie do Ukrytego Królestwa.

Elfy zamilkły.

— W rzeczy samej — odezwał się po dłuższej chwili Mablung. — Rok przed nadejściem smoka. Ale, niestety, nie ma ich tam teraz!

Turin zdrętwiał, czując, że oto wielkimi krokami zbliża się doń ostateczny nieuchronny wyrok losu.

— Mów dalej! — krzyknął. — Byle zwięźle!

— Poszły obie na pustkowia, by cię szukać — powiedział Mablung. — Wszyscy im to odradzali, ale uparli się dotrzeć do Nargothröndu. Wiadomo już było, że to ty kryłeś się pod imieniem Czarnego Miecza. Ale Glaurung nadciągnął i rozgonił drużynę. Od tamtego dnia nie widziałem już więcej Morweny. Nienor zaś onie miała i ogłuchła za sprawą smoczego czaru i niczym łania pobiegła na północ, w lasy, gdzie zaginęła. — Ku zdumieniu elfów Turin roześmiał się głośno i chrapliwie.

— Czy to nie zabawne? — krzyknął. — O, piękna Nienor! Uciekła więc z Doriathu do smoka, a od smoka do mnie. Jaka łaskawość losu! Ciemną miała cerę i czarne włosy, niewysoka i szczupła jak dziecko elfów, każdy by ją poznał!

— Coś się tu nie zgadza — stwierdził zaskoczony Mablung. — Nie tak wyglądała twa siostra. Wysoka była, o błękitnych oczach i złotych włosach, na kobiecy sposób podobna do swego ojca, Hurina. Jej widzieć nie mogłeś!

— Nie mogłem? Naprawdę nie mogłem, Mablungu? Czemu niby? Czemu? Bo ślepy jestem! Nie wiedzieliście? Ślepy, ślepy od dzieciństwa, po omacku wędruję w mrocznej mgłę Morgotha! Zostawcie mnie! Idźcie! Wracajcie do Doriathu i niech zima go zmrozi. Przeklęty niech będzie Menegroth! I wasza misja! Miara się przepełniła. Nadchodzi noc!

Rzekłszy to, umknął niczym wiatr, zostawiając ich zdumionych i przerażonych.

— Stało się coś dziwnego, o czym nie wiemy. Chodźmy za nim i spróbujmy mu pomóc, jak oszalały pogonił, bez zmysłów.

Turin jednak był już daleko. Dotarł do Kated-en-Aras, gdzie przystanął. Usłyszał huk wody i ujrzał liście opadające z pomizerniałych w całej okolicy drzew, jakby zimowa żałoba nadeszła w pierwszych dniach lata.

— Kated-en-Aras, Kated Nearamarth!⁶³ — krzyknął. — Nie pokalam wód, które Niniel obmyły. Wszystkie bowiem moje uczynki chore się zrodziły, a ostatni był najgorszy.

Wyciągnął miecz i powiedział:

— Pozdrowiony bądź, Gurthangu, śmierci żelazna! Ty jeden mi pozostałeś! Ale czy znasz innego pana, niż ten, który tobą włada? Komu jesteś posłuszny, prócz dłoni, która cię ściska? Nie wzdragasz się przed żadną krwią! Czy zabierzesz Turina Turambara? Czy szybką śmierć mi zadasz? Ostrze zadźwięczało chłodną odpowiedzią:

— Tak, wypiję twą krew, by zapomnieć o krwi Belega, mego pana, i krwi Brandira, niesprawiedliwie ubitego. Gładko się z tobą uporam.

⁶³ Wydaje się, że „Jeleni Skok” było pierwotną nazwą tego miejsca i znaczyło to samo, co Kated-en-Aras.

Oparł więc Turin rękojeść miecza o ziemię i rzucił się na klingę, a czarne ostrze pozbawiło go życia.

Gdy Mablung dotarł na to miejsce, ujrzał ohydne ścierwo smoka, zauważył też Turina i zasmucił się wielce. Przypomniawszy sobie syna Hurina takiego, jakiego widział podczas Nirnaeth Arnoediad, zadumał się na strasznym losem jego bliskich.

Elfy stały tam jeszcze, gdy z Nen Girith nadciągnęli ciekawi widoku bestii ludzie. Gdy zobaczyli, do jakiego końca przywiodło życie Turina Turambara, zapłakali, elfy zaś z przerażeniem poznały sens jego ostatnich słów.

— I mnie też objęła klątwa ciężąca na dzieciach Hurina, słowami zgładziłem tego, którego kochałem — rzekł z goryczą Mablung.

Unieśli Turina i ujrzeni, że miecz jego rozpadł się na kawałki. Tak odeszła ze świata ostatnia jego własność.

Wysiłkiem wielu rąk ułożono potem wysokie stosy drewna. Spalono trupa smoka, aż tylko popiół po nim pozostał i skruszałe kości. Miejsce, w którym to uczyniono, nagie pozostało na zawsze i jałowe. Turina zaś pochowano tam, gdzie legł. Obok ciała złożono szczątki Gurthanga, po czym usypano wysoki kopiec nad mogiłą. Potem, gdy minstrele elfów oraz ludzi jęli opiewać męstwo Turambara i urodę Niniel, wielki, szary głaz przydźwigano na szczyt kopca. Elfy wykuły na nim runami Doriathu:

TURIN TURAMBAR DAGNIR GLAURUNGA

Poniżej zaś dopisały jeszcze: Nienor Niniel

Ale jej ciała tam nie było i nie wiadomo, gdzie poniosły je zimne wody Teiglinu.

Tak kończy się Opowieść o Dzieciach Hurina, najdłuższa ze wszystkich pieśni Beleriandu.

Dodatek

Od momentu, kiedy Turin zamieszkał wraz ze swoimi ludźmi w pradawnej siedzibie Poślednich Krasnoludów na Amon Rudh, opowieść zaczyna się rwać i pełna jest luk i wariacji aż do chwili, kiedy to „Narn” podejmuje wątek podróży Turina na północ po upadku Nargothrondu. Jednakże liczne szkice, próby i notatki pozwalają dojrzeć pewien zarys opowieści o wiele obszerniejszej, niż skromna relacja pomieszczona w Silmarillionie, a nawet przymiarki do kilku powiązanych ze sobą tekstów na skalę „Narn”.

Osobny fragment opisuje życie banitów na Amon Rudh w czasie tuż po osiedleniu, dokładniej odmalowuje też Bar-en-Danwedh.

Z początku banici zadowoleni byli z życia w kryjówce i stan taki utrzymał się dość długo. Jedzenia mieli dostatek, a miejsca więcej, niżby potrzebowali, odkryli bowiem, że suche i ciepłe jaskinie pomieścić mogłyby w razie potrzeby nawet setkę lub więcej mieszkańców. Głębiej znajdowała się mniejsza komora z paleniskiem pod jedną ścianą i kominem z wylotem zmyślnie ukrytym w szczelinie zbocza. Były jeszcze i inne sale, połączone z główną jaskinią lub bocznymi korytarzami, spośród których jedne służyły za mieszkania, inne za warsztaty lub magazyny. Mim od lat gromadził w nich wszelkie piękne przedmioty, w tym i naczynia oraz skrzynie z kamienia i drewna, na oko bardzo stare. Większość komór stała jednak obecnie praktycznie nie wykorzystywana: rdza i kurz okrywały wiszące w zbrojowniach topory i rozmaity oręż, półki i schowki świeciły pustkami, w kuźniach panowała martwa cisza. Tylko jedna mała komnata wyposażona była w palenisko mające komin wspólny z tym wiodącym z wielkiej sali. Mim pracował tam czasami, nie pozwalając jednak, by ktokolwiek mu przy tym towarzyszył.

Przez resztę roku nie wyruszali na żadne zbrojne wyprawy, co najwyżej polowali lub zbierali zapasy, małymi grupkami wymykając się z kryjówki. Z początku jednak mieli kłopoty ze znalezieniem drogi powrotnej i poza Turinem tylko sześciu ludzi zdołało kiedykolwiek zapamiętać szlak. Niemniej przekonawszy się, że ktoś wprawny w tropieniu śladów może dostać się na górę i bez Mima, zaczęli

trzymać dniem i nocą straż przy szczelinie na północnej ścianie. Z południa wroga nie oczekiwali, bezpodstawną byłaby też obawa, że ktoś zaryzykuje wspinaczkę od tej strony, niemniej za dnia wartownik siadał zwykle na szczycie korony, skąd roztaczał się rozległy widok. Zbocze u samego szczytu było bardzo strome, ale pokonanie go ułatwiały stopnie wykute w skale na wschód od wejścia do jaskini.

Rok mijał spokojnie, nie dostarczając okazji do sięgania po broń. Gdy jednak dni zrobiły się krótsze, pełen coraz zimniejszej wody staw poszarzał, brzozy straciły liście i wróciły deszcze, wtedy przyszło banitom więcej czasu spędzać w kryjówe. Mrok i mdła poświata panująca w salach dopiekły im wkrótce i wielu zaczęło szemrać, że o wiele lepiej żyłoby się im bez pomocy Mima. Zbyt często zdarzało się, że wyglądał z jakiegoś ciemnego kąta czy pustych drzwi, chociaż nikt się go tam nie spodziewał zastać. Tak i cichnąc zaczęły rozmowy w obecności krasnoluda, aż banici nabrali zwyczaju, by cały czas porozumiewać się szeptem.

Ku ich wielkiemu zdziwieniu, Turin zachowywał się odmiennie, coraz bardziej zaprzyjaźniając się ze starym krasnoludem i wciąż pilniej nastawiając ucha jego radom. Gdy przyszła zima, mógł godzinami siadywać obok Mima, słuchając jego opowieści i mądrości. Nie ganił przy tym gospodarza, gdy zdarzało mu się mówić źle o Eldarach. Ujęty najpewniej takim traktowaniem, krasnolud okazywał Turinowi coraz więcej względów, pozwalając nawet niekiedy, by ten jeden człowiek towarzyszył mu w kuźni, gdzie rozmawiali z cicha. Ludziom podobało się to o wiele mniej, a Androg popatrywał nawet zazdrośnie.

Tekst przedstawiony w *Silmarillionie* nie informuje, jakim sposobem Beleg znalazł drogę do Bar-en-Danwedh, po prostu „pewnego zimowego dnia w mętym świetle zjawił się między nimi” (str. 249). Inne szkice wspominają, że za przyczyną braku zapobiegliwości zaczęła się zimą kończyć banitom żywność, a Mim poskapał im jadalnych korzonków ze swych zapasów, tak i z początkiem roku wyruszyli się ostatecznie na polowanie. Zbliżając się do Amon Rudh, Beleg trafił na ich ślad i albo poszedł potem za nimi do obozu, który musieli rozbić, by schronić się przed nagłą śnieżycą, albo depcząc im po piętach, wemknał się za wracającą grupą do Bar-en-Danwedh.

W tymże czasie, usiłujący wytropić tajny magazyn Mimowej żywności Androg zagubił się w jaskiniach. W końcu trafił na ukryte schody wiodące na płaski wierzchołek Amon Rudh (to tymi schodami niektórzy z banitów zdołali zbiec, gdy Orkowie zaatakowali Bar-en-Danwedh: *Silmarillion*, str. 251). Albo przy okazji wspomnianego wcześniej wypadu, albo kiedyś później, Androg znów zaczął, mimo kłątwy Mima, używać łuku i strzał, co skończyło się zranieniem go zatrutym grotem. Jedną spośród kilku wzmianek o tym zdarzeniu dopowiada, że była to strzała Orka.

Beleg wyleczył Androga, ale nieufność i niechęć tego drugiego do elfów nie zmaląła przez to ani o jotę; Mim nienawidził Belega tym bardziej, w tenże bowiem sposób klątwa została „odczyniona”. Tak i rzekł krasnolud: „Ukąsi cię raz jeszcze”, ale dotarło do Mima, że lembasy Meliany mogłyby przywrócić mu siłę i młodość. Nie mogąc ich wykraść, udał chorobę i poprosił przeciwnika o poczęstowanie. Gdy Beleg odmówił, Mim zamknął się w swej nienawiści wzmaganej jeszcze przez serdeczne uczucia okazywane elfowi przez Turina.

Ponadto można nadmienić, że gdy Beleg wyciągnął lembasy z torby (Silmarillion, str. 246, 249), Turin nie chciał ich przyjąć.

Srebrzyste liście lśniły czerwienią w blasku ognia. Gdy Turin ujrzał pieczęć, oczy mu pociemniały.

— Co tu masz? — spytał.

— Największy dar, jakiego nie otrzymałeś dotąd od kogoś, kto cię kocha — odparł Beleg. — To lembasy, chleb elfów, którego nie próbował dotąd żaden człowiek.

— Hełm ojca wezmę — powiedział Turin — z wdzięcznością, że go przechowałeś, ale nie przyjmę niczego, co pochodzi z Doriathu.

— Jeśli tak, to oddaj miecz i wszelką broń. Zwróć to, czegoś się nauczył w młodości. Dla zachcianki czystej pozwól, by twoi ludzie pomarli na pustyni. Tak czy inaczej, ja otrzymałem ten chleb w darze i mogę rozporządzać nim wedle życzenia. Nie jedz, skoro ma ci stawać kością w gardle, ale inni mogą być mniej pyszni i bardziej przy tym głodni.

Wówczas Turin zmieszał się i poskromił dumę na takie dictum.

Istnieją też dalsze wskazówki dotyczące Dor-Kuartholu, Kraju Łuku i Hełmu, gdzie Beleg i Turin przewodzili przez czas jakiś z warowni na Amon Rudh silnemu hufcowi działającemu w krainach na południe od Teiglinu (Silmarillion, str. 250).

Turin chętnie przyjmował wszystkich, którzy się doń zgłosili, ale za radą Belega nie wpuszczał nikogo z nowo przybyłych do swego schroniska na Amon Rudh (które zwane było teraz Echad i Sedryn, Obozowisko Wiernych). Drogę tutaj znali tylko członkowie dawnej kompanii. Wokoło założono jednak inne strzeżone obozowiska i umocnienia: w lasach na wschodzie, na płaskowyżu, na południowych moczarach, od Methed-en-glas („Końca Lasu”) po Barerib kilka staj na południe od Amon Rudh, a ze wszystkich tych miejsc widać było wierzchołek Amon Rudh, z którego sygnałami przekazywano wieści i rozkazy.

W ten oto sposób, nim lato minęło, rzesza zwolenników Turina urosła w siłę i oddziały Angbadu zostały odparte. Wieści o tym dotarły nawet do Nargothrondu i wielu tamtejszych zaczęło rozglądać się za orężem, powiadając, że skoro byle

banita może tak napsuć wojska Nieprzyjacielowi, to co dopiero Władca Narogu. Orodreth jednak nie zmienił decyzji. We wszystkim słuchał Thingola, z którym potajemnie wymieniał posłańców, a że był mądrym władcą, tak i przede wszystkim pragnął ocalić życie i majątek własnego ludu przed zakusami Północy. Nie dozwolił zatem nikomu ze swoich poddanych dołączyć do Turina, tylko wysłał mu gońców z wiadomością, że cokolwiek przedsięwzięcie w ramach wojny, nie powinien postawić stopy na ziemiach Nargothrondu ni wpędzać na nie Orków. Zaofiarował jednak Dwóm Wodzom wszelką inną pomoc, prócz zbrojnej, gdyby zaszła taka potrzeba (jak się uważa, uczynił to za namową Thingola i Meliany).

Kilkakrotnie zostało podkreślone, że Beleg wspierał wprawdzie Turina, jednak sprzeciwiał się jego wielkim planom, twierdząc, iż inaczej Smoczy Hełm podziałał na przyjaciela, niż było to zamierzone. Belega ogarniał niepokój, przewidywał bowiem, co przyniesie przyszłość. Zachowały się fragmenty ich rozmów na tenże temat. Podczas jednej z nich siedzą obaj w Echad i Sedryn, a Turin powiada do Belega:

— Czemu jesteś smutny i zamyślony? Czy wszystko nie obróciło się na lepsze, odkąd do mnie wróciłeś? Czy moje dążenia nie dowiodły swych racji?

— Wszystko idzie dobrze — odparł Beleg. — Wrogowie nie mogą otrząsnąć się ze zdumienia i strachu. Przez pewien czas pomyślność będzie nam jeszcze sprzyjała.

— A potem?

— Nadejdzie zima. A następnie nowy rok. Przynajmniej dla tych, którzy dożyją tej chwili.

— A jeszcze potem?

— Gniew Angbada. Czarna Ręka sparzyła się na nas, ale tyle tylko. Nie wycofa się.

— Ale czy właśnie nie o rozgniewanie Angbada nam chodziło? — spytał Turin. — Czegóż innego się po mnie spodziewałeś?

— Sam wiesz najlepiej, ale nie wolno mi o tym wspominać. Niemniej posłuchaj mnie teraz. Władca wielkiej siły ma równie wielkie potrzeby. Musi szukać schronienia, musi być bogaty i musi mieć też takich poddanych, którzy bezpośrednio udziału w wojnie nie biorą. Im więcej owych sług będzie, tym więcej trzeba żywności, a na pustkowiach aż tyle jej nie ma. Coraz trudniej też utrzymać niektóre sprawy w tajemnicy. Amon Rudh jest dobrym miejscem, ale dla garstki ledwie. Udana to warownia, ale stoi na uboczu, zewsząd widoczna. Nie trzeba wielkiej siły, by ją otoczyć.

— Tak czy inaczej, będę wodzem mych własnych wojsk — powiedział Turin — a jeśli padnę, to padnę. Stałem Morgothowi na drodze i póki trwam tutaj, nie

może skorzystać z południowego traktu. Za takie działanie Nargothrond winien mi choć trochę wdzięczności. Mógłby też pomóc, dostarczając potrzebnych rzeczy.

W innym krótkim urywku rozmowy Turin takimi słowami odpowiedział Belegowi, gdy ten ostrzegł go przed mizernością stworzonej armii:

— Pragnę władać jakąś krainą, ale nie tą. Tutaj chcę jedynie zebrać siły. Serce moje zwraca się do ojcowizny w Dorlominie i tam podążę, gdy tylko będę mógł.

Stwierdza się tam także, że Morgoth wycofał się na pewien czas, pozorując jedynie ataki, „tak aby przez łatwe zwycięstwo nabrali buntownicy przesadnego mniemania o swej potędze, co istotnie się stało”.

Androg pojawia się ponownie w szkicu dotyczącym napaści na Amon Rudh. Dopiero wówczas ujawnił przed Turinem fakt istnienia wewnętrznych schodów. Sam też wydostał się nimi na szczyt. Miał walczyć najdzielniej ze wszystkich, ale padł w końcu, zraniony śmiertelnie strzałą i tak wypełniła się klątwa Mima.

Nie da się nic dodać do pomieszczonej w Silmarillionie opowieści dotyczącej poszukiwania Turina przez Belega, jego spotkania z Gwindorem w Taur-nu-Fuin, uratowania Turina i śmierci Belega z ręki Turina. O posiadaniu przez Gwindora jednej z „feanoryjskich lamp” wspomniałem wcześniej w przypisie 2. do rozdziału pierwszego.

Można jednak dodać, że ojciec zamierzał rozwinąć historię Smoczego Hełmu Dorlominu, sięgając aż do okresu pobytu Turina w Nargothrondzie, a nawet dalej, nigdy jednak nie przerodził się ów zamiar w opowieść. W istniejących wersjach hełm znika ze sceny wraz z końcem Dor-Kuartholu i zniszczeniem warowni banitów na Amon Rudh, niemniej jakimś sposobem nadal znajduje się w posiadaniu Turina w czasach Nargothrundu. Musiałby zatem zostać wzięty przez tych Orków, którzy zawiedli Turina do Angbadu, jednak uznanie, że Turin odzyskał go przy okazji ratowania Belega i Gwindora, wymagałoby niejakich uzupełnień w tekście.

Osobny urywek powiada, że podczas pobytu w Nargothrondzie Turin nie chciał już przywdziewać hełmu, „żeby nie zdradzić, kim jest”, jednak założył go idąc do Bitwy o Tumhalad (Silmarillion, str. 259, kiedy to osłonił oblicze krasnoludzką maską znaną z zbrojowni Nargothrundu). A oto ciąg dalszy tego fragmentu:

Złęknieni owym hełmem nieprzyjaciele omijali Turina, tak że nie tknięty wyszedł z największego zamętu bitewnego. Wrócił ze Smoczym Hełmem na głowie do Nargothrundu, a Glaurung, pragnąc pozbawić Turina wsparcia i osłony (Glaurung też bał się hełmu), szydził z syna Hurina, że wasalem jest smoczym i poddanym Glaurunga, skoro nosi na hełmie podobiznę swego pana.

Turin odparł jednak:

— Kłamiesz i świadomie to czynisz. Wizerunek ten zrodził się z pogardy wobec ciebie. Jak długo ktoś będzie wciąż nosił ten hełm, tak długo i ty spokoju nie zaznasz, pewności nie mając, czy tenże mąż zagłady na cię nie sprowadzi.

— Tak i trzeba będzie hełmowi nowego pana — stwierdził Glaurung — Turina, syna Hurina, bowiem nijak się nie lękam. Wręcz przeciwnie, to on nie ma śmiałości spojrzeć mi otwarcie w oczy.

I rzeczywiście tak wielką grozę smok roztaczał, że Turin nie poważył się unieść przyłbicy hełmu, by popatrzeć jawnie na bestię i przez cały czas rozmowy nie odrywał oczu od stóp smoka. Ostatecznie jednak duma i porywczość przeważały i pod wpływem owych szyderstw Turin podniósł przyłbicę i spojrzął Glaurungowi w ślepią.

Gdzie indziej pojawia się wzmianka, że gdy do mieszkającej w krainie Dorthu Morweny dobiegły wieści o pojawieniu się Smoczego Hełmu w Bitwie o Tumulad, od razu poznała, że prawdziwa to nowina i że Mormegil jest właśnie jej synem.

Odnalazłem również sugestię, by Turin nosił Smoczy Hełm w trakcie zabicia Glaurunga. Miałby wówczas szydzić z konającej bestii, przypominając wypowiedziane w Nargothrondzie słowa o konieczności znalezienia dla hełmu nowego pana. Nie ma wszakże żadnych wskazówek dotyczących takich przekształceń fabuły, aby pomysł ów urzeczywistnić.

Istnieje fragment traktujący o istocie i przedmiocie sprzeciwu Gwindora wobec polityki prowadzonej przez Turina w Nargothrondzie, która to sprawa została w Silmarillionie potraktowana nader pobieżnie (str. 258). Ustęp ten nie ma postaci opowieści, ale można go przedstawić następująco:

Na naradach u Króla Gwindor przemawiał zawsze przeciwko Turinowi, powiadając, że był sam w Angbadzie i wie nieco o potędze i zamysłach Morgotha.

— Takie mizerne zwycięstwa niczego nam w ostatecznym rachunku nie przyniosą — powiedział — dowie się bowiem dzięki nim Morgoth, gdzie kryją się najdzielniejsi spośród jego przeciwników i zbierze siły dość wielkie, by ich zniszczyć. Cała potęga elfów i Edainów starczyła ledwo, by go powstrzymać i zapewnić pokój. Rozejm trwał długo, ale tylko do chwili, kiedy Morgoth gotów był już do unicestwienia tego przymierza. Nigdy już nie dojdzie do podobnego sojuszu. Zostało nam już tylko przeczekać, nie ujawniając się, aż przybędą Valarowie.

— Valarowie! — wykrzyknął Turin. — Zapomnieli oni już o was, ludźmi zaś pogardzają. Co przyjdzie z wpatrywania się w zachodni horyzont? Tutaj dość nam jednego Valara, z którym musimy się uporać, to Morgoth, a jeśli nie możemy go ostatecznie pokonać, pozostaje dokuczyć mu i powstrzymać jego pochód. Zwycięstwo, nawet małe, zawsze pozostaje zwycięstwem i to niezależnie od tego, co dalej

z owej wiktorii ma wynikać. Ale znaczy też więcej, jeśli bowiem niczego nie zrobicie, by przeszkodzić Morgothowi, jego cień zalegnie rychło nad całym Belerian-dem, a potem was, jednego po drugim, z wolna wykurzy z siedzib. A co dalej? Żałosne grupy niedobitków uciekną na południe i na zachód, by szukać schronienia nad brzegiem Morza, schwytani w pułapkę między Morgothem a Ossem. Lepiej już zatem wywalczyć sobie nieco chwały, choćby nawet i krótkotrwałej, bo koniec nasz gorszym już i tak być nie może. Mówisz o tajemnym przeczekiwaniu, mówisz, że jedyna to nadzieja, ale czy jesteś w stanie przechwycić każdego, najmarniejszego nawet szpiega Morgotha, aby nikt ani słowa o nas nie poniósł do Angbadu. Ale i to by wystarczyło, by Nieprzyjaciel zorientował się, gdzie czai się jego wróg. I to jeszcze powiem: chociaż życie człowieka krótkim jest wobec trwania elfów, to jednak śmiertelnicy wolą raczej spędzić je w walce, niż uciekać czy oddawać się w niewolę. Opór stawiony przez Hurina Thaliona to wielki wyczyn, którego nawet Morgoth, choć bardzo by chciał, nie może wymazać z pamięci. Czyż nie zapisał się on w dziejach Ardy w historii, której ani Morgoth ani Manwe nie mogą unicestwić?

— O wielkich sprawach mówisz — odparł Gwindor — i widomym jest, że żyłeś między Eldarami. Ale chyba mrok zaległ w twoich myślach, skoro jednym tchem wymieniasz imiona Morgotha i Manwego czy też uznajesz Valarów za wrogów elfów i ludzi. Valarowie nie znają pogardy, równo traktują najlichsze nawet z dzieci Iluvatara. Nie wiesz też wszystkiego o nadziejach Eldarów. Z dawna przekazywane jest wśród nas proroctwo, że pewnego dnia wysłannik ze Śródziemia przeniknie cienie skrywające Valinor i Manwe wysłucha go, a Mandos da się przebłagać. Czy nie winniśmy przechować nasienia Noldorów, a także i Edainów, w oczekiwaniu owego czasu? Kirdan zamieszkał na Południu i znów buduje okręty, ale co ty wiesz o nich czy o Morzu? Siebie tylko dostrzegasz i własną chwałę, od nas zaś żądasz, byśmy tak samo czynili. Ale naszą powinnością jest myśleć także o innych, nie każdy bowiem może walczyć, nie wszystkim trzeba ginąć i tych właśnie musimy jak najdłużej zachować od wojennej pożogi.

— Załadujcie ich zatem na statki, póki jeszcze pora — powiedział Turin.

— Nie zechcą od nas odejść — stwierdził Gwindor — nawet gdyby Kirdan zdołał ich wyżywić. Musimy trzymać się razem, jak długo będzie nam to dane, i nie kusić śmierci.

— Na to wszystko dałem już odpowiedź — powiedział Turin. — Mężna obrona granic i miazdzące wypadły na wroga, nim ten zbierze siły — oto najlepszy sposób, aby dalej wspólnie przemieszkować. Czy ci, o których mówisz, bardziej miłują kryjących się w lasach i polujących jako te wilki, czy też takich, co hełm przywdziewają, biorą tarczę i ruszają na wroga, choćby nawet i o wiele liczniejszego?

Nawet kobiety Edainów nie powstrzymywały swych mężów, gdy ci wyruszali na Nirnaeth Arnoediad.

— I cierpiały potem większą niedolę, niż gdyby bitwa owa nigdy się nie odbyła — stwierdził Gwindor.

Wątek miłości Turina do Finduilasy również miał zostać jeszcze rozwinięty:

Finduilas, córka Orodretha, miała złote włosy, jak wszyscy w rodzie Finarfina i widok jej oraz towarzystwo zaczęły być Turinowi miłe, jako że przypominała mu pokrewne kobiety z domu jego ojca w Dorlominie. Z początku spotykał ją tylko w obecności Gwindora, potem jednak i ona zaczęła wypatrywać okazji i widywali się czasami na osobności, niby to przypadkiem. Potem jeszcze wypytywała go o Edainów, o których do tej pory prawie nic nie wiedziała, oraz o kraj jego i pobratymców.

Turin odpowiadał jej chętnie, chociaż nie wymieniał nazwy miejsca swoich rodzin ani imion bliskich, w końcu zaś powiedział:

— Miałem niegdyś siostrę, Lalaith ją zwałem. Przypominasz mi ją. Ale ona dzieckiem tylko była, żółtym kwiatem na zielonych łąkach wiosny, a gdyby żyła dzisiaj, zapewne smutek odebrałby jej radość życia. Lecz ty nosisz się jak królowa, jesteś jak złociste drzewo. Pragnąłbym mieć tak piękną siostrę.

— Ale i ty wyglądasz jak król — odparła — a nawet jak wódz spośród ludu Fingolfin. Chciałabym mieć tak dzielnego brata. Sądzę, że nie nazywasz się wcale Agarwaen, bo imię to do ciebie nie pasuje. Nazwę cię Thurin, Tajemnica.

Wzdrygnął się Turin, lecz powiedział:

— Nie tak brzmi moje imię i nie jestem królem, nasi władcy bowiem wywodzą się od Eldarów, ja zaś nie.

Turin zauważył, że przyjaźń łącząca go z Gwindorem ostygła. Zdumiał się ponadto, o ile bowiem z początku pamięć upiorności Angbada zdawała się nie nękać Gwindora, to teraz przygnębienie i smutek znów go dopadły. Snuł domysły: „Może dlatego chodzi smutny, bo pokonałem go i pogardziłem radami; tego bym nie chciał”. Kochał bowiem Gwindora jako mędrca i uzdrowiacza. Bardzo mu współczuł. W owych dniach jednak zbladła również radość Finduilasy. Twarz się jej zachmurzyła, krok utracił sprężystość. Turin przypuszczał, że to słowa Gwindora zasiały w jej sercu lęk przed tym, co mogła przynieść przyszłość.

W istocie Finduilas popadła w rozterkę. Owszem, ceniła Gwindora i współczuła mu, nie chciała przydać mu smutków ni łez, ale mimo woli pokochała Turina i z każdym dniem uczucie stawało się coraz silniejsze. Pomyślała nawet o historii Berena i Luthien. Ale Turin nie przypominał Berena! Nie pogardzał nią i mile witał jej towarzystwo, ale wiedziała też, że nie darzy jej miłością taką, jakiej by oczekiwała. Gdzie indziej był i sercem, i myślami, wciąż wspominając dawne wiosny.

Wówczas Turin przemówił do Finduilasy:

— Nie pozwól, aby słowa Gwindora napełniły cię strachem. Wiele przecierpiał w mrokach Angbadu, a jako że dzielny jest mężem, ciężko mu znosić takie okaleczenie i przymusową bezczynność. Pocieszenia potrzebuje i długo potrwa, nim wyzdrowieje.

— Dobrze o tym wiem.

— Ale my wywalczymy dla niego ten czas! — powiedział Turin. — Nargothrond wytrwa! Nigdy już Morgoth Nikczemny nie wyjrzy z Angbadu, polegać mu przyjdzie tylko na swych sługach, tak powiada Meliana z Doriathu. Oni są jako palce czarnych dłoni, a my przytrzaśniemy je, a potem odetniemy, aż Nieprzyjaciel cofnie łapę. Nargothrond wytrwa!

— Może — powiedziała Finduilas. — Jeśli dopniecie swego, to tak się stanie. Ale uważaj, Adenedhelu, z ciężkim sercem żegnam cię, gdy wyruszasz do walki. Boję się, by Nargothrond nie został bez wodza.

Potem Turin poszukał Gwindora i tak mu rzekł:

— Gwindorze, drogi przyjacielu, znów pogrążasz się w smutku, nie czyn tego! Pobyt wśród krewnych i blask Finduilasy przywróca ci jeszcze zdrowie.

Gwindor spojrział na Turina i chociaż nie odpowiedział, to oblicze miał chmurne.

— Czemu tak na mnie patrzysz? — spytał Turin. — Często ostatnimi czasami dziwnie wodzisz za mną wzrokiem. Czym cię zasmuciłem? Sprzeciwiłem się twym radom, ale mężczyzna winien mówić, co myśli, miast dla prywaty skrywać prawdę. Wolałbym, żebyśmy byli jednego zdania. Nie zapomnę, że jestem twoim dłużnikiem.

— Zaprawdę? Niemniej swoimi czynami i słowami odmieniłeś mój dom i moich bliskich. Rzuciłeś na nich cień. Czemu miałbym się cieszyć, gdy tracę wszystko na twoją korzyść?

Turin jednak nie pojął tych słów, przypuszczając, że Gwindor zazdrości mu posłuchu u Króla i monarszej serdeczności.

W następnym urywku Gwindor ostrzega Finduilas, czym grozi miłość do Turina, i ujawnia, kim jest ów człowiek. Tekst ten jest dość zbieżny z fragmentem przedstawionym w *Silmarillionie* (str. 257), jednak pod koniec natykamy się na odpowiedź Finduilas, dłuższą niż w innych wersjach:

— Chyba wzrok ci przyćmiło, Gwindorze — powiedziała. — Nie widzisz lubo nie rozumiesz, co nadchodzi. Czy muszę po dwakroć wstyd przecierpieć, by prawdę ci uświadomić? Bo kocham cię, Gwindorze, i wstyd mi, że nie bardziej, ale uległam uczuciu potężniejszemu, przed którym nie ucieknę. Nie szukałam go i długo odpychałam. Ale skoro ja szczerze boleję nad twoimi ranami, to i ty miej dla mnie

litość. Turin nie kocha mnie i tak już pozostanie.

— Mówisz to, aby uwolnić ukochanego od winy. Czemu zatem szuka twej obecności, przesiaduje z tobą i coraz mu to milsze?

— Bo i on potrzebuje pocieszenia. Sam został, bez swoich. Obaj jesteście w potrzebie. A co z Finduilas? Nie dość, że przychodzi mi, niekochanej, wyznać tą okrutną prawdę, to jeszcze sądzisz, że chcę cię oszukać?

— Nie. Niewiele kobiet przyzna się, że nie są kochane, jeśli tak jest w istocie.

— Jeśli ktokolwiek winę tu ponosi, to ja, ale odstępstwo poczyniłam mimowolnie. A twe przeznaczenie i plotki o Angbadzie? A śmierć i zniszczenie? Adanedhel wciąż ważne miejsce zajmuje w księdze świata i sięgnie on jeszcze kiedyś Morgo-tha.

— Jest dumny.

— Ale i miłosierny — powiedziała Finduilas. — Nie przebudził się jeszcze, ale litość zawsze znajdzie drogę do jego serca, a on nigdy jej nie odtrąci. Może tylko to pozostanie. Ale ty nie lituj się nade mną. Traktuj mnie z czcią, jakbym zarazem matką i królową mu była!

Może Finduilas prawdę powiadała, więcej widząc bystrych oczami Eldarów. Turin zaś, nie mając pojęcia o tej rozmowie, odnosił się do Finduilas jeszcze łagodniej, widząc jej smutek. W końcu jednak dziewczyna rzekła:

— Thirinie Adanedhelu, czemu skrywasz przede mną swe prawdziwe imię? Gdybym wiedziała, kim jesteś, wcale bym przez to mniej cię nie szanowała, za to lepiej rozumiałabym twój ból.

— Co chcesz powiedzieć? Kogo we mnie dostrzegasz?

— Turina, syna Hurina Thaloiona, wodza Północy.

Wówczas Turin zganił Gwindora za ujawnienie jego prawdziwego imienia, jak podaje to *Silmarillion* (str. 257).

Istnieje jeszcze jeden fragment tej opowieści, pełniejszy niż wersja przytoczona w *Silmarillionie* (o bitwie o Tumhalad i napaści na Nargothrond nie ma więcej wzmianek, rozmowy zaś Turina ze smokiem zostały tak obszernie przedstawione w *Silmarillionie*, iż wątpliwym się wydaje, by zostały jeszcze rozwinięte). Fragment ów jest o wiele pełniejszą relacją tycząca przybycia elfów Gelmira i Arminasa do Nargothronda w roku jego upadku (*Silmarillion*, str. 258-259). Kwestia ich wcześniejszego spotkania z Tuorem w Dorlominie, do której znajdujemy tu odniesienia, została poruszona w pierwszej opowieści niniejszej książki.

Wiosną przybyło dwóch elfów, którzy zwali się Gelmir i Arminas i pochodzili z ludu Finarfina. Powiedzieli, że mają sprawę do Władcy Nargothronda, zostali zatem zaprowadzeni przed Turina, Gelmir jednak zaprotestował:

— To przed obliczem Orodretha, syna Finarfina, winniśmy stanąć. A gdy przy-

szedł Orodreth, Gelmir rzekł mu:

— Panie, wywodzimy się z ludu Angroda i długą drogę przebyliśmy od Dagor Bragollach, ale ostatnio mieszkamy pośród zwolenników Kirdana przy Ujściu Sirionu. Pewnego dnia wezwał nas Kirdan i kazał udać się do ciebie, sam bowiem Ulmo, Pan Wód, pojawił się i ostrzegł go przed wielkim niebezpieczeństwem, które zawisło nad Nargothrondem i jest coraz bliższe.

Orodreth jednak był ostrożny i spytał:

— Czemu zatem przybywacie z północy? A może mieliście jeszcze inną misję do wypełnienia?

— Panie, od dni Nirnaeth szukamy bez powodzenia Ukrytego Królestwa Turgona. Obawiam się, że opóźniłem przez to nasze posłanie ponad miarę. Kirdan wysłał nas statkiem wzdłuż wybrzeża, by w sekrecie naszą misję utrzymać i przyspieszyć dotarcie do Nargothrondu. Na brzeg wysiedliśmy w Drengist. Jednak wśród ludzi morza było kilku mężów z południa, którzy przybyli tam jako wysłannicy Turgona i z ich oszczędnych słów wywnioskowałem, że Turgon żyje wciąż na Północy, a nie na Południu, jak sądzi się powszechnie. Nie znaleźliśmy jednak ani jednego znaku, nie dotarła do nas jakakolwiek pogłoska, która by naprowadziła nas na jego ślad.

— Czemu szukacie Turgona? — spytał Orodreth.

— Bo powiada się, że jego królestwo najdłużej wytrzyma napór Morgotha — odrzekł Arminas i słowa te wydały się Orodrethowi złą wróżbą, przez co nie krył niezadowolenia.

— Jeśli tak, to nie marnujcie czasu w Nargothrondzie. Nie usłyszycie tu żadnych wieści o Turgonie. Nie trzeba mi mówić, że Nargothrond znalazł się w niebezpieczeństwie.

— Nie miej nam za złe, panie — rzekł Gelmir — że szczerze ci odpowiadamy. Zboczyliśmy z prostego szlaku ku tobie wiodącego, ale nie na darmo, dotarliśmy bowiem dalej niż twoi zwiadowcy. Przeszliśmy przez Dorlomin i kraje u stóp Ered Wethrin, zapuściliśmy się w dolinę Przełomu Sirionu, szpiegując zamysły Nieprzyjaciela. Zbiera się obecnie w tamtych stronach wielka siła Orków i złowrogich istot, armia zaś gromadzi się w rejonie Wyspy Saurona.

— O tym wiem — powiedział Turin. — Wczorajsze to wieści. Jeśli posłanie od Kirdana miało posłużyć czemukolwiek, winno dotrzeć do nas wcześniej.

— Niemniej choć z opóźnieniem, to jednak przekażemy ci, co nam kazano, panie — zwrócił się Gelmir do Orodretha. — Wysłuchaj słów Pana Wód! Tak oto przemówił do Kirdana, Budowniczego Statków: „Zło z Północy splugawiło źródła Sirionu i władza moja zaniknęła w rozwidleniach tych wód. Najgorsze jednak dopiero nadchodzi. Powiedz zatem Władcy Nargothrondu: Zamknij bramy fortecy

i nie wychodź na zewnątrz. Wrzuć kamienie swej dumy do grzmiącej rzeki, by zło pełzające nie znalazło bramy”.

Niejasno słowa te zabrzmiały Orodrethowi, toteż zwrócił się do Turina o radę, jak zwykł to czynić. Turin jednak nie dowierzał posłańcom, rzekł zatem pogardliwie:

— Co Kirdan wiedzieć może o naszych wojnach z Nieprzyjacielem, którego mamy pod bokiem? Niech żeglarz pilnuje swoich statków. Jeśli Pan Wód chce nas ostrzec, musi wyrażać się bardziej przejrzyście. W przeciwnym bowiem razie lepiej byśmy chyba uczynili zbierając wojska i ruszając śmiało na spotkanie wrogów, zanim ci podejną pod nasze drzwi.

Z pilnym posłaniem Gelmir i Arminas zdążyli do Nargothrondu dłuższym szlakiem wokół wybrzeża do zatoki Drengist. Arminas zaznaczył, że uczyniono to, by utrzymać ich misję w sekrecie i dla pośpiechu, ale temu celowi bardziej posłużyłoby obranie drogi w górę Narogu, by dotrzeć do celu od południa. Można przypuszczać, że Kirdan uczynił tak, wypełniając wolę Ulma (który chciał, by posłańcy spotkali w Dorlominie Tuora i przeprowadzili go przez Bramę Noldorów), ale nigdzie nie znajdujemy potwierdzenia tego domysłu.

KONIEC CZĘŚCI PIERWSZEJ

SPIS TREŚCI

OD TŁUMACZA

WSTĘP

I. O TUORZE I JEGO PRZYBYCIU DO GONDOLINU 9

II. OPOWIEŚĆ O DZIECIACH HURINA 11

CZEŚĆ PIERWSZA 13

PIERWSZA ERA

I. O TUORZE I JEGO PRZYBYCIU DO GONDOLINU 14

II. NARN I HIN HURIN 51

OPOWIEŚĆ O DZIECIACH HURINA³⁴

Dzieciństwo Turina 51

Słowa Hurina i Morgotha 61

Odejście Turina 64

Turin w krainie Doriathu 73

Turin pośród banitów 82

Krasnolud Mim 94

Powrót Turina do Dorlominu 104

Przybycie Turina do Brethilu 110

Podróż Morweny i Nienory do Nargothrondu 114

Nienor w Brethilu 123

Nadejście Glaurunga 128

Śmierć Glaurunga 136

Śmierć Turina 144

Dodatek 150